

MICHAEL MOORCOCK

HISTORIA RUNESTAFFA:



Fantasy



AMBER

Spis treści

KARTA TYTUŁOWA

KSIĘGA PIERWSZA

Wielka Historia Magicznej Laski

ROZDZIAŁ I

ROZDZIAŁ II

ROZDZIAŁ III

ROZDZIAŁ IV

KSIĘGA DRUGA

Wielka Historia Magicznej Laski

ROZDZIAŁ I

ROZDZIAŁ II

ROZDZIAŁ III

ROZDZIAŁ IV

ROZDZIAŁ V

ROZDZIAŁ VI

KSIĘGA TRZECIA

Wielka Historia Magicznej Laski

ROZDZIAŁ I

ROZDZIAŁ II

ROZDZIAŁ III

ROZDZIAŁ IV

ROZDZIAŁ V

ROZDZIAŁ VI

Michael Moorcock

KLEJNOT
W CZASZCE

(The jewel in the skull)

RUNESTAFF
TOM: 10

Przełożył: Andrzej Leszczyński


AMBER
Wydawca światowych
bestsellerów

1991

KSIĘGA PIERWSZA

Wielka Historia Magicznej Łaski

Ziemia zestarzała się, jej powierzchnia uległa wygładzeniu, zdradzając oznaki podeszłego wieku, a jej ścieżki stały się kapryśne i dziwaczne, na podobieństwo człowieka w ostatnich latach życia.

ROZDZIAŁ I

HRABIA BRASS

Pewnego ranka hrabia Brass, Lord Kanclerz Kamargu, wyruszył na rogatym koniu na inspekcję swoich ziem. Droga zawiodła go ku niewysokiemu wzgórzu, na którego szczycie wznosiły się wiekowe ruiny. Były to szczątki gotyckiego kościoła o ścianach z grubego kamienia, wygładzonych przez wiatry i deszcze. Większą część budowli porastał bluszcz należący do gatunku zakwitających, stąd też o tej porze roku mroczne jamy okienne wypełniało purpurowe i bursztynowe kwiecie, znakomity substytut zdobiących je niegdyś witraży. W czasie swoich wypraw hrabia Brass zawsze odwiedzał ruiny. Odczuwał w stosunku do nich szczególny rodzaj braterskiego sentymentu, ponieważ podobnie jak on były stare, tak jak on przetrwały wiele perturbacji i jak on zdawały się nabierać sił, zamiast słabnąć w zetknięciu z niszczycielską działalnością czasu. Wzgórze, na którym wznosiły się ruiny, tonęło w wysokiej, sztywnej trawie, falującej na wietrze niczym morze. Otaczały je ze wszystkich stron bezdenne, ciągnące się na pozór w nieskończoność trzęsawiska Kamargu – bezludna kraina, zamieszкана przez dzikie białe bawoły, stada rogatych koni oraz gigantyczne szkarłatne flamingi, tak wielkie, że mogły bez trudu wynieść w powietrze rosłego człowieka.

Poszarzałe niebo zapowiadało deszcz, a przesączające się wyblakłe, złotawe promienie słoneczne wywoływały na polerowanej spizowej zbroi hrabiego ogniste refleksy. Hrabia

dźwigał u pasa potężny, szeroki miecz, a jego głowę okrywał płaski hełm z brązu. Całe ciało hrabiego skryte było pod tą zbroją z ciężkiego spiżu i nawet na rękawicach i butach widniały spiżowe okucia naszyte na skórę. Był to krzepki, dobrze zbudowany, wysoki mężczyzna o wielkiej, mocnej głowie osadzonej na szerokich ramionach i spalonej słońcem twarzy, przypominającej maskę wyrzeźbioną ze spiżu. Z twarzy tej spoglądała para złotawobrazowych, żywych oczu. Jego bujne wąsy, podobnie jak i włosy, miały rudą barwę. W całym Kamargu, a nawet poza jego granicami, można było usłyszeć legendę mówiącą o tym, iż hrabia w rzeczywistości nie jest prawdziwym człowiekiem, ale ożywioną statuą ze spiżu – Tytanem, niezwyciężonym, niezniszczalnym, nieśmiertelnym.

Jednakże ci, którzy wystarczająco dobrze znali hrabiego Brassę, wiedzieli, że był on człowiekiem w każdym calu – lojalnym przyjacielem, bezwzględny przeciwnikiem, na ogół uśmiechnięty, lecz zdolny także do dzikiej wściekłości, opojem o nieprawdopodobnie mocnej głowie i żarłokiem o dość wyrafinowanych gustach, żartownisiem, szermierzem i jeźdźcem nie mającym sobie równych, mędrcom na szlakach ludzkości i historii, a także kochankiem, odznaczającym się niezwykłą czułością i dzikim temperamentem zarazem. Hrabia Brass ze swoim miękkim, ciepłym głosem i ogromną żywotnością był w istocie żywą legendą, ponieważ tak jak wyjątkowym był człowiekiem, równie wyjątkowe były jego czyny.

Hrabia Brass pogłaskał konia po głowie, wsuwając rękawicę pomiędzy ostre, spiralne rogi zwierzęcia, po czym spojrział na południe, gdzie morze i niebo zlewały się w jedną linię. Koń odpowiedział na pieszczotę pomrukiem, zaś hrabia Brass uśmiechnął się, odchylił do tyłu w siodle i ściągnął wodze,

kierując go w dół stoku wzgórza, w stronę sekretnej ścieżki przez bagniska, wiodącej ku ukrytym za horyzontem północnym stanicom.

Niebo ciemniało już, kiedy dotarł do pierwszej wieży i dostrzegł trzymającego straż gwardzistę – zakutą w zbroję sylwetkę na tle szarego nieba. Kamargu nie najechano wprawdzie ani razu od czasu, kiedy hrabia Brass zastąpił obalonego, skorumpowanego Lorda Kanclerza, istniało jednak pewne zagrożenie ze strony wałęsających się armii, utworzonych przez uchodźców z ziem podbitych przez Mroczne Imperium z zachodu, które mogłyby przekroczyć granicę w poszukiwaniu wartych złupienia miasteczek i wsi. Gwardzista, podobnie jak wszyscy jego towarzysze, uzbrojony był w ognistą lancę o barokowym kształcie, czterostopowy miecz oraz heliograf, służący do przekazywania sygnałów strażnikom z innych wież, a przy murze stał uwiązany i osiodłany oswojony flaming. We wnętrzu wieży znajdowały się jeszcze inne rodzaje broni, skonstruowane i zainstalowane osobiście przez hrabiego; gwardziści mieli jedynie pojęcie o sposobie obsługi, nigdy zaś nie widzieli ich w działaniu. Hrabia Brass zapewniał, że jest to broń jeszcze potężniejsza od tej, jaką dysponowało Mroczne Imperium Granbretanu, i gwardziści wierzyli mu, a jednak mimo to wciąż nieco obawiali się dziwnych urządzeń.

Strażnik obrócił się, kiedy hrabia Brass zbliżył się do wieży. Twarz człowieka niemal całkowicie zakrywał czarny żelazny hełm, zachodzący daleko na policzki i nos. Jego ciało spowijał płaszcz z grubej skóry. Zasalutował, unosząc wysoko dłoń.

Hrabia Brass również uniósł dłoń w odpowiedzi. – Czy wszystko w porządku, gwardzisto?

— Wszystko w porządku, mój panie. – Gwardzista rozluźnił

uchwył na drzewcu lancy i nasunął na głowę kaptur płaszcza, gdyż zaczęły spadać pierwsze krople deszczu. – Proszę się schronić przed deszczem. Hrabia Brass zaśmiał się.

— Zaczekajmy na mistral, potem będziemy się żalić. Zawrócił konia i ruszył w kierunku następnej wieży.

Mistralem nazywano tu zimny, porywisty wiatr, smagający cały Kamarg przez długie miesiące; jego dzikie zawrodozenie towarzyszyło ludziom aż do wiosny. Hrabia Brass uwielbiał zmagać się z nim, kiedy wiał z największą siłą; wystawiał twarz na uderzenia zmieniające brąz opalenizny w ognistą czerwień skóry.

Krople deszczu coraz mocniej uderzały o jego zbroję. Sięgnął więc za siodło po płaszcz, narzucił go na ramiona i naciągnął kaptur. Wszędzie dokoła, pośród gasnącego dnia, trzciny falowały pod niesionym przez bryzę deszczem, a cały świat wypełnił się monotonnym szumem wody, w miarę jak ciężkie krople uderzały w lagunę, tworząc niegasnące koła na jej powierzchni. W górze zbierały się coraz ciemniejsze chmury, grożąc zrzućeniem na ziemię jeszcze większej ilości wody, hrabia Brass zdecydował więc odłożyć inspekcję do następnego dnia i zawrócić do zamku Aigues-Mortes, od którego dzieliło go dobre cztery godziny drogi krętymi bagnistymi ścieżkami.

Zawrócił konia do domu wiedząc, że zwierzę instynktownie odnajdzie drogę. Wkrótce deszcz nasilił się, nasycając całkowicie jego płaszcz wodą i niespodziewanie zapadła noc. Wyrosła przed nim zwarta ściana ciemności, przecinana srebrzystymi nitkami deszczu. Koń zwolnił nieco, ale nie zatrzymywał się. Hrabia Brass czuł intensywny zapach mokrej skóry zwierzęcia i obiecał mu w duchu specjalne traktowanie ze strony stajennych, kiedy dotrą do AiguesMortes. Otrząsnął rękawicą wodę z grzywy

zwierzęcia i wbił oczy w ciemności przed sobą, lecz był w stanie dostrzec jedynie trzciny wyłaniające się nagle z mroku tuż obok konia, od czasu do czasu słyszał też nerwowe kwakanie krzyżówek i uderzenia ich skrzydeł o wody laguny, kiedy spłoszyła je wydra albo wodny lis. Czasami wydawało mu się, że dostrzega nad głową ciemny zarys i słyszy szum skrzydeł flaminga, spieszącego do gniazda, albo że rozpoznaje pisk pardwy walczącej o życie z sową. W pewnym momencie zamajaczyły w ciemnościach przed nim białe sylwetki, a do jego uszu dotarł odgłos niepewnych kroków stada białych bawołów, zmierzających na nocleg w stronę suchszych terenów. Po jakimś czasie jego wyczulony słuch odebrał również charakterystyczne posapywanie niedźwiedzia bagiennego, posuwającego się za stadem, delikatnie stawiającego łapy na trzęsącej się powierzchni błota. Wszystkie te odgłosy były świetnie znane hrabiemu i nie wzbudzały niepokoju.

Nie zdumiało go jakże piskliwe rzenie przestraszonych koni i dobiegający z oddali tętent kopyt, a jego spokój został zakłócony dopiero wtedy, gdy wierzchowiec zatrzymał się i zakołysał niezdecydowanie. Konie zmierzały prosto w ich kierunku, pędząc w panice wąską groblą. Po chwili hrabia Brass ujrzał przewodnika stada, parskającego ogiera o rozdętych chrapach, z wytrzeszczonymi ze strachu oczyma.

Hrabia Brass krzyknął i pomachał ręką, starając się zawrócić ogiera z drogi, lecz zwierzę ogarnięte całkowicie paniką, nie zwróciło uwagi na człowieka. Nie było innego wyjścia. Hrabia Brass ściągnął wodze przy pysku wierzchowca i skierował go w bagno, żywiąc desperacką nadzieję, iż grunt okaże się na tyle stabilny, że ich utrzyma przynajmniej do czasu, aż stado przebiegnie. Rumak wkroczył pomiędzy trzciny, ostrożnie

stawiając nogi w poszukiwaniu pewniejszego oparcia w grząskim błocku, po chwili zanurzył się w głęboką wodę, hrabia dostrzegł rozbryzgi i poczuł je na twarzy, a koń popłynął najlepiej jak potrafił poprzez zimną lagunę, dzielnie dźwigając zakutego w zbroję jeźdźca.

Stado minęło ich szybko, a hrabia zaczął się zastanawiać, co też mogło spłoszyć zwierzęta, bowiem dzikie rogate konie z Kamargu nie należały do płochliwych. Kiedy prowadził wierzchowca z powrotem ku ścieżce, do jego uszu dobiegł dźwięk, który natychmiast wyjaśnił mu przyczynę zamieszania, a jego dłoń niemal odruchowo spoczęła na rękojeści miecza. Były to mlaszczące odgłosy ślizgania się po powierzchni trzęsawiska, odgłosy zbliżającego się baragona – bagiennego bełkotnika. Zaledwie kilka spośród tych potworów zostało jeszcze przy życiu. Były to kreatury stworzone przez poprzednika hrabiego Brass a i wykorzystywane do terroryzowania mieszkańców Kamargu. Hrabia i jego ludzie niemal doszczętnie wytępilli stworzenia, ale te, które przeżyły, nauczyły się polować nocą i za wszelką cenę unikać większych gromad ludzi.

Baragony były kiedyś ludźmi, zanim nie pochwycono ich i nie uwięziono w tajnych laboratoriach poprzedniego Kanclerza, gdzie z pomocą czarnej magii dokonano transformacji postaci. Teraz były to monstra dwuipółmetrowej wysokości i mniej więcej półtorametrowej szerokości, o żółtawym kolorze skóry, które ślizgały się na brzuchach po powierzchni trzęsawisk, wracając do pozycji pionowej jedynie wtedy, kiedy napadały i rozszarpywały swoją ofiarę twardymi jak stal szponami. Kiedy zdarzało im się napotkać samotnego człowieka, mściły się na nim w okrutny sposób, z lubością odgryzając kończyny żywej ofierze. Gdy jego koń wydzwignął się na groblę, hrabia Brass dostrzegł

przed sobą sylwetkę baragona, a w nozdrza uderzył go potworny, dławiący w gardle fetor. Dobył swojego olbrzymiego miecza. Baragon usłyszał ich i zatrzymał się.

Hrabia Brass zsiadł z konia i stanął pomiędzy wierzchowcem a potworem. Mocno ścisnął oburącz szeroki miecz i ruszył powoli na usztywnionych nieco z powodu spiżowej zbroi nogach w kierunku baragona. Ten zaczął nagle bełkotać piskliwym, przenikliwym głosem, wyprostował się na całą wysokość i wyciągnął w stronę hrabiego szpony, chcąc go odstraszyć. Ale dla hrabiego Brassa wygląd potwora nie był niczym przerażającym, widywał bowiem w swoim życiu straszniejsze stworzenia. Zdawał sobie jednak sprawę, że jego szanse w starciu z bestią są dość nikłe, jako że stwór świetnie widział w ciemnościach, a poza tym trzęsawisko było jego naturalnym siedliskiem. Hrabia Brass mógł zwyciężyć tylko sprytem.

— No i co. ty chorobliwie cuchnąca paskudo? – odezwał się niemal żartobliwym tonem. – Nazywam się hrabia Brass i jestem zaciekłym wrogiem całej twojej rasy. To ja wyplenilem wszystkich twoich krewniaków, to dzięki mnie tak mało jest dzisiaj twoich braci i sióstr. Czy ci ich nie brak? A może masz ochotę do nich dołączyć?

Głośny bełkot baragona wyrażał wściekłość, jednak pojawił się w nim cień niepewności. Zakołysał ogromnym cielskiem, lecz nie zbliżył się do hrabiego.

Hrabia Brass zaśmiał się.

— A więc, tchórzliwa kreaturo czarnej magii? Jaka jest twoja odpowiedź?

Potwór otworzył szeroko usta, chcąc wyartykułować jakieś słowa zniekształconymi wargami, lecz nie wydostało się spomiędzy nich nic, co można by było rozpoznać jako ludzką

mowę. Jego oczy wyraźnie unikały spojrzenia hrabiego.

Starając się, by wyglądało to na całkowicie przypadkowy gest, hrabia Brass oparł olbrzymi miecz o ziemię i złożył obydwie osłonięte rękawicami dłonie na rękojeści.

— Widzę, że zaczynasz wstydzic się tego, iż terroryzowałeś konie znajdujące się pod moją opieką, a ponieważ jestem w dobrym humorze, daruję ci. Ruszaj swoją drogą, a pozwolę przeżyć ci jeszcze kilka dni. Jeśli zaś zostaniesz, umrzesz w tej chwili.

Mówił z taką pewnością siebie, że bestia przysiadła na ziemi, nie cofnęła się jednak. Hrabia uniósł w górę miecz, jak gdyby zniecierpliwiony, po czym ruszył śmiało do przodu. Skrzywił nos od straszliwego fetoru bijącego od potwora, pół chwili zatrzymał się i machnął mieczem w jego kierunku, chcąc go odegnąć.

— Zmykaj stąd z powrotem na bagna, ukryj się w szlamie, gdzie jest twoje miejsce. Jestem dzisiaj w litościwym nastroju.

Spomiędzy mokrych warg baragona wydobyło się warknięcie, stał jednak nadal w miejscu.

Hrabia Brass zmarszczył nieco brwi, czekając na właściwą chwilę, wiedział już bowiem, że baragon nie wycofa się bez walki. Uniósł miecz jeszcze wyżej.

— Czyżbyś wybierał ten właśnie los?

Baragon zaczął podnosić się na całą wysokość tylnych nóg, ale hrabia bezbłędnie wybrał odpowiedni moment. Jego ciężki oręż zataczał już wielki łuk, celując w kark potwora.

Stworzenie wysunęło daleko przed siebie obie szponiaste dłonie, a w jego bełkotliwym zawodzeniu zabrzmiała mieszanina nienawiści i przerażenia. Rozległ się metaliczny chrzęst, kiedy szpony dosięgnęły zbroi hrabiego, a on sam zatoczył się do tyłu. Paszcza potwora rozwarła się i zamknęła tuż obok twarzy

hrabiego, a ogromne czarne oczy pożerały go niemal z wściekłości. Walcząc o odzyskanie równowagi, nie wypuścił jednak miecza, wyciągnął go z ciała baragona, zaparł się mocno nogami i uderzył ponownie.

Strumień czarnej krwi bluznął z rany, ochlapując hrabiego. Z gardzieli bestii wydobył się jeszcze jeden straszliwy okrzyk, obie dłonie uniosły się w górę, próbując w desperacji utrzymać odrąbaną głowę na karku. Zwisła jednak w bok na ramieniu baragona, krew puściła się jeszcze silniejszym strumieniem i po chwili wielkie ciało runęło na ziemię.

Hrabia Brass stał przez jakiś czas nieruchomo, dysząc ciężko, a na jego ustach pojawił się ponury grymas satysfakcji. Szybkim ruchem starł z twarzy krew potwora, przygładził bujne wąsy grzbietem dłoni i w duchu pogratulował sobie, że nie utracił nic ze swej przebiegłości i zręczności. Zaplanował każdą chwilę tego starcia, od początku żywiąc zamiar, by zabić kreaturę. Musiał podsycać oszołomienie baragona aż do momentu, kiedy mógł pewnie zadać śmiertelny cios. Nie dostrzegał niczego złego w zwodzeniu stworzenia. Gdyby bowiem pozwolił sobie na uczciwą walkę z potworem, z pewnością to on, a nie baragon, leżałby teraz z odrąbaną głową w błocie.

Hrabia Brass zaczerpnął głęboki haust zimnego powietrza, po czym ruszył przed siebie. Sporo wysiłku musiał włożyć, nim udało mu się zepchnąć obutą stopą ciało martwego baragona ze ścieżki; trzęsawisko pochłonęło je z głośnym młaśnięciem.

Dosiadł ponownie swego rogatego konia; do Aigues-Mortes udało mu się dotrzeć bez dalszych przygód.

ROZDZIAŁ II

YISSELDA I BOWGENTLE

Brabria Brass dowodził armiami niemal w każdej ważniejszej bitwie tamtej epoki; był potęgą, której swe trony zawdzięczała co najmniej połowa władców Europy; wynosił i obalał królów i książęta. Mistrz intrygi, człowiek, którego rady ceniono niezwykle wysoko przy każdym politycznym sporze. W rzeczywistości był jedynie najemnikiem, ale najemnikiem ideału – idei wieczystego pokoju i zjednoczenia całego kontynentu europejskiego. Stąd też, na zasadzie prawa wyboru, wiązał się z różnymi siłami, które w jego ocenie mogły wnieść jakikolwiek wkład do osiągnięcia przyświecającego mu celu. Wielokrotnie odrzucał propozycje rządzenia imperiami, wiedział bowiem, że w tych czasach trzeba było pięciu lat na zbudowanie imperium, lecz zaledwie sześciu miesięcy na jego zrujnowanie, historia bowiem wciąż się tworzyła na nowo, a jedynym jego pragnieniem było zmienić jej bieg choć odrobinę, tak by osiągnąć to, co sam uważał za najlepsze. Zmęczony wojnami, intrygami, a nawet w pewnej mierze ideałami, stary bohater nie bez wahania przyjął ofertę ludzi z Kamargu, by objąć stanowisko Lorda Kanclerza.

Owa starożytna kraina trzęsawisk i lagun leżała w pobliżu wybrzeża Morza Śródziemnego. Kiedyś stanowiła integralną część kraju zwanego Francją, a teraz na obszarze Francji istniały dwa tuziny księstw, a każde z nich nosiło równie pompatyczną nazwę. Kamarg, z rozległymi przestrzeniami, z

wyblakłymi barwami pomarańcza, żółci, czerwieni i purpury, z relikdami z zamierzchłej przeszłości i nie zmieniającymi się od wieków zwyczajami i rytuałami, spodobał się hrabiemu, osiedlił się więc tutaj, biorąc na swe barki zapewnienie bezpieczeństwa przybranej ojczyźnie.

W swoich podróżach po wszystkich dworach Europy zgłębił wiele tajemnic, stąd też masywne, posępne wieże wzniesione wzdłuż granic Kamargu chroniły jego terytorium z pomocą potężniejszych, a jednocześnie mniej znanych broni niż oburęczne miecze i ogniste lance.

U południowych granic trzęsawiska przechodziły stopniowo w otwarte morze, a do małych portów zawijały od czasu do czasu statki, chociaż podróżni rzadko schodzili na ląd. Powodem tego było ukształtowanie terenu Kamargu. Dzikie krajobrazy odstraszały nie obeznanych z nimi ludzi, a bezpieczne przejścia przez bagna były trudne do odnalezienia. Z trzech pozostałych stron ograniczały krainę pasma górskie. Wędrowcy, pragnący dostać się w głąb kontynentu schodzili na ląd najczęściej na wschód od Kamargu i wyruszali łodziami w górę Rodanu. Stąd też do Kamargu docierało niewiele nowinek z otaczającego go świata, a te, które jednak dotarły, były zwykle nieaktualne.

Stanowiło to zresztą jeden z powodów, dla których hrabia Brass tutaj osiadł. Rozsmakował się w poczuciu izolacji. Zbyt długo był czynnie zaangażowany w sprawy tego świata, by nawet najbardziej sensacyjne wiadomości zdołały go bardziej zainteresować. W młodości dowodził armiami w ciągle przetaczających się przez Europę wojnach. Teraz jednakie, zmęczony wszelakiego rodzaju konfliktami, odrzucał wszystkie prośby o wsparcie, czy chociażby radę, bez względu na oferowane wynagrodzenie.

Na zachodzie leżało wyspiarskie Imperium Granbretanu, jedyny kraj rzeczywiście stabilny politycznie, kraj na wespół obłąkańczej nauki oraz nieśmiertelnych aspiracji do podbojów. Po wybudowaniu wysokiego i krętego srebrzystego mostu, który spiął brzegi cieśniny o pięćdziesięciokilometrowej szerokości, imperium przystąpiło do intensywnego powiększania własnego terytorium, posługując się czarną magią oraz machinami wojennymi w rodzaju mosiężnych skrzydłolotów o zasięgu przekraczającym sto pięćdziesiąt kilometrów. Jednakże nawet wtargnięcie Mrocznego Imperium na kontynent europejski nie zaniepokoiło zbytnio hrabiego Brassa; wierzył bowiem, że takie są prawa historii, iż podobne rzeczy muszą się zdarzać. Dostrzegał także pewne pozytywy wynikające z tego typu przemocy, choćby nawet niezwykle okrutnej – mogła doprowadzić do zjednoczenia opierających się państweczek w jeden organizm.

Filozofia hrabiego Brassa była filozofią doświadczenia, filozofią człowieka obeznanego z życiem raczej niż teoretyka, toteż nie widział żadnych powodów, by wątpić, czy Kamarg, za który ponosił wyłączną odpowiedzialność, jest wystarczająco mocny, by przeciwstawić się nawet całej potędze Granbretanu.

Nie uważając zatem, że mógłby się czegoś obawiać ze strony Granbretanu, obserwował z pewną dozą podziwu, jak rok po roku naród ten z okrucieństwem i niezwykłą sprawnością rozpościera swój cień coraz szerzej i szerzej ponad Europą.

Cień ten objął już całą Skandię oraz wszelkie narody północy, do linii wyznaczonej znanymi miastami: Parją, Monchainem, Wieną, Krahkovem, Kerninsburgiem (będącym w istocie bramą do tajemniczej krainy Moskovii). Wielki półkolisty cień potęgi w głównym masywie kontynentalnym – wielkie półkole,

rozszerzające się niemal z dnia na dzień; w najbliższym czasie miało dotrzeć do północnych rubieży takich krain, jak Italia, Madzaria czy Sławia. Hrabia Brass domniemywał, że wkrótce potęga Mrocznego Imperium rozciągnie się od Morza Norweskiego po Morze Śródziemne i jedynie Kamarg pozostanie krainą nie znajdującą się pod jego rządami. Ta świadomość odegrała poważną rolę w decyzji objęcia stanowiska Lorda Kanclerza, kiedy poprzedni Kanclerz, skorumpowany rzekomy czarownik, pochodzący z krainy Bulgarów, został rozszarpany na kawałki przez kamarskich gwardzistów, którymi zresztą dowodził.

Hrabia Brass sprawił, że Kamarg stał się bezpieczny od napaści z zewnątrz i od zagrożeń wewnętrznych. Baragonów, które terroryzowały mieszkańców wielu małych wiosek, pozostało zaledwie kilku, a z innymi niebezpieczeństwami rozprawił się w podobny sposób.

Hrabia zamieszkał w przytulnym zamku w Aigues-Mortes, napawając się radościami prostego życia w rolniczej krainie, ludzie zaś, po raz pierwszy od wielu lat, zostali uwolnieni od niepokoju.

Zamek, znany obecnie jako Zamek Brass, zbudowany został kilka wieków wcześniej na szczycie swego rodzaju sztucznej piramidy, wznoszącej się wysoko w centrum miasta. Teraz piramida ukryta była pod grubą warstwą ziemi, a jej zbocza opadające tarasami pokrywała trawa i rabaty kwiatowe, hodowano tam też winorośla i warzywa. Utrzymywane w doskonałym stanie trawniki służyły jako miejsca zabaw dla dzieci i spacerów dorosłych, uprawy winogron dostarczały najlepszych gatunków wina w Kamargu, w niższych zaś partiach rosły rzędy szparagów, zagony ziemniaków, kalafiorów,

marchwi, sałaty i wielu innych znanych warzyw, jak również bardziej egzotyczne uprawy w rodzaju gigantycznych dyniowatych pomidorów, drzew selerowych czy słodkich ambroginów. Znajdowały się tam także drzewa i krzewy owocowe, zaopatrujące zamek w owoce niemal przez okrągły rok.

Zamek wzniesiono z tego samego białego kamienia co inne domy miasta. Miał okna z grubymi taflami szkła (w większości pokryte fantazyjnymi malowidłami) oraz zdobione wieże i blanki mistrzowskiej roboty. Z najwyższej umieszczonych wieżyczek widać było niemal całe terytorium, którego strzegł, a jego konstrukcja, istny labirynt wywietrzników, szybów i maleńkich drzwiczek, powodowała, że gdy nadciągał mistral, cały zamek rozbrzmiewał jego naturalną muzyką, niczym gigantyczne organy, których głos niósł się z wiatrem daleko.

Zamek górował ponad czerwonymi dachami domów miasteczka oraz stojącą pośród nich areną, zbudowaną, jak głosiła legenda, wiele tysięcy lat temu przez Rzymian.

Hrabia Brass wspiał się na strudzonym wierzchowcu krętą drogą do zamku i zakrzyknął do straży, by otworzono mu bramę. Deszcz zelżał już nieco, ale noc była zimna i hrabia spieszył się do ciepłych pomieszczeń. Minął wielkie żelazne wrota i wjechał na dziedziniec, gdzie przekazał konia stajennemu. Wbiegł szybko po schodach, wszedł przez drzwi zamku, minął krótki pasaż i znalazł się w głównym holu.

W kominku płonął z hukiem wielki ogień, a przy nim w głębokich wyściełanych fotelach siedzieli jego córka Yisselda oraz stary przyjaciel Bowgentle. Powstali na powitanie, Yisselda wspięła się na palce i pocałowała go w policzek, Bowgentle zaś uśmiechnął się.

Wyglądasz, jakbyś natychmiast potrzebował gorącej stawy i musiał włożyć coś cieplejszego od tej zbroi rzekł, pociągając za linkę dzwonka. Zajmę się tym.

Hrabia Brass skinął z wdzięcznością głową, stanął tuż przy ogniu, ściągnął z głowy hełm i z brzękiem położył go na gzymsie kominka. Yisselda klęczała już u jego stóp, szarpiąc rzemienie wiążące nagolenniki. Była to dziewiętnastoletnia piękna dziewczyna o delikatnej różowozłotej cerze i długich jasnych włosach, ani blond ani kasztanowych, lecz o barwie znacznie ładniejszej niż wynikałoby z połączenia obu. Ubrana była w ognisto pomarańczową, powłóczystą suknię, przydającą jej wyglądu płomiennego duszka, kiedy podchodziła miękkim krokiem, z odwiązanymi nagolennikami w rękę, ku służącemu, stojącemu już w sali ze zmianą odzieży dla jej ojca.

Drugi sługa pomógł hrabiemu zdjąć napierśnik, naplecznik i pozostałe części zbroi. Wkrótce Brass był już ubrany w miękkie, luźne spodnie i bluzę z białej wełny, a na wierzch narzucił lnianą togę.

Na niewielkim stoliku, ustawionym w pobliżu ognia, pojawiły się befsztyki z tutejszych bawołów, ziemniaki, surówki, wyśmienity tłusty sos, a także dzban grzanego wina. Hrabia Brass usiadł, wzdychając głośno i zaczął jeść.

Bowgentle stanął przy ogniu, przyglądając mu się, podczas gdy Yisselda zwinęła się w kłębek na stojącym naprzeciwko fotelu i czekała w milczeniu, aż hrabia zaspokoi pierwszy głód.

— Cóż, mój panie? – odezwała się z uśmiechem. – Jak minął dzień? Czy cały nasz kraj jest bezpieczny?

Hrabia Brass skinął głową z udaną powagą.

— Tak mi się wydaje, moja pani, chociaż nie byłem w stanie dotrzeć do wież północnych, poza jedną. Rozpadał się deszcz i

zdecydowałem się wrócić do domu – rzekł, po czym opowiedział o swym spotkaniu z baragonem.

Yisselda słuchała z rozszerzonymi oczyma, Bowgentle zaś wyglądał na zatroskanego z tą swoją ascetyczną twarzą, wydętymi policzkami i ściągniętymi wargami. Znany poeta i filozof nie zawsze aprobował wyczyny przyjaciela i sądził, jak się zdawało, że hrabia Brass sam ściąga na siebie tego typu przygody.

— Przypominasz sobie zapewne – odezwał się Bowgentle, kiedy tylko hrabia skończył opowieść – że radziłem ci dzisiejszego ranka, byś zabrał ze sobą von Villacha i kilku innych gwardzistów.

Porucznik von Villach był starym, wiernym żołnierzem, który towarzyszył hrabiemu w większości jego poprzednich wypraw.

Hrabia Brass zaśmiał się prosto w twarz ponuremu przyjacielowi.

— Von Villach? On jest stary i powolny. Poza tym to byłoby niehumanitarne wyciągać go z zamku na taką pogodę! Bowgentle uśmiechnął się kwaśno.

— Jest o rok czy dwa młodszy od ciebie, hrabio...

— Możliwe, lecz czy uważasz, że zdołałby pokonać baragona jedną ręką?

Przecież nie o to chodzi kontynuował niewzruszony Bowgentle. – Gdybyś podróżował z nim i z oddziałem uzbrojonych ludzi, nie musiałbyś w ogóle walczyć z baragonem.

Hrabia Brass machnął dłonią, ucinając dyskusję.

— Muszę się utrzymywać w formie, w przeciwnym razie przemienię się w takiego samego staruszka jak von Villach. – Jesteś odpowiedzialny za wszystkich ludzi w naszym państwie, ojczyźnie – wtrąciła szybko Yisselda. – Gdybyś został zabity...

— Nie zostanę zabity! – Hrabia uśmiechnął się pogardliwie, jak gdyby śmierć była czymś, co osiąga wyłącznie innych. W świetle ognia jego twarz przypominała wojenną maskę, wyrzeźbioną w metalu przez starożytne barbarzyńskie plemię – jakimś sposobem zdawała się niezniszczalna.

Yisselda wzruszyła ramionami. Miała większość tych cech charakteru, co jej ojciec, stąd żywiła przeświadczenie o bezcelowości dyskusji z takim uparciuchem jak hrabia Brass. Bowgentle wyraził się kiedyś o niej w napisanym dla siebie wierszu, że "jest jak jedwab; równie mocna, jak delikatna" i teraz, przyglądając się obojgu, stwierdzał w duchu z pewną dozą czułości, jak bardzo wyraz twarzy jednego odzwierciedla nastroje drugiego.

— Dowiedziałem się dzisiaj, że Granbretan zagarnął prowincję Kln jakieś sześć miesięcy temu Bowgentle zmienił temat. – Ich podboje rozszerzają się jak plaga.

— W gruncie rzeczy zdrowa plaga – rzekł hrabia Brass, odchylając się na krześle. – W końcu zaprowadzają jakiś porządek.

— Możliwe, że porządek polityczny odparł żarliwie Bowgentle. – Lecz nie jest to porządek ani duchowy, ani moralny. Ich okrucieństwo nie ma sobie równych. Są szaleni. Ich dusze przepełnia chorobliwa miłość ku wszystkiemu co złe i nienawiść do wszystkiego co szlachetne.

Hrabia Brass pogładził wąsy.

— Niegodziwość istniała zawsze. Bulgar, który rządził tym krajem przede mną, był niemal równie szalony jak oni. – Ale Bulgar był pojedynczym przypadkiem. Podobnie jak markiz Pesztu, Roldar Nikolayeff i inni tego pokroju. Byli wyjątkowi i niemal w każdym przypadku kończyło się powstaniem ludzi

przeciwko nim i obaleniem szaleńca w porę. Ale Mroczne Imperium to cały naród takich indywidualności, a akcje przez nich podejmowane wydają się im zrozumiałe same przez się. W Kln ich rozrywką było ukrzyżowanie wszystkich młodych dziewczyn w mieście, uczynienie z każdego chłopaka eunucha, a dorośli, którzy chcieli ująć z życiem, zmuszani byli do lubieżnych czynów na ulicach. To nie jest wrodzone okrucieństwo, hrabio, a przecież potrafili zachowywać się jeszcze gorzej. Ich celem wydaje się całkowite wyplenienie człowieczeństwa.

Tego typu historie są wyolbrzymiane, przyjacielu. Powinieneś o tym pamiętać. Cóż, sam byłem obwiniany... – Sądząc po tym wszystkim, co słyszę, podobne plotki nie są wyolbrzymieniem faktów, lecz uproszczeniem przerwał mu Bowgentle. – Jeśli ich publiczna działalność przejawia się w tak okrutny sposób, to jakież muszą być ich osobiste upodobania?

Yisselda wzdrygnęła się. – Nie mam nawet odwagi pomyśleć...

— Właśnie – wtrącił Bowgentle, zwracając twarz w jej stronę. – Niewiele ludzi ma także odwagę powtórzyć to, co słyszeli. Zaprowadzany przez nich porządek jest powierzchowny, a chaos, który niosą ze sobą, wypala duszę ludzi.

Hrabia Brass wzruszył szerokimi ramionami.

Cokolwiek by robili, wszystko jest tymczasowe. Natomiast unifikacja, jaką narzucają światu, jest czymś długotrwałym. Wspomnisz moje słowa.

Bowgentle skrzyżował ramiona na okrytej czarnym strojem piersi.

— Ale cena jest zbyt wysoka, hrabio Brass.

— Żadna cena nie jest zbyt wysoka! Jaki mamy wybór Księżewka Europy, dzielące się na coraz mniejsze i mniejsze prowincje, i wojnę jako stały element życia zwyczajnych ludzi?

Dzisiaj rzadko kto ma okazję spędzić życie w pokoju od kołyski po grób. Wszystko zmienia się nieustannie. Granbretan przynajmniej oferuje stabilizację.

— I terror? Nie mogę się z tobą zgodzić, przyjacielu. Hrabia Brass nalał sobie kielich wina, wypił, po czym ziewnął dyskretnie.

— Zbyt bierzesz do serca takie pojedyncze przypadki. Bowgentle. Gdybyś miał moje doświadczenie, stwierdziłbyś, że nawet takie zło szybko przemija, albo wskutek nie odłącznie z nim związanego znudzenia, albo pokonane w jakiś tam sposób przez innych. Za sto lat Granbretańczycy będą stanowili najbardziej miłujący prawo i wysoce moralny naród. – Hrabia Brass mrugnął porozumiewawczo do córki, ale ta nie odpowiedziała mu uśmiechem, jak gdyby dzielając zdanie Bowgentle'a.

— Ich szaleństwo jest zbyt silnie zakorzenione, by sto lat mogło ich uleczyć. Można to osądzić choćby tylko po ich wyglądzie. Te ich nabijane klejnotami zwierzęce maski, których nigdy nie zdejmują, ich groteskowe ubiory, noszone nawet przy największych upałach, ich postawa, ich sposób poruszania się... Wszystko to jedynie potwierdza moją opinię o nich. Mają szaleństwo zapisane w genach i ich potomkowie będą równie szaleni. – Bowgentle uderzył dłonią o filar paleniska. – Nasza pasywność oznacza cichą zgodę na ich postęпки. Powinniśmy...

Hrabia Brass uniósł się z krzesła.

Powinniśmy iść do łóżek i położyć się spać, przyjacielu. Jutro musimy zjawić się na otwarciu uroczystości na arenie.

Skinął głową Bowgentle'owi, pocałował córkę delikatnie w czoło, po czym wyszedł z sali.

ROZDZIAŁ III

BARON MELIADUS

O tej porze roku ludzie w Kamargu rozpoczynali wielkie uroczystości, oznaczające zakończenie letnich prac polowych. Domy ozdabiano kwiatami, mieszkańcy ubierali się w bogato haftowane, jedwabne i lniane stroje, młode byki do woli szarżowały po ulicach, odbywały się parady chełpiących się swoim wyszkoleniem gwardzistów. Wieczorami w starożytnym kamiennym amfiteatrze, na obrzeżu miasta, urządzano korridy. Siedzenia amfiteatru, wznoszące się piętrowo, wykute zostały w surowym granicie. W pobliżu muru, oddzielającego arenę od widowni, na południowej stronie, znajdował się sektor przykryty dachem z czerwonej dachówki, podtrzymywanym przez zdobione ornamentami filary. Po bokach osłaniały go kurtyny w barwach ciemnego brązu i szkarłatu. W loży tej zasiedli hrabia Brass, jego córka Yisselda, Bowgentle oraz stary von Villach.

Hrabia Brass i towarzyszące mu osoby mogli stąd widzieć niemal cały amfiteatr, który właśnie zaczynał się wypełniać, słyszeli gwar podnieconych głosów oraz miotanie się i parskanie byków oddzielonych barykadą.

Wkrótce też sześciu gwardzistów po przeciwnej stronie amfiteatru, odzianych w błękitne płaszcze i hełmy przyozdobione piórami, zadęło w fanfary. Dźwięk spiżowych trąb zlał się ze wzmożonym tumultem czynionym przez byki oraz oklaskami tłumu. Hrabia Brass wstał i uczynił krok do przodu.

Na jego widok rozległy się jeszcze głośniejsze brawa, on zaś uśmiechnął się do ludzi i w geście podziękowania uniósł rękę. Kiedy owacje przycichły, rozpoczął tradycyjną mowę otwierającą uroczystości.

Mieszkańcy starożytnego Kamargu, których los ocalił przed zagładą Tragicznego Millennium, wy, których obdarowano życiem i którzy świętujecie to życie dzisiaj. Wy, których przodkowie ocaleni zostali przez gwałtowny mistrul, oczyszczający powietrze z trucizn, niosących innym śmierć i deformacje. Podziękujcie tym festiwalem nadchodzącemu Wiatrowi Życia!

Ponownie rozległy się gromkie brawa i po raz wtóry rozbrzmiały fanfary. Po chwili na arenę wypadło dwanaście olbrzymich byków. Galopowały dokoła, z wysoko uniesionymi ogonami, połyskującymi rogami, rozszerzonymi nozdrzami i błyszczącymi czerwonymi oczyma. Były to najlepsze, najwaleczniejsze byki Kamargu, tresowane przez cały rok do tego jedyne występu, kiedy to miały zmierzyć się z nie uzbrojonymi ludźmi, próbującymi zdobyć tych kilka wstążek owiniętych dokoła gardzieli i rogów zwierząt.

Następnie pojawili się konni gwardziści, którzy wymachując na powitanie tłumom, zaczęli zaganiać byki do zamkniętych pomieszczeń pod amfiteatrem.

Kiedy nie bez kłopotów spędzili już wszystkie byki z areny, wjechał na koniu mistrz, ceremonii, ubrany w płaszcz we wszystkich kolorach tęczy, jasnoniebieski kapelusz z szerokim rondem, miał też złoty megafon, przez który obwieścił imiona bohaterów pierwszego starcia.

Wzmocniony tak przez megafon, jak i ściany amfiteatru głos człowieka przypominał ryk rozwścieczonego zwierza. Z początku

wypowiedział imię byka – Cornerogue z Aigues-Mortes, własność Ponsa Yachara, znanego hodowcy byków – później zaś imię głównego toreadora, którym miał być Mahtan Just z Arles. Mistrz ceremonii zawrócił konia i zniknął. Niemal natychmiast na arenie pojawił się Cornerogue, rozcinający powietrze potężnymi rogami, a dekorujące je szkarłatne wstążki powiewały na silnym wietrze.

Cornerogue był olbrzymim bykiem, wysokości ponad półtora metra. Jego ogon uderzał o boki niczym ogon lwa, a czerwone oczy wbiły się w tłum, który okrzykami oddawał mu honory. Kwiaty rzucone na arenę opadły na jego szeroki biały kark. Obrócił się powoli, grzebiąc kopytem w pyle areny i depcząc kwiaty.

Po chwili, wręcz niepostrzeżenie pojawiła się na arenie drobna krępa sylwetka człowieka odzianego w czarną pelerynę zdobioną szkarłatnymi, jedwabnymi pasami, obcisły czarny kaftan i spodnie ze złocistymi wzorami, wysokie do kolan buty z czarnej skóry ze srebrnymi naszywkami. Na młodej śniadej twarzy widniał wyraz skupienia. Cisnął kapelusz o szerokim rondzie w stronę tłumu, obrócił się i stanął naprzeciwko Cornerogue'a. Niespełna dwudziestoletni Mahtan Just po występach na trzech poprzednich festiwalach był już sławny. Teraz kobiety rzucały kwiaty w jego stronę, a on dziękował im z galanterią i rozsyłał pocałunki, zbliżając się powoli do parskającego byka. Pełnym gracji ruchem zrzucił pelerynę, po czym odwrócił ją czerwoną podszewką w stronę Cornerogue'a, który wykonał kilka tanecznych kroków do przodu, parsknął raz jeszcze i pochylił łeb.

Byk ruszył do ataku.

Mahtan Just uskoczył w bok, jedną ręką ściągając wstążkę z

rogów Cornerogue'a. Wśród tłumu rozległy się brawa i głośne tupanie. Byk odwrócił się błyskawicznie i natarł ponownie. Jeszcze raz Just w ostatnim momencie uskoczył przed nim, zdejmując kolejną wstążkę. Uśmiechnął się szeroko, najpierw do byka, a następnie w kierunku tłumów, po czym wsunął oba trofea pomiędzy białe zęby.

Pierwsze dwie wstążki, umieszczone na końcach rogów byka, były stosunkowo łatwe do zdobycia. Just, zdając sobie z tego sprawę, zdjął je jak gdyby od niechcienia. Teraz musiał sięgnąć po te znajdujące się niżej na rogach, a było to zadanie o wiele bardziej niebezpieczne.

Hrabia Brass pochylił się do przodu w łoży, patrząc z podziwem na toreadora. Yisselda uśmiechnęła się.

— Czyż on nie jest wspaniały, ojczy? Zachowuje się jak tancerz!

— Owszem, w tańcu ze śmiercią – wtrącił Bowgentle tonem, w którym zabrzmiała udawana surowość.

Stary von Villach odchylił się na oparcie krzesła, robiąc wrażenie znudzonego widowiskiem. Powodem tego mógł być jego wzrok, nie tak dobry już jak niegdyś, chociaż nawet sam przed sobą nie chciał się do tego przyznać.

Teraz byk popędził wprost na Mahtana Justa, który stał niewzruszenie na jego drodze, z rękoma opartymi na biodrach, odrzuciwszy pelerynę na ziemię. Gdy byk miał go już dosięgnąć, Just wyskoczył wysoko w powietrze, przefrunął tuż ponad rogami, wykonał salto nad Cornerogue'em, ten zaś zarył się kopytami w ziemię i parsknął ze zdumienia. Odwrócił głowę dopiero wtedy, kiedy Just zaśmiał się głośno.

Lecz zanim byk zdołał się obrócić, Just skoczył raz jeszcze, lądując tym razem na jego karku, i chociaż zwierzę wyprężyło

grzbiet i zaczęło miotać się dziko pod ciężarem, toreador ze wszystkich sił uczepił się jednego rogu, odwiązując jednocześnie wstążkę z drugiego. Po chwili Just został zrzucony na ziemię, zamachał jednak publiczności kolejną zdobytą wstążką rozwiniętą na całą długość iomalże już stanął na równe nogi, kiedy byk ruszył do kolejnej szarży.

Na trybunach podniósł się przeraźliwy tumult. Tłum klaskał w ręce, krzyczał i ciskał na arenę całe morze jaskrawo zabarwionych kwiatów. Just biegał teraz szybko dokoła areny, ścigany przez byka. Nagle zatrzymał się, jak gdyby chcąc namyślić się przez chwilę, odwrócił się na pięcie, a na jego twarzy odmalowało się zdumienie, że byk znajduje się tuż za jego plecami.

Skoczył jeszcze raz, ale tym razem róg zahaczył o skraj szaty i rozdarł ją, wytrącając człowieka z równowagi. Just wsparł się jedną ręką na karku byka, chcąc stanąć pewniej na ziemi, potknął się jednak i padł na ziemię, a byk natarł na niego.

Just zaczął się gramolić ociężale, jak gdyby świadom sytuacji, lecz niezdolny do powstania na nogi. Byk pochylił głowę, a jego rogi dosięgnęły człowieka. W blasku słońca zabłysły wyraźnie krople krwi i w tłumie rozległ się chóralny jęk, wyrażający jakby mieszaninę żalu i żądzy krwi.

— Ojczy! – krzyknęła Yisselda, obejmując dłonią ramię hrabiego Brassa. – On zginie! Pomóż mu!

Hrabia Brass pokręcił głową, chociaż jego ciało mimowolnie pochyliło się w kierunku areny.

— To jego sprawa. Sam podjął to ryzyko.

Ciało Justa wyleciało wysoko w powietrze, z rękoma i nogami zwieszonymi bezwładnie jak u szmacianej lalki. Na arenie pojawili się konni gwardziści z długimi lancami, próbujący

odpędzić byka od ofiary.

Ale zwierzę nie miało zamiaru się poruszyć. Stało nad nieruchomym ciałem Justa jak krwiożerczy kot zastygły na chwilę nad ciałem zdobyczy.

Hrabia Brass przeskoczył przez ogrodzenie areny, zanim jeszcze uświadomił sobie, co czyni. Ruszył przed siebie w spiżowej zbroi, niczym metalowy gigant zmierzający w stronę byka.

Jeźdźcy ściągnęli wodze koni, a hrabia Brass rzucił się całym ciałem na głowę byka, obejmując stalowym uściskiem jego rogi. Żył nabrzmiały na jego rumianej twarzy, kiedy usiłował odepchnąć zwierzę.

Cornerogue poruszył nagle głową i hrabia Brass zaczął tracić grunt pod nogami, nie zwolnił jednak uścisku, przesunął tylko ciężar ciała na jedną stronę, odchylając zarazem głowę byka do tyłu tak, by powalić go na ziemię.

Panowała niezmacona cisza. W loży Yisselda, Bowgentle i von Villach rzucili się do przodu z pobladłymi twarzami. W całym amfiteatrze wyczuwało się napięcie, hrabia Brass zaś powoli wyteżał wszystkie swoje siły. Kolana byka ugięły się. Parsknął, potem ryknął, a jego ciało zachwiało się. Hrabia Brass, drżąc z wysiłku, naciskał, mocno na rogi, nie odstępując. Jego wąsy i włosy jakby, się nastroszyły, mięśnie pod poczerwieniałą skórą karku silnie nabrzmiały; byk stopniowo słabł i wreszcie runął na kolana. Ludzie rzucili się, żeby ściągnąć poranionego Justa z areny, ale na widowni ciągle panowała cisza. Gwałtownym szarpnięciem hrabia Brass powalił wreszcie Cornerogue'a na ziemię. Byk leżał nieruchomo, łyskając ślepiami; uznał, że został bezwarunkowo pokonany.

Hrabia Brass odstąpił do tyłu, ale byk nadal leżał nieruchomo,

spoglądał tylko w górę błyszczącymi, zdumionymi oczyma, jego ogon poruszał się powoli w pyle areny, a potężna pierś unosiła się i opadała. Na trybunach rozległy się pierwsze oklaski. Brawa zaczęły szybko przybierać na sile, jak gdyby ludzie chcieli, by cały świat usłyszał ich owacje. Zaczęto wstawać z miejsc i z niezwykłym aplauzem skandować imię Lorda Kanclerza, a Mahtan Just, który ponownie zjawił się na arenie, trzymając się za poraniony bok, z wdzięcznością uściśnął mocno dłoń hrabiego.

Duma i jednocześnie ulga wycisnęły łzy z oczu siedzącej w loży Yisseldy. Także Bowgentle bez wstydu otarł zwilgotniałe oczy. Jedynie von Villach siedział niewzruszony, kiwając głową w milczącej aprobacie dla czynu swego pana.

Hrabia Brass podszedł z powrotem do loży, uśmiechając się szeroko do córki i przyjaciół. Przeskoczył przez mur i usiadł ponownie na swoim miejscu. Zaśmiał się głośno i chełpliwie, po czym pomachał ręką wciąż wiwatującym tłumom.

Po chwili uniósł dłoń w jednoznacznym geście i brawa przycichły.

— To nie mnie oklaskujcie, ale Mahtana Justa. To on zdobył trofea. Popatrzcie! – Wyciągnął w kierunku ludzi otwarte dłonie. – Ja nie mam nic! – Rozbrzmiał śmiech. – Niech uroczystości trwają dalej – rzekł hrabia Brass i usiadł z powrotem.

Bowgentle, który zdążył odzyskać już spokój, pochylił się w stronę hrabiego Brassa.

— Czy nadal, mój przyjacielu, chcesz utrzymywać, że wolisz nie angażować się w zmaganiu innych?

Hrabia Brass posłał mu uśmiech.

— Jesteś niezmordowany, Bowgentle. Przecież to była tylko lokalna potyczka, czyż nie tak?

— Jeśli nadal śniesz o zjednoczonym kontynencie, to wszak sprawy Europy są bez wyjątku sprawami lokalnymi – Bowgentle podrapał się po brodzie. – Czyż nie tak? – Hrabia Brass przybrał na moment poważny wyraz twarzy.

— Może... – zaczął, zaraz jednak pokręcił głową i zaśmiał się. – Jesteś podstępny typem, Bowgentle, wciąż starasz się mnie od czasu do czasu skonfundować.

Ale później, kiedy opuścili lożę i zmierzali z powrotem do zamku, hrabia Brass był wyraźnie zatroskany. Gdy wszyscy wjechali na zamkowy dziedziniec, pod biegł do nich uzbrojony strażnik i wskazał w kierunku zdobnego powozu i czarnych, przybranych piórami ogierów, dźwigających siodła nieznanego tu wyrobu, którymi właśnie zajmowała się grupa stajennych.

— Panie – wysapał strażnik. – W trakcie trwania uroczystości na arenie do zamku przybyli goście. Nobliwi to goście, chociaż nie wiem, czy pan będzie się cieszył z ich przyjazdu.

Hrabia Brass surowym okiem popatrzył na powóz Wykonany był z klepanych blach, ciemnego złota, stali i miedzi, z inkrustacjami z macicy perłowej, srebra i onyksu. Kształtem przypominał groteskową bestię, której łapy kończyły się pazurami, obejmującymi osie kół. Gadzi łeb otwierał się na górze, mieszcząc w sobie siedzenie woźnicy. Na drzwiczkach wymalowana była tarcza herbowa, podzielona na wiele pól, zawierających dziwacznie wyglądające zwierzęta, oręż oraz symbole o niezbyt jasnym, niepokojącym charakterze. Hrabia Brass rozpoznał zarówno wystrój karety, jak i tarczę herbową. Pierwsze było dziełem szalonych kowali z Granbretanu. Drugie zaś tarczą herbową jednej z najbardziej znanych i wpływowych postaci tegoż narodu.

— To baron Meliadus z Kroiden – rzekł hrabia Brass, zsiadając

z konia. – Jakaż to sprawa może sprowadzać tak wielkiego pana do naszej skromnej rolniczej prowincji? – W jego głosie pobrzmiwała ironia, mimo to wydawał się zdenerwowany. Popatrzył znacząco na Bowgentle'a, kiedy filozof-poeta podszedł i stanął obok niego.

— Musimy go przyjąć z honorami, Bowgentle – dodał hrabia ostrzegawczo. – Pokażmy mu gościnność Zamku Brass. Nie powinniśmy spierać się z panami Granbretanu.

— Rozumiem, że przynajmniej nie w tej chwili – odezwał się wyraźnie skrepowany Bowgentle.

Kiedy Yisselda i von Villach dołączyli do nich, hrabia Brass z Bowgentle'em na przedzie weszli po schodach i wkroczyli do holu, gdzie ujrzeli oczekującego na nich samotnie barona Meliadusa.

Baron był niemal tak wysoki jak hrabia Brass. Ubrany od stóp do głów w czerń i ciemny błękit, nawet wysadzana klejnotami zwierzęca maska, zakrywająca niemal całą głowę niczym hełm, wykonana została z jakiegoś dziwnego czarnego metalu, a oczy zastępowały ciemnoniebieskie szafiry. Maskę odlano na kształt warczącego wilka, ukazującego w otwartej paszczy ostre jak igły zębiska. Baron Meliadus stojący w ocienionej części holu w czarnej pelerynie skrywającej większą część jego czarnej zbroi, mógł uchodzić za jedno z mitycznych bóstw o zwierzęcych głowach, którym ciągle jeszcze oddawano cześć w krainach leżących za Morzem Śródziemnym. Kiedy weszli, uniósł odzianą w czarną rękawicę dłoń i zdjął maskę, ukazując bladą, nalaną twarz o pedantycznie przystrzyżonych czarnych wąsach i brodzie. Włosy również były czarne, natomiast oczy miały dziwną barwę bladego błękitu. Najwidoczniej nie był uzbrojony, jakby dla podkreślenia, że przybył w pokojowych zamiarach.

Skłonił się nisko i przemówił głębokim, dźwięcznym głosem.

— Pozdrowienia, znamienity hrabio, i proszę mi wybaczyć to nagłe wtargnięcie. Wysłałem przed sobą gońców, ci przybyli jednak zbyt późno, by zastać cię przed uroczystością. Jestem baron Meliadus z Kroiden, Wielki Konstabl Orderu Wilka, Pierwszy Naczelnik Armii naszego potężnego Króla-Imperatora Huona... Hrabia Brass skłonił głowę.

— Twe wielkie dokonania są mi znane, baronie Meliadus. Rozpoznałem twój herb na karcie. Witaj zatem. Zamek Brass należy do ciebie tak długo, jak długo zechcesz w nim pozostać. Obawiam się, że nasze jadlo wyda ci się ubogim w porównaniu z bogactwem, które jak słyszałem, można znaleźć na stołach nawet najmniej znaczących panów potężnego Imperium Granbretanu, ono jednak również należy do ciebie.

Baron Meliadus uśmiechnął się.

— Twoja uprzejmość i gościnność mogłaby zawstydzić wszystkich w Granbretanie, wielki bohaterze. Dziękuję ci. Hrabia Brass przedstawił swoją córkę, której baron, najwyraźniej pod wrażeniem jej urody, skłonił się do ziemi, po czym ucałował dłoń. Z Bowgentle'em przywitał się uprzejmie, chwając się znajomością twórczości poety-filozofa, jednakże głos Bowgentle'a, gdy odpowiadał, świadczył wyraźnie, z jakim trudem udaje mu się zachować grzeczność. Przy von Villachu baron Meliadus przypomniał sobie kilka słynnych bitew, w których stary żołnierz się odznaczył, co wyraźnie uradowało porucznika.

Mimo wytwornych manier i wyszukanie grzecznych wyrażen dawało się odczuć w holu pewne napięcie. Bowgentle pierwszy przeprosił zebranych, wkrótce po nim Yisselda i von Villach odeszli dyskretnie, by umożliwić baronowi Meliadusowi

przedstawienie sprawy, która przywiodła go do Zamku Brass. Oczy barona zabłysły nieco, kiedy spoglądał za dziewczyną idącą przez salę. Podano wino i zakąski, a dwaj mężczyźni zasiedli w głębokich rzeźbionych fotelach.

Baron Meliadus popatrzył poprzez kielich pełen wina na hrabiego Brass.

— Jesteś światowym człowiekiem, mój panie – powiedział. – Jesteś nim z pewnością pod każdym względem. Ocenisz więc należycie fakt, iż powodem mojej wizyty było coś więcej niż zwykła potrzeba napawania się widokami tej przepięknej prowincji.

Hrabia Brass uśmiechnął się leciutko, jakby dziękując baronowi za szczerość.

— Na pewno – przyznał. – Z mojej strony to wielki honor spotkać się z tak znamienitym parem wielkiego Króla-Imperatora Huona.

— Podobne uczucie żywię i ja w stosunku do ciebie odparł baron. Meliadus. – Jesteś bez wątpienia najślawniejszym bohaterem Europy, może nawet najślawniejszym w całej jej historii. Niemal szokuje fakt, iż jesteś człowiekiem z krwi i kości, a nie z metalu – zaśmiał się, a hrabia Brass zawtórował mu.

— Miałem nieco szczęścia – rzekł hrabia Brass. – Los obszedł się ze mną łagodnie i jak się zdaje, dopomógł w ukształtowaniu mojej rozwagi. Któż mógłby rozsądzić, czy wiek, w którym żyjemy, jest odpowiedni dla mnie, czy to ja jestem odpowiedni dla tej epoki?

— Twoja filozofia jest całkowicie przeciwstawna tej, jaką reprezentuje twój przyjaciel, sir Bowgentle-zauważył baron Meliadus. – Potwierdza także to, co słyszałem o twojej mądrości i rozsądku. My w Granbretanie jesteśmy dumni z naszych

możliwości na tym polu, wierzę jednak, iż wiele moglibyśmy się od ciebie nauczyć.

— Moją domeną są wyłącznie detale, podczas gdy wy dysponujecie umiejętnościami dostrzegania zależności ogólnych – odrzekł hrabia, starając się odczytać z twarzy Meliadusa, do czego zmierza, pozostawała jednak nieprzenikniona.

— A my właśnie potrzebujemy detali, o ile nasze ogólne ambicje mają być urzeczywistnione tak szybko, jak byśmy sobie tego życzyli.

Teraz hrabia Brass pojął przyczynę wizyty barona Meliadusa, nie okazał tego jednak po sobie, wyglądał tylko na nieco zmieszanego i uczynnie napełnił kielich gościa winem.

— Naszym celem jest rządzenie całą Europą – odezwał się baron.

— I wydaje się, że go osiągniecie – przyznał hrabia Brass. – Muszę powiedzieć, że generalnie popieram takie ambicje.

— Cieszę się, hrabio Brass. Często jesteśmy przedstawiani w złym świetle, a nasi liczni wrogowie rozprzestrzeniają po całym świecie kłamstwa na nasz temat.

— Nie jestem zainteresowany w dochodzeniu prawdy czy też fałszu w tego typu plotkach – stwierdził hrabia. A moja wiara dotyczy wyłącznie ogólnych aspektów waszej działalności.

— Czy to znaczy, że nie będziesz się przeciwstawiał rozszerzaniu granic naszego Imperium? – baron Meliadus popatrzył na gospodarza uważnie.

— Co najwyżej w szczegółach – uśmiechnął się hrabia Brass. – W takim szczególnym przypadku jak ten kraj, który ochraniam, jak Kamarg.

— A więc zapewne powitałbyś z radością poczucie bezpieczeństwa, jakie może zapewnić pakt pokojowy pomiędzy

nami?

— Nie widzę takiej potrzeby. A poczucie bezpieczeństwa zapewniają mi moje wieże.

— Hm... – baron Meliadus utkwiał wzrok w podłódze.

— Czy taki był powód twojego przybycia, mój drogi baronie? Miałaś zaproponować mi pakt pokojowy? A może nawet przymierze?

— Pod pewnymi warunkami – przytaknęła baron. Warunkowe przymierze.

— Nie będę się ani przeciwstawiał, ani też wspomagał was – powiedział hrabia Brass. – Wystąpię przeciwko wam tylko wtedy, jeśli zaatakujecie moje ziemie. Wspomagał zaś wyłącznie, gdy uznam, że siła jednocząca jest w danej chwili niezbędna Europie.

Baron Meliadus pogrążył się w myślach na dłuższy czas. – A gdyby owo zjednoczenie zostało zagrożone? – zapytał w końcu..

Hrabia Brass zaśmiał się.

— Nie przypuszczam, żeby to było możliwe. Nie istnieje obecnie żadna potęga, mogąca się przeciwstawić Granbretanowi.

— To przekonanie jest słuszne – baron wyduł wargi. Lista naszych zwycięstw zaczyna nam się już powoli nudzić. Lecz im więcej ziem podbijamy, tym bardziej musimy rozśrodkowywać nasze siły. Gdybyśmy znali dwory Europy tak dobrze, jak na przykład ty, wiedzielibyśmy, komu można ufać, a komu nie, co pozwoliłoby nam skupić uwagę na najsłabszych punktach. Uczyniliśmy na przykład Wielkiego Księcia Ziminona gubernatorem Normandii. Baron Meliadus popatrzył uważnie na hrabiego Brass. Czy mógłbyś powiedzieć, że nasz wybór był trafny? Książę pretendował do tronu Normandii wówczas, gdy zasiadał na nim jego kuzyn, Jewelard. Czy uważasz, że jako gubernator pozostanie lojalny w stosunku do nas?

— Ziminon? – hrabia Brass uśmiechnął się. – Pomagałem pokonać go pod Rouen.

— Wiem. Lecz jaka jest twoja opinia o nim?

Hrabia Brass uśmiechnął się jeszcze szerzej, jako że zachowanie barona stawało się coraz bardziej natarczywe. Teraz wiedział już dokładnie, czego Granbretan się po nim spodziewał.

— Jest wyśmientym jeźdźcem i ma słabość do kobiet odparł.

— To nam nie pomoże ocenić, na ile możemy mu ufać. – Niemal zniecierpliwiony baron odstawił kielich wina na stół.

— To prawda – przyznał hrabia Brass. Popatrzył na olbrzymi ścienny zegar, wiszący nad kominkiem. Jego połączane wskazówki stały na godzinie jedenastej, a olbrzymie wahadło poruszało się majestatycznie tam i z powrotem, rzucając migotliwe odblaski na ścianę. Zaczynał właśnie wydzwaniać godzinę. – My w Zamku Brass udajemy się wcześniej do łóżek – rzekł obojętnie hrabia. Obawiam się, że wiemy życie prostych ludzi. – Podniósł się z krzesła. – Wezwę służącego, by wskazał ci twoje pokoje. Twoi ludzie zostali rozmieszczeni w komnatach przylegających do głównego apartamentu.

Niewyraźny cień przemknął przez twarz barona Meliadusa.

— Dobrze znana jest nam twoja biegłość w polityce, hrabio, twoja mądrość, twoja rozległa wiedza o wszelkich słabościach oraz mocnych stronach europejskich dworów. Chcielibyśmy zrobić użytek z tej wiedzy. W zamian oferujemy bogactwa, potęgę, bezpieczeństwo...

— Mam wszystko, czego mi potrzeba, jeśli idzie o dwa pierwsze walory i zagwarantowany trzeci – odpowiedział uprzejmie hrabia Brass, pociągając za linkę dzwonka. Proszę mi wybaczyć, ale jestem zmęczony i chciałbym położyć się spać. To było wyczerpujące dla mnie popołudnie.

— Posłuchaj głosu rozsądku, mój drogi hrabio, błagam cię. – Baron Meliadus czynił wysiłki, by nie stracić dobrych manier.

— Mam nadzieję, że zostaniesz z nami przez jakiś czas, baronie, i przekażesz nam nieco najświeższych wiadomości. Do sali wkroczył służący.

— Proszę pokazać naszemu gościowi jego pokoje zwrócił się hrabia do sługi, po czym uklonił się baronowi. – Dobrej nocy, baronie Meliadusie. Będę oczekiwał cię podczas śniadania, które jadamy o ósmej.

Kiedy baron w ślad za służącym wyszedł z sali, hrabia Brass pozwolił sobie na uzewnętrznienie własnego rozbawienia. Był zadowolony z faktu, że Granbretan oczekiwał pomocy z jego strony, jednakże nie miał zamiaru jej udzielać. Żywił nadzieję, że mimo natarczywości barona zachowa do końca dobre maniery, nie miał bowiem zamiaru robić sobie wroga z Mrocznego Imperium. Ponadto nawet dosyć podobał mu się baron Meliadus. Zdawało mu się, że łączą ich pewne wspólne cechy charakteru.

ROZDZIAŁ 10

WALKA W ZAMKU BRASS

Baron Meliadus zabawił w Zamku Brass przez tydzień. Po tym pierwszym wieczorze udało mu się całkowicie odzyskać panowanie nad sobą i nigdy już nie okazał najmniejszej oznaki zniecierpliwienia w stosunku do hrabiego Brass, choć ten uparcie nie chciał słuchać o jakichkolwiek potrzebach czy żądaniach Granbretanu. Prawdopodobnie nie tylko ta misja trzymała barona w Zamku Brass, wszyscy zauważyli, iż coraz więcej uwagi poświęcał Yisseldzie. Zwłaszcza w jej obecności stawał się wytworny i układowy do tego stopnia, iż oczywistym było, że nie obeznana z sofistycznymi zwyczajami wielkich dworów Yisselda przyciągała go swą atrakcyjnością.

Hrabia Brass zdawał się tego nieświadom. Pewnego ranka, podczas spaceru po górnych tarasach zamkowych ogrodów, Bowgentle zwrócił przyjacielowi na to uwagę.

— Baron Meliadus wydaje się zainteresowany nie tylko uwodzeniem ciebie życzeniami Granbretanu – powiedział. – Jeśli się nie mylę, chodzi mu również o inny rodzaj uwiedzenia.

— Co? – zapytał hrabia, oderwany od kontemplowania winorośli znajdujących się na niższym tarasie. – O cóż więcej mogłoby mu chodzić?

— O twoją córkę – odparł łagodnie Bowgentle.

— Och, przestań, Bowgentle – zaśmiał się hrabia.

Dostrzegasz złośliwość i złe intencje niemal w każdym zachowaniu człowieka. Jest dżentelmenem i szlachcicem. Poza

tym czegoś ode mnie oczekuje. Z pewnością nie narażałby tych ambicji na fiasko z powodu zwykłego flirtu. Sądzę, że niewłaściwie oceniasz barona Meliadusa. Muszę przyznać, że dosyć go polubiłem.

— Znaczy to, że nadszedł najwyższy czas, byś znów zaangażował się w politykę, mój panie – stwierdził Bowgentle z uniesieniem, chociaż jego głos nie stracił łagodnego tonu. – Zaczynam dostrzegać, że twoja intuicja nie jest już tak wyostrzona jak kiedyś.

Hrabia Brass wzruszył ramionami.

— Niewykluczone, chociaż wydaje mi się, że zaczynasz przypominać starą, nerwową kobietę, przyjacielu. Baron Meliadus zachowuje się przyzwoicie od dnia przyjazdu. Owszem, uważam, że traci tutaj jedynie czas i życzyłbym sobie, żeby zdecydował się jak najszybciej wyjechać, lecz nie dostrzegłem żadnego przejawu jakichkolwiek jego zamiarów w stosunku do mojej córki. Z pewnością mógłby chcieć pojąć ją za żonę, żeby wytworzyć więzy krwi pomiędzy mną a Granbretanem, ale Yisselda nie przyjęłaby takiej propozycji, podobnie jak i ja.

— A gdyby Yisselda pokochała barona Meliadusa i on żywiłby do niej namiętne uczucia?

— W jaki sposób mogłaby pokochać barona Meliadusa?

— Niewielu widuje tak przystojnych i wytwornych mężczyzn w Kamargu.

— Hm – mruknął zbywająco hrabia. – Gdyby pokochała barona, powiedziałyby mi o tym, nieprawdaż? Uwierzę w twoje słowa, kiedy potwierdzą je usta Yisseldy!

Bowgentle zastanawiał się w duchu, czy to niegodzenie się z faktami było powodowane skrytym pragnieniem odepchnięcia od siebie wszystkiego, co dotyczyło charakteru ludzi rządzących

Granbretanem, czy też zwykłą ojcowską niechęcią dostrzeżenia w dziecku tego, co dla innych okazywało się oczywiste. Bowgentle obiecał sobie, że będzie miał w przyszłości na oku oboje, zarówno barona Meliadusa, jak i Yisseldę. Nie mógł uwierzyć, że hrabia nie myli się w ocenie człowieka, który brał udział w Masakrze w Liege, wydał rozkaz splądrowania Sahbruck, i którego perwersyjne uczynki były źródłem plotek we wszystkich kuchniach, od Przylądka Północnego po Tunis. Jak się wyraził, hrabia zbyt długo przebywał na prowincji, oddychając jej czystym powietrzem. Teraz nie potrafił rozpoznać smrodu zgnilizny moralnej, nawet jeśli był bardzo wyraźny.

Chociaż hrabia Brass był powściągliwy w rozmowach z baronem Meliadusem, Granbretańczyk chętnie opowiadał o wielu sprawach. Okazało się, że nawet na tych terytoriach, gdzie nie sięgała władza Granbretanu, było wystarczająco wiele niezadowolonej szlachty i chłopstwa, gotowych na potajemne układy z agentami Mrocznego Imperium w zamian za obietnicę dóbr we włościach Króla-Imperatora, jeśli pomogą pokonać tych, którzy występowali przeciwko Granbretanowi. Okazało się także, że ambicje Imperium sięgają poza granice Europy, do Azji. Po drugiej stronie Morza Śródziemnego bytowały dobrze zorganizowane grupy, gotowe wspomóc Mroczne Imperium, kiedy nadejdzie czas ataku. Uznanie hrabiego Brass dla taktycznej zręczności Imperium wzrastało z dnia na dzień.

— Za dwadzieścia lat – mówił baron Meliadus – nasza będzie cała Europa. Za trzydzieści włączymy Arabię i jej sąsiadów. Za pięćdziesiąt będziemy dysponowali odpowiednią siłą, by ruszyć na tajemniczy kraj, oznaczony na naszych mapach jako Azjokomuna...

— W owej starożytnej i romantycznej nazwie zawarte jest, jak

mówią, wiele potężnej magii – hrabia Brass uśmiechnął się. – Czy to nie jest ten obszar, gdzie znajduje się Magiczna Laska?

— Owszem, legendy głoszą, że znajduje się w najwyższych górach świata, gdzie trwają wieczne zamiecie i wiatr dmie bez przerwy, chroniona przez owłosionych ludzi, niezwykle starych i mądrych, którzy mają ponad trzy metry wysokości i twarze małp. – Baron Meliadus uśmiechnął się. – Poza tym legendy umiejscawiają Magiczną Laskę w wielu miejscach, jak chociażby w Amarku.

Hrabia Brass skinął głową.

— Amarek... Czy ten kraj także bierzecie pod uwagę w swych snach o Imperium?

Amarek miał być wielkim kontynentem, leżącym jakoby po drugiej stronie oceanu, na zachodzie, rządzonym przez istoty o niemal boskiej potędze. Opowieści głosiły, iż ludzie ci poświęcili się w izolacji spokojnemu, oderwanemu życiu. Według tychże opowieści ich cywilizacja przetrwała nie zmieniona Tragiczne Millennium, podczas gdy inne części świata popadały w różnym stopniu w ruinę. Hrabia Brass zażartował sobie wspominając o Amarku, jednakże baron Meliadus popatrzył na niego z ukosa, a w jego bladych oczach pojawił się błysk.

— Czemu nie? – odparł. – Szturmowałbym nawet bramy niebios, gdybym je odnalazł.

Hrabia Brass, poruszony, opuścił go wkrótce potem, po raz pierwszy zastanawiając się głęboko, czy jego postanowienie pozostania neutralnym jest istotnie tak rozsądne, jak poprzednio uważał.

Yisseldzie, choć nie mniej inteligentnej od swego ojca, brakowało zarówno jego doświadczenia, jak i zazwyczaj cechującej go rozwagi. Nawet niesławna reputacja barona stała

się dla niej pociągająca, a jednocześnie opanowało ją zwątpienie w prawdziwość wszelkich opowieści o nim. Kiedy przemawiał swym miękkim, kulturalnym głosem, wychwalając jej urodę i grację, utwierdzała się w przekonaniu, że jest to człowiek o delikatnym charakterze, zmuszony do surowości i bezwzględności przez wymogi zajmowanego stanowiska i rolę wyznaczoną mu przez historię.

Teraz, już po raz trzeci od jego przyjazdu, wymykała się nocą z sypialni na schadzkę w zachodniej wieży, nie używanej od czasu dokonania tu krwawego mordu na poprzednim Lordzie Kanclerzu.

Ich spotkania były dosyć niewinne – baron trzymał ją za rękę, obsypywał pocałunkami jej wargi, szeptał czułe słowa i mówił o małżeństwie. Chociaż ciągle nie przekonana do tej ostatniej możliwości (jako że bardzo kochała ojca i zdawała sobie sprawę, jak głęboko dotknęłaby go, gdyby wyszła za Meliadusa), nie potrafiła oprzeć się względem, jakimi darzył ją baron. Nie była nawet pewna, czy to, co odczuwała do barona, można nazwać miłością, pociągały ją jednak przygoda i ekscytacja, jaką niosły ze sobą owe spotkania.

Tej nocy, kiedy przemykała na palcach pogrążonymi w ciemnościach korytarzami, nie zdawała sobie sprawy, iż jest śledzona. Za nią posuwała się skryta pod czarnym płaszczem postać, ściskająca w prawej dłoni długi sztylet w skórzanej pochewce.

Z bijącym mocno sercem i rozchylonymi w niewyraźnym półuśmiechu czerwonymi wargami Yisselda wbiegła po kręconych schodach na szczyt wieży i znalazła się w górnej salce widokowej, gdzie już oczekiwał na nią baron Meliadus.

Skłonił się nisko, po czym pochwycił jej dłonie i zaczął pieścić

delikatne ciało poprzez materiał cienkiego, jedwabnego peniuaru, jaki miała na sobie. Jego pocałunek był tym razem bardziej gwałtowny, niemal brutalny, a ona oddychała głęboko, kiedy przytuliła się do niego, obejmując dłońmi szerokie, okryte skórzanym kubrakiem ramiona. Dłoń barona zsunęła się powoli ku jej talii, opadła na udo, a ona na moment przylgnęła silniej do jego ciała, po czym podjęła próbę uwolnienia się, ponieważ zaczął w niej narastać nieznany dotąd strach.

Meliadus jednak przytrzymał ją, dysząc ciężko. Promień księżycy wśliznął się przez wąskie okienko i padł na jego twarz, oświetlając ściągnięte brwi i rozplamione oczy.

— Musisz wyjść za mnie, Yisseldo. Moglibyśmy wyjechać z Zamku Brass dzisiejszej nocy i jutro rano być już poza liniami wież. Twój ojciec nie odważyłby się ścigać nas na terytorium Granbretanu.

— Mój ojciec odważyłby się na wszystko – odparła cicho z głębokim przekonaniem. – Wydaje mi się jednak, mój panie, że wolałabym nie przysparzać mu kłopotów. – Jak mam to rozumieć?

— Tak, że nie wyszłabym za ciebie bez jego przyzwolenia.

— A czy on go udzieli? – Obawiam się, że nie..– A więc...

Próbowała całkowicie uwolnić się z jego objęć, lecz uwięził jej ramiona w stalowym uścisku swych dłoni. Teraz była już przerażona, dziwiła się też jednocześnie, jak szybko jej poprzednie zapamiętanie obróciło się nagle w strach. – Muszę już iść.

— Nie! Nie przywykłem do tego, by przeciwstawiano się mojej woli, Yisseldo. Najpierw twój uparty ojciec odrzuca moje propozycje, a teraz ty! Prędzej zabiję cię, niż pozwolę odejść bez złożenia obietnicy, że pojedziesz ze mną do Granbretanu!

Przyciągnął ją do siebie i przemocą pocałował, a próba oporu zakończyła się jedynie jękiem bólu.

Nagle w komnacie pojawiła się ciemna, zakapturzona postać. Stalowe ostrze zabłysło w świetle księżyca, baron Meliadus popatrzył na intruza, lecz nie uwolnił dziewczyny z objęć.

— Pozwól jej odejść – odezwała się ocieniona postać. – Jeśli tego nie uczynisz, złamię wszelkie zasady i zabiję cię na miejscu.

— Bowgentle! – zaszlochała Yisselda. – Biegnij po mojego ojca! Nie jesteś dość silny, by stawić mu czoło! Baron Meliadus zaśmiał się i popchnął Yisseldę w róg pokoju.

— Walka z tobą? To nie byłaby walka, filozofie, ale jatka. Zejdź mi z drogi, wtedy odejdę, lecz muszę zabrać dziewczynę.

— Odejdź sam – odparł Bowgentle. – Zaklinam cię, uczyn to, ponieważ nie chcę mieć na sumieniu twojej śmierci. Ale Yisselda zostanie ze mną.

— Ona odejdzie ze mną tej nocy, czy chce tego, czy nie! – Meliadus odrzucił do tyłu pelerynę, odsłaniając krótki miecz umocowany wysoko ponad talią. – Z drogi, sir Bowgentle, bo jeśli się nie usuniesz, obiecuję ci, że nie dożyjesz chwili, kiedy będziesz mógł napisać sonet o tym właśnie starciu!

Bowgentle stał niewzruszony, kierując ostrze sztyletu w pierś barona Meliadusa.

Dłoń Granbretańczyka spoczęła na rękojeści miecza i błyskawicznym ruchem wydobyła go z pochwy.

— Twoja ostatnia szansa, filozofie!

Bowgentle nie odpowiedział, nie mrugnął nawet szklistymi nieco oczyma, jedynie dłoń ściskająca sztylet lekko zadrżała.

Yisselda krzyknęła. Ostry, przenikliwy okrzyk rozniósł się echem po całym zamku.

Baron Meliadus odwrócił się z wściekłym pomrukiem, unosząc

w górę miecz.

Bowgentle skoczył do przodu, wymierzając niezdarne pchnięcie sztyletem, jego ostrze ześliznęło się po grubym skórzanym stroju barona. Meliadus z lekceważącym śmiechem wykonał zwrot i dwukrotnie uderzył mieczem Bowgentle'a, raz w głowę, raz w korpus; ciało filozofa-poety runęło na płyty posadzki, brocząc krwią. Yisselda krzyknęła ponownie, tym razem z przerażenia i litości nad losem przyjaciela ojca. Baron Meliadus podskoczył do niej, chwycił trzęsącą się księżniczkę za rękę, wykręcił ją tak, że aż jęknęła, po czym zarzucił sobie dziewczynę na ramię. Szybkim krokiem wyszedł z pokoju i zaczął pospiesznie zbiegać schodami.

Musiał przejść przez główną salę, żeby dostać się do swoich pokoi, kiedy do nich wkroczył, pod przeciwległą ścianą coś się poruszyło. W świetle dogasających płomieni ujrzał hrabiego Brass, odzianego jedynie w luźną tunikę, z olbrzymim mieczem w rękach, zasłaniającego drzwi, przez które baron Meliadus miał zamiar przejść.

— Ojczy! – krzyknęła Yisselda, a -Granbretańczyk zrzucił ją z ramienia i wymierzył swój krótki miecz w hrabiego.

— A więc Bowgentle miał rację – mruknął hrabia Brass. – Nadużyłeś mojej gościnności, baronie.

— Chcę twojej córki. Kocha mnie.

— Na to wygląda. – Hrabia Brass popatrzył na Yisseldę, która ze szlochem podniosła się na nogi. – Broń się, baronie.

Baron Meliadus zmarszczył brwi.

— Ty masz dwuręczny miecz, podczas gdy mój jest niewiele lepszy od szydła. Poza tym nie mam ochoty walczyć z człowiekiem w twoim wieku. Z pewnością możemy zawrzeć rozejm...

— Ojcie, on zabił Bowgentle'a!

Hrabia Brass, słysząc to, aż zadrżał z wściekłości. Podszedł do ściany, przy której stał wielki stelaż z mieczami, wyciągnął największy i najlepiej wyważony, po czym cisnął go w stronę barona Meliadusa. Broń zadzwoniła na kamieniach posadzki. Baron odrzucił swój mieczyk i podniósł dwuręczny oręż. I teraz przewaga była po jego stronie, jako że miał na sobie skórzany kubrak, podczas gdy hrabia jedynie lnianą tunikę.

Hrabia Brass ruszył do przodu z uniesionym mieczem i natarł na barona, ale ten sparował cios. Jak ludzie ścinający olbrzymie drzewo, zamierzali się ciężkimi klingami to z tej, to z tamtej strony. Szczęk rozbrzmiewający w sali poderwał na nogi całą służbę, a także zbrojną eskortę barona, przyglądali się walce ze wzburzeniem, niepewni co czynić. Wkrótce przybyli też von Villach i jego ludzie; Granbretañczycy zauważywszy, że są w mniejszości, nie odważyli się na żadne działanie.

W półmroku olbrzymiej sali dwóch pojedynkujących się mężczyzn krzesła skry ze swych kling, oburęczne miecze to wznosiły się, to opadały, uderzając raz z jednej strony, raz z drugiej, lecz każdy cios był parowany z mistrzowską precyzją. Obie twarze pokrył perlisty pot, a obie piersi unosiły się ciężko z wysiłku, kiedy przemieszczali się to tu, to tam, ponawiając ataki.

Baron Meliadus wymierzył nagle z całej siły cios w ramię hrabiego, lecz zaledwie lekko drasnął przeciwnika. Z kolei miecz hrabiego Brassa spadł na bok Meliadusa, ale uderzenie zamortyzowała gruba skóra jego kubraka. Nastąpiła cała seria szybkich cięć, w efekcie których – jak się zdawało.– obaj szermierze powinni zostać porąbani na kawałki, ale gdy odstąpili od siebie, przyjmując pozycje obronne, hrabia Brass miał tylko szramę na czole i rozciętą tunikę, zaś peleryna barona Meliadusa

była przecięta na przedzie, a jej rękaw zwisał w strzępach.

Ich chrapliwe oddechy i odgłosy szurania stóp po kamiennej posadzce mieszały się z głośnym brzękiem mieczy, gdy tak nacierali kolejno raz po razie.

Nagle hrabia Brass potknął się o niewielki stolik i padł na podłogę z rozrzuconymi nogami, trzymając miecz tylko jedną ręką. Baron Meliadus uśmiechnął się i wzniósł oręż w górę; hrabia potoczył się po podłodze, podciął nogi barona i zwałił go na posadzkę obok siebie.

Na chwilę miecze poszły w niepamięć, mężczyźni zwarli się jak zapaśnicy i zaczęli okładać pięściami, powarkując jakby na siebie i wlokąc za sobą przywiązane rzemieniami do nadgarstków miecze.

Nagle baron Meliadus rzucił się do tyłu i skoczył na równe nogi, hrabia Brass stał już jednak naprzeciwko niego. Obrócił nieco swój miecz i ciął z całej siły miecz barona, tak że ten przeleciał przez całą salę i wbił się w drewniany słup głośno dźwięcząc, niczym stroik metalowych organów.

W oczach hrabiego Brassa nie było nawet cienia litości. Biło z nich jedynie pragnienie zabicia barona Meliadusa.

— Zabiłeś mojego prawdziwego, najlepszego przyjaciela! – odezwał się chrapliwym głosem i uniósł miecz. Baron Meliadus powoli skrzyżował ręce na piersi i z opuszczonym wzrokiem, z niemalże znudzonym wyrazem twarzy, oczekiwał na cios.

— Zabiłeś Bowgentle'a i za to ja zabiję ciebie.

— Hrabio Brass!

Hrabia, z mieczem wzniesionym wysoko ponad głową, zawahał się.

Cios należał do Bowgentle'a.

— Hrabio Brass, on mnie nie zabił. Uderzenie miecza na płask

ogłuszyło mnie, a rana na piersi na pewno nic jest śmiertelna. – Bowgentle przyciskając dłoń do okaleczonej piersi, z siną pręgą na czole przedarł się do przodu poprzez tłum.

Hrabia Brass westchnął.

— Dziękuję losowi za to, Bowgentle. Niezależnie od tego... – Odwrócił się i zmierzył barona Meliadusa wzrokiem. – Ten łajdak nadużył mojej gościnności, znieważył moją córkę i skrzywdził mego przyjaciela...

Baron Meliadus podniósł wzrok i popatrzył w oczy hrabiego.

Wybacz mi, hrabio Brass. Działalem zaślepiony pięknem Yisseldy, uczucie zaćmiło moje myśli i opanowało mnie niczym zły demon. Nie mówiłem nic, ponieważ ogarnęła cię żądza zabicia mnie, ale teraz błagam o zrozumienie, powodem moich postępów były tylko szczerze, ludzkie uczucia.

Hrabia Brass pokręcił głową.

— Nie mogę ci przebaczyć, baronie. Nie będę więcej słuchał twoich podstępnych słów. Musisz opuścić Zamek Brass w ciągu godziny, a moje ziemie przed nastaniem świtu, inaczej ty i twoi ludzie zginiecie.

— Zaryzykujesz narażenie się Granbretanowi?

Hrabia Brass wzruszył ramionami.

— Nie narażam się Mrocznemu Imperium. Jeśli do ich uszu dotrze prawda o wydarzeniach tej nocy, ty zostaniesz ukarany za popełnione błędy, a nikt nie wystąpi przeciwko mnie, domagając się sprawiedliwości. Nie wypełniłeś swojej misji. To ty naraziłeś się mnie, a nie ja Granbretanowi.

Baron Meliadus nie odezwał się więcej, zagniewany odszedł, by przygotować się do podróży. Ponizony i rozwścieczony zasiadł wkrótce w swoim cudacznym powozie i kareta wytoczyła się za bramy zamku, nim minęło pół godziny. Nie pożegnał się z nikim.

Hrabia Brass, Yisselda, Bowgentle i von Villach stali na dziedzińcu, przyglądając się jego odjazdowi.

— Miałeś rację, Bowgentle – mruknął hrabia. – Ten człowiek omamił tak samo Yisseldę, jak i mnie. Nie mam ochoty na wizyty w Zamku Brass jakichkolwiek emisariuszy z Granbretanu.

— Czy zrozumiałeś teraz, że z Mrocznym Imperium trzeba walczyć, trzeba je zniszczyć? – zapytał z nadzieją Bowgentle.

— Tego nie powiedziałem. Niech się stanie to, co się ma stać. Ale my nie będziemy już mieli żadnych kłopotów ani ze strony Granbretanu, ani barona Meliadusa.

— Jesteś w błędzie – odparł Bowgentle z przekonaniem.

W mrocznej karecie, toczącej się pośród nocy w kierunku północnych granic Kamargu, baron Meliadus przemówił na głos sam do siebie, składając przysięgę na najbardziej tajemniczy ze wszystkich znanych mu świętych przedmiotów. Poprzysiągł na Magiczną Laskę (ów zaginiony starożytny przedmiot, zawierający, jak wierzono, wszystkie tajemnice przeznaczenia), że za wszelką cenę dostanie hrabiego Brassę w swoje ręce, że posiadzie Yisseldę oraz że zamieni Kamarg w jedno wielkie piekło, w którym przepadną wszyscy mieszkańcy tych ziem.

Taką właśnie przysięgę złożył na Magiczną Laskę i w ten oto sposób przyszłość barona Meliadusa, hrabiego Brassę, Yisseldy, Mrocznego Imperium i wszystkich, którzy to do tej pory brali udział, czy też później związani będą z wydarzeniami w Zamku Brass, została nieodwołalnie postanowiona.

Role zostały rozpisane, karty rozdane, kurtyna poszła w górę. Teraz już komedianci musieli odgrywać to, co im przeinaczono.

KSIĘGA DRUGA

Wielka Historia Magicznej Łaski

Ci, którzy odważyli się złożyć przysięgę na Magiczną Łaskę, musieli przyjąć dobrodziejstwa czy cierpienia określonej ścieżki losu, ustanowionej poprzez przysięgę. W całej historii Magicznej Łaski padło zaledwie kilka takich przysięg, żadna jednak nie pociągnęła za sobą tak tragicznych i rozległych konsekwencji, jak straszliwa przysięga zemsty, złożona przez barona Meliadusa z Kroiden, na rok przedtem, zanim na kartach tej starożytnej opowieści pojawił się Dorian Hawkmoon z Kln.

ROZDZIAŁ I

DORIAN HAWKMOON

Baron Meliadus wrócił do Londry, najeżonej posepnymi wieżycami stolicy Mrocznego Imperium, i niemal przez rok nosił się z pomysłami, zanim wreszcie ułoży swój plan. W tym czasie zajmował się sprawami Granbretanu. Wybuchwały rebelie, które trzeba było zdławić, nowo zdobytym miastom należało dać odpowiedni przykład, konieczne było zaplanowanie i przeprowadzenie kolejnych bitew, a także nieustannych inspekcji, dodających ducha marionetkowym gubernatorom. Baron Meliadus wypełniał wszystkie spoczywające na nim obowiązki z oddaniem i odpowiednim rozmachem lecz namiętne uczucie do Yisseldy i nienawiść do hrabiego Brassa zawsze dominowały w jego myślach. I chociaż nie spotkała go żadna przykrość z powodu fiaska misji przeciągnięcia hrabiego na stronę Granbretanu, to jednak wciąż czuł się upokorzony. Ponadto ustawicznie stykał się z problemami, z którymi przy pomocy hrabiego mógłby się uporać bez trudu. W takich wypadkach w mózgu barona Meliadusa natychmiast zaczynały się roić setki różnych schematów zemsty, z których jednakże żaden nie wydawał się mu odpowiedni do osiągnięcia wszystkiego, czego chciał. Tak jak przysiągł, musiał zdobyć Yisseldę, musiał uzyskać, porady hrabiego w wielu sprawach Europy i musiał zniszczyć Kamarg. Nie dawało się to ze sobą pogodzić.

W wysokiej wieży z obsydianu, górującej nad

krwistoczerwonymi wodami rzeki Tamzy, po której barki z brązu i hebanu transportowały towary z wybrzeża, baron Meliadus przechadzał się po zagraconym gabinecie, obitym tkaninami w wyblakłych barwach brązu, czerni i błękitu, z orarium ze szlachetnych metali i drogich kamieni, z globusami i astrolabami z klepanego żelaza, mosiądzu i srebra, o meblach z ciemnego, politurowanego drewna i dywanie w całej gamie kolorów jesiennego listowia.

Dokoła, na wszystkich ścianach, na każdej półce i w każdym rogu, stały jego zegary. Wszystkie precyzyjnie zsynchronizowane, wydzwaniające każdy kwadrans, połowę i pełną godzinę, a wiele z nich wygrywało kuranty. Były różnych kształtów i wielkości, wykonane z metalu, drewna albo też innych, nie do końca rozpoznawalnych substancji, artystycznie rzeźbione, czasami aż tak bogato, iż niezmiernie trudno było odczytać wskazywaną przez nie godzinę. Pochodziły z różnych części Europy i Bliskiego Wschodu i stanowiły część mienia zagrabionego z podbitych prowincji. Baron miał wiele pasji, ale zegary kochał najbardziej. Nie tylko ten gabinet, ale każdy pokój w wielkiej wieży pełen był zegarów. Na samym szczycie wieży znajdował się ogromny zegar o czterech tarczach, zrobiony z brązu, onyksu, złota, srebra i platyny, a kiedy naturalnej wielkości figury nagich dziewcząt dźwigających młoty uderzały w dzwony zegara, głos ten niósł się echem po całej Londrze. Różnorodnością posiadanych czasomierzy Meliadus rywalizował ze swoim szwagrem, Taragormem, Mistrzem Pałacu Czasu, do którego zresztą odczuwał głęboko zakorzenioną odrazę za to, iż zagarnął dla siebie perwersyjne i kapryśne uczucia jego dziwacznej siostry.

Baron Meliadus zatrzymał się w pół kroku i wziął! biurka

arkusz pergaminu. Zawierał on najświeższe informacje z prowincji Kln – z prowincji, którą Meliadus mniej niż dwa lata temu przykładowo ukarał. Wszystko wskazywało na to, że posunął się nieco za daleko, jako że syn starego księcia Kln (któremu to księciu Meliadus osobiście wypruł wnętrzności na centralnym placu stolicy) wzniecił płomień rebelii i niemal powiodło mu się rozbicie okupacyjnych wojsk Granbretanu. Gdyby nie natychmiastowe wsparcie skrzydłolotami wyposażonymi w ogniste lance dużego zasięgu, Kln mogłoby na jakiś czas oderwać się od Mrocznego Imperium.

Na szczęście skrzydłoloty rozbiły armię młodego księcia, a jego samego uwięziono. Wkrótce miano go przewieźć do Londry, gdzie jego cierpienia miały uradować możnowładców Granbretanu. W tej sprawie zresztą hrabia Brass mógłby też bez trudu dopomóc dobrą radą. Księżę Kln bowiem, zanim wystąpił z jawną rebelią, zaoferował swe usługi jako dowódca najemników Mrocznego Imperium, został zaakceptowany i świetnie sprawował się w służbie Granbretanu, pod Niirnberg i Ulm zdobył całkowite zaufanie Imperium, kiedy to dowodził siłami złożonymi głównie z żołnierzy, którzy przedtem służyli jego ojcu, aż w końcu zawrócił razem z nimi i pomaszerował na Kln, by odbić prowincję.

Baron Meliadus zmarszczył brwi. Młody księżę dał przykład, inni mogli go zacząć naśladować. Jakkolwiek by na to patrzeć, stał się bohaterem wszystkich prowincji Germanii. Rzadko kto zdobywał się na tak jawne wystąpienie przeciwko Mrocznemu Imperium.

Gdyby tylko hrabia Brass zgodził się...

Nagle baron Meliadus uśmiechnął się. Niespodziewanie w jego głowie zrodził się kompletny plan, pozbawiony słabych punktów.

Może młodego księcia Kln dałoby się wykorzystać nie tylko dla uciechy parów.

Baron Meliadus odłożył pergamin i pociągnął za linkę dzwonka. Do gabinetu weszła naga niewolnica o uróżowionym ciele i padła na kolana w oczekiwaniu na instrukcje. (Wszyscy słudzy barona byli niewolnikami płci żeńskiej, nie wpuszczał do swojej wieży żadnych mężczyzn, bojąc się zdrady).

— Zaniesiesz wiadomość mistrzowi katakumb więziennych – odezwał się. – Przekaż mu, że baron Meliadus odwiedzi więźnia Doriana Hawkmoona z Kln, kiedy ten tylko zostanie przywieziony.

— Tak, panie. – Dziewczyna powstała i wyszła z pokoju, zostawiając barona Meliadusa spoglądającego przez okno na rzekę, z niewyraźnym uśmiechem błędzącym na pełnych wargach.

Dorian Hawkmoon, zakuty w łańcuchy z połączanego żelaza (co w oczach Granbretańczyków miało odpowiadać jego pozycji), potknął się na pomoście, przerzuconym z nabrzeża na pokład barki, i mrużąc oczy od zachodzącego słońca rozejrzał się dokoła po olbrzymich, groźnych wieżach Londry. O ile by jeszcze potrzebował jakichś dowodów na zbiorowy obłęd łączący wszystkich mieszkańców Mrocznej Wyspy, to teraz zgromadziłby je bez trudu. W każdej linii architektonicznej, w każdym kształcie, w każdej barwie zawierało się coś nienaturalnego. A jednak wyczuwało się wszędzie obecność jakiejś wielkiej siły – inteligencji i celowości działania. Nic dziwnego, pomyślał, że przy tak wielu paradoksach trudno zgłębić psychologię ludzi Mrocznego Imperium.

Strażnik, odziany w białą skórę i noszący na twarzy trupią maskę z białego metalu, będącą oznaką przynależności do

zakonu, któremu służył, delikatnie popchnął go do przodu. Mimo łagodnego stosunkowo pchnięcia Hawkmoon zachwiał się, nie jadł bowiem już niemal od tygodnia. Do jego zamroczonego umysłu nie docierała rzeczywistość, ledwie zdawał sobie sprawę z własnego położenia. Od czasu pojmania go w trakcie bitwy pod Kln nie rozmawiał z nikim. Większość czasu przeleżał w ciemnościach ładowni statku, od czasu do czasu popijając nieco brudnej wody, zbierającej się obok niego. Był nie ogolony, jego oczy błyszczały, długie, jasne włosy miał skołtunione, a porwaną kolczugę i bryczesy pokrywał brud. Łańcuchy pozdzierały mu skórę, na szyi oraz nadgarstkach widniały czerwone piętna, nie odczuwał jednak bólu. W rzeczy samej nie odczuwał prawie niczego, poruszał się jak lunatyk i spoglądał na wszystko jak gdyby we śnie.

Uczył dwa kroki wzdłuż kwarcowego nabrzeża, potknął się i opadł na jedno kolano. Strażnicy, którzy wyrosli po obu jego stronach, dźwignęli go w górę i powlekli w stronę czarnej ściany, górującej nad nabrzeżem. W ścianie widniały niewielkie, zaryglowane drzwiczki, przy których stali żołnierze w rubinowych maskach przedstawiających świnię. Zakon Świni czuwał nad więzieniami Londry. Wartownicy zamienili ze sobą kilka słów w ściśle tajnym języku swojego zakonu, po czym jeden z nich zaśmiał się, chwycił Hawkmoona za ramię i nie odzywając się do więźnia popchnął go do przodu, podczas gdy drugi uchylił otwierające się do środka okute drzwiczki.

Wewnątrz panował mrok. Drzwi zamknęły się za Hawkmoonem i przez kilka chwil był sam. Zaraz jednak w bladym świetle, które padło przez otwarte drzwi, ujrzał kolejną maskę świni, wykonaną o wiele bardziej precyzyjnie od tych, jakie nosili wartownicy na zewnątrz. Po chwili pojawiła się

jeszcze jedna maska, a zaraz potem następna. Hawkmoona ujęto pod rękę i poprowadzono przez ohydnie cuchnące ciemności. Wiedziony na coraz niższe poziomy więziennych katakumb Mrocznego Imperium bez cienia emocji zdał sobie sprawę, iż życie jego dobiegło końca.

Do jego uszu dotarły odgłosy otwierania kolejnych drzwi. Wepchnięto go do niewielkiej celi, teraz usłyszał dźwięk zamykanych drzwi i szczęk opadającej w uchwyty sztaby.

Powietrze w lochu cuchnęło, kamienie posadzki i ścian pokrywała warstwa brudu. Hawkmoon oparł się o ścianę, po chwili osunął powoli na podłogę; jego oczy zamknęły się, a umysł pograżył w zapomnieniu, chociaż trudno było powiedzieć, czy jest to omdlenie, czy tylko sen.

Jeszcze tydzień temu był wielkim bohaterem Kln, pogromcą agresorów, człowiekiem o wielkim wdzięku i ciętym dowcipie, zręcznym szermierzem. Teraz, czego należało się spodziewać, ludzie z Granbretanu zmienili go w zwierzę – zwierzę, przejawiające niewielką ochotę do życia. Człowiek mniejszego formatu mógłby chwycić się rozpaczliwie zanikającego człowieczeństwa, żywić się nienawiścią i planować ucieczkę; Hawkmoon, utraciwszy wszystko, nie pragnął niczego.

Możliwe, że istniał sposób wydobycia go z transu. Gdyby się to udało, z pewnością stałby się innym człowiekiem od niego, który z tak zacieklą odwagą walczył w czasie bitwy pod Kln.

ROZDZIAŁ II

UGODA

Światło pochodni i odblaski na zwierzęcych maskach – szydercza świnia i warczący wilk, czerwień i czern metalu; drwiące oczy, biel diamentów i błękit szafirów. Szelest ciężkich peleryn i szmer prowadzonej szeptem rozmowy. Hawkmoon westchnął ciężko i zamknął oczy, otworzył je po chwili znowu, kiedy kroki zbliżyły się i wilk pochylił się nad nim, przysuwając pochodnię do jego twarzy. Żar był nieprzyjemny, Hawkmoon nie uczynił jednak nic, by odsunąć się od niego.

Wilki wyprostował się i przemówił do świni.

— Nie ma sensu rozmawiać z nim teraz. Nakarm go i umyj. Spróbuj obudzić trochę jego intelekt.

Świnia i wilk wyszli, zamykając za sobą drzwi. Hawkmoon ponownie zamknął oczy.

Kiedy się obudził, niesiono go poprzez korytarze w świetle głównej. Pokój, w którym się znalazł, rozjaśniały lampy. Znajdowało się tu łożo, wysłane futrami i jedwabiem, na rzeźbionym stoliku oczekiwało pożywienie, w wannie z jakiegoś błyszczącego, pomarańczowego metalu parowała woda, dwie niewolnice stały w pogotowiu.

Zdjęto z niego kajdany, a następnie odzież. Uniesiono go ponownie i zanurzono w wodzie. Poczł ukłucia na skórze, gdy niewolnice zaczęły obmywać jego ciało, a po chwili zjawił się mężczyzna z brzytwą i począł przycinać mu włosy i golić brodę. Hawkmoon poddawał się biernie wszystkim zabiegom,

wlepiwszy mętne spojrzenie w mozaikę zdobiącą sufit, pozwolił, żeby ubrano go w luźne, miękkie szaty, w jedwabną koszulę i atłasowe spodnie, i stopniowo, powoli ogarniało go uczucie komfortu. Ale kiedy po raz pierwszy posadzono go przy stole i włożono mu w usta owoc, żołądek zbuntował się i wstrząsnęły nim gwałtowne, suche torsje. Napojono go więc tylko wzbogaconym mlekiem, ułożono na posłaniu i zostawiono samemu sobie, z jedną niewolnicą przy drzwiach czuwającą nad jego spokojem.

Minęło kilka dni. Hawkmoon stopniowo zaczął jeść i zaczął też odczuwać otaczający go zbytek. W pokoju znajdowały się książki, a obie niewolnice były do jego dyspozycji, on jednak nie odczuwał najmniejszej chęci do skorzystania z jednego czy drugiego.

Świadomość Hawkmoona, którą stracił tak szybko po pojmaniu, wracała niezwykle powoli, a gdy się już to dokonało, wspomnienia minionego życia były jak sen. Któregoś dnia otworzył książkę, ale litery wydały mu się dziwne, choć nie miał najmniejszych kłopotów z ich odczytaniem. Po prostu nie dostrzegał żadnego sensu, słowa i zdania, które składał z liter, pozbawione były jakiegokolwiek znaczenia, chociaż miał w ręku rozprawę uczonego, niegdyś jednego z jego ulubionych filozofów. Wzdrygnął się i rzucił książkę z powrotem na stół. Na ten widok podeszła jedna z niewolnic, przytula się do niego i zaczęła gładzić go po policzku. On jednak odsunął ją łagodnie, podszedł do łoża i ułożył się na wznak, wsuwając ręce pod głowę.

Po dłuższym czasie zapytał: – Dlaczego tutaj jestem?

Były to pierwsze wypowiedziane przez niego słowa.

— Och, książę, mój panie, tego nie wiem. Wydaje się, że jesteś więźniem honorowym.

— Przypuszczam, że to tylko gra, zanim panowie Granbretanu zaczną się ze mną zabawiać – stwierdził bez emocji Hawkmoon. Jego głos był bezbarwny, choć głęboki, a wypowiedane słowa jemu samemu wydawały się dziwne. Dziewczyna drgnęła, kiedy skierował na nią spojrzenie zwróconych wiecznie ku własnemu wnętrzu oczu. Sądząc po akcencie zgrabna niewolnica o jasnych, długich włosach musiała pochodzić ze Skandii.

— Ja nie wiem nic, mój panie. Przykazano mi jedynie dogadzać ci wszelkimi sposobami.

Hawkmoon lekko skłonił głowę i rozejrzał się po pokoju. – Domyślam się, że przygotowują mnie do jakiegoś przedstawienia lub tortur – rzekł właściwie sam do siebie.

W pokoju nie było okna, sądząc jednak po jakości powietrza, Hawkmoon ocenił, że wciąż jest pod ziemią, prawdopodobnie gdzieś w więziennych katakumbach. Odmierzał upływ czasu za pomocą lamp, zdawało mu się bowiem, że napełniano je raz dziennie. Przebywał już w tej samej komnacie mniej więcej dwa tygodnie, kiedy po raz drugi ujrzał wilka, który odwiedził go przedtem w celi.

Drzwi zostały otwarte bezceremonialnie i do środka wkroczyła wysoka postać odziana od stóp do głów w czarną skórę, z długim mieczem o czarnej rękojeści w czarnej skórzanej pochwie. Czarna maska wilka zakrywała całą głowę. Wydobył się spoza niej głęboki, dźwięczny głos, który – na wpół świadomy – słyszał już przedtem.

— Cóż, wydaje się, że nasz więzień odzyskuje władze umysłowe i cielesne.

Dwie niewolnice skłoniły się i zniknęły. Hawkmoon uniósł się na łożu, gdzie spędzał większość czasu od kiedy umieszczono go w tym pokoju. Ociężale zsunął się z niego i stanął na nogi.

— Świetnie. Czy podoba się tu panu, książę Kln?

— Tak. – Głos Hawkmoona był pozbawiony jakiegokolwiek barwy. Ziewnął, jakby na wpół przytomny, po czym doszedł do wniosku, że nie ma żadnego powodu, by stać, przyjął więc poprzednią pozycję na łóżku.

— Mam nadzieję, że mnie poznajesz – rzekł wilk z wyraźnym odcieniem zniecierpliwienia w głosie.

— Nie.

— Nie domyślasz się, kim jestem! – Hawkmoon nie odpowiedział.

Wilk przemierzył pokój i zatrzymał się przy stole, na którym stała wielka kryształowa misa wypełniona owocami. Odzianą w rękawicę dłonią chwycił jabłko granatu, a wilcza maska pochyliła się, jak gdyby dokonując lustracji.

— Czy całkowicie odzyskałeś siły, panie?

— Na to wygląda – odparł Hawkmoon. – Mam poczucie komfortu. Wszystkie moje potrzeby są zaspokajane, jak się domyślam, zgodnie z twoimi zarządzeniami. Domyślam się, że teraz chciałbyś się ze mną w jakiś sposób zabawić.

— Nie wydaje się, by cię to niepokoiło. – Hawkmoon wzruszył ramionami.

— To może być ewentualny koniec.

— Ale może też trwać całe życie. My w Granbretanie jesteśmy pomysłowi.

— Całe życie to nie tak długo.

— Przypadkiem rozważaliśmy możliwość oszczędzenia ci cierpienia – odezwał się wilk, przerzucając owoc z jednej dłoni do drugiej.

Twarz Hawkmoona nie wyrażała żadnych uczuć.

— Jesteś bardzo zamknięty w sobie, mój drogi książę mówił

dalej wilk. – Co dziwne, żyjesz wciąż jedynie przez kaprys twoich wrogów, tych samych wrogów, którzy w tak okrutny sposób zamordowali ci ojca.

Hawkmoon zmarszczył brwi, jak gdyby z trudem sobie przypominając.

— Pamiętam – powiedział niezdecydowanie. – Mój ojciec. Stary książę.

Wilk cisnął owoc granatu na podłogę i ściągnął maskę, odsłaniając przystojne, okolone czarną brodą oblicze.

— To ja go zabiłem, baron Meliadus z Kroiden. – Na pełnych wargach pojawił się wyzywający uśmiech.

— Baron Meliadus... Ach... to ty go zabiłeś?

— Uciekło z ciebie całe człowieczeństwo, mój panie -mruknął baron Meliadus. – A może chcesz nas przechytrzyć, mając nadzieję, że jeszcze raz uda ci się zdradzić? Hawkmoon wyduł wargi.

— Jestem zmęczony – odparł.

Oczy Meliadusa wyrażały zmieszanie graniczące z wściekłością.

— Zabiłem twojego ojca!

— Mówiłeś już.

— Dobrze! – Zbity z tropu Meliadus odwrócił się i ruszył w kierunku drzwi, lecz po chwili zatrzymał i odwrócił raz jeszcze. – Nie o tym wszakże chciałem z tobą rozmawiać. A jednak wydaje mi się dziwne, iż nie przejawiasz nienawiści czy też chęci zemsty na mnie.

Hawkmoon w rzeczy samej czuł się znudzony i pragnął, by Meliadus zostawił go w spokoju. Nienaturalne, niemal histeryczne zachowanie tamtego denerwowało go prawie tak samo, jak bzykanie komara może doprowadzić do wściekłości

człowieka układającego się do snu.

— Nie odczuwam niczego – odparł Hawkmoon, mając nadzieję, że to usatysfakcjonuje intruza.

— Całkiem już w tobie duch zaginął! – wykrzyknął ze złością Meliadus. – Całkiem! Klęska i pojmanie zabiły go w tobie!

— Możliwe. Właściwie jestem zmęczony...

— Przybyłem, by zaproponować ci powrót do twojego kraju – ciągnął Meliadus. – Całkowicie autonomiczną pozycję w granicach Imperium. Jest to znacznie więcej, niż oferowaliśmy kiedykolwiek jakiegokolwiek podbitej prowincji.

Na twarzy Hawkmoona pojawił się zaledwie cień zdumienia.

— Dlaczego? – zapytał.

— Chcemy zawrzeć z tobą umowę. Dla obopólnej korzyści. Potrzebny nam jest człowiek tak przebiegły i tak kochający wojenne rzemiosło jak ty... – Baron ze zważeniem zmarszczył brwi. – Jak ty zdawałeś się być. Potrzebujemy kogoś, komu zaufają ludzie, którzy nie ufają Granbretanowi. – Meliadus w zupełnie inny sposób miał zamiar przedstawić propozycję ugody, ale ten dziwny brak jakichkolwiek emocji u Hawkmoona wytrącił go z równowagi. Chcemy, żebyś wykonał dla nas pewne zadanie. W zamian – twoje ziemie.

Chciałbym udać się do domu – Hawkmoon skinął głową. – Łąki mojego dzieciństwa... – uśmiechnął się do swoich wspomnień.

Wstrząśnięty skalą tego, co błędnie potraktował jako sentymentalizm, baron Meliadus aż parsknął.

— Co będziesz robił po powrocie, czy wiał wianki z kwiatków, czy budował zamki, to nas nie obchodzi. Ale powrócisz tylko wtedy, jeśli skrupulatnie wypełnisz swoją misję.

Introwertyczne oczy Hawkmoona uniosły się w górę na Meliadusa.

— Czyżbyś uważał, panie, że postradałem zmysły?

— Nie jestem pewien. Mamy nadzieję się o tym przekonać.

— Jestem zdrow, baronie. Chyba bardziej zdrow, niż kiedykolwiek. Nie masz się czego obawiać z mojej strony.

Baron Meliadus wzniósł oczy ku górze.

— Na Magiczną Laskę, czy nic nie jest w stanie go przekonać? – mruknął, otwierając drzwi. – Dowiemy się wszystkiego o tobie, książę Kln. Poślę po ciebie jeszcze dzisiaj.

Po wyjściu barona Meliadusa Hawkmoon ułożył się wygodnie na łóżku. Rozmowa szybko uleciała z jego pamięci i była już tylko mglistym wspomnieniem, kiedy dwie czy trzy godziny później do pokoju wkroczyli strażnicy w maskach świń i polecieli mu iść ze sobą.

Poprowadzili go licznymi korytarzami, wiodącymi usta żelaznymi drzwiami. Jeden ze strażników załomotał w nie rękojeścią swojej ognistej lancy i drzwi po chwili otwarły się, a spoza nich doleciało świeże powietrze i światło słoneczne. Na zewnątrz czekał oddział strażników w purpurowych zbrojach i płaszczach, z purpurowymi maskami Zakonu Byka skrywającymi ich twarze. Hawkmoon został im przekazany, a rozejrzawszy się szybko stwierdził, iż znajduje się na obszernym dziedzińcu, całym pokrytym równiutko przyciętą trawą, z wyjątkiem ścieżki ze żwiru. Po drugiej stronie trawnika wznosił się wysoki mur, w którym widniała wąska brama, na murze zaś trzymali wartę strażnicy z Zakonu Świni. Po drugiej stronie muru widać było posępne wieże miasta.

Hawkmoona poprowadzono ścieżką w kierunku bramy, potem przez bramę, na wąską uliczkę, gdzie czekała bogato zdobiona hebanowa kareta w kształcie dwugłowego konia. Wsiadł do powozu w towarzystwie dwóch milczących

strażników, po czym ruszyli. Przez szparę między zasłonkami Hawkmoon spoglądał na mijane wieże. Słońce właśnie zachodziło i miasto nurzało się w bladej poświacie..

Kareta w końcu zatrzymała się. Hawkmoon bez sprzeciwu pozwolił się wyciągnąć z powozu i rozpoznał od razu, że przywieziono go do pałacu Króla-Imperatora Huona.

Pałac wznosił się, kondygnacja za kondygnacją, w niebo, niknąc niemalże już poza zasięgiem wzroku. Otaczały go cztery wielkie wieże, odbijające z niezwykłą jaskrawością ciemnozłote światło słońca. Ściany pałacu ozdobione były płaskorzeźbami, przedstawiającymi dziwaczne rytuały, sceny bitewne, słynne epizody z długiej historii Granbretanu, rzygacze, figuryнки, kształty abstrakcyjne – co tworzyło w całości groteskową i fantastyczną strukturę, wznoszoną przez wieki całe. Konstrukcja składała się z wszelkich możliwych materiałów budowlanych, krytych farbą tak, iż budowla błyszczała mieszaniną tylu odcieni, że wyczerpywały chyba całe spektrum barw. Nie istniał jednak żaden porządek w rozmieszczeniu kolorów, nie widać było jakichkolwiek prób dopasowania czy kontrastowania odcieni. Jedna barwa graniczyła z drugą, klując w oczy i porażając umysł. Był to pałac szaleńca, przyćmiewający pod względem obłądnej impresji inne budowle miasta.

Przy bramie pałacu czekali na Hawkmoona jeszcze inni strażnicy. Ci z kolei nosili rynsztunek i maski Zakonu Modliszki – tego, do którego należał osobiście Król Huon. Wyszukanie rzeźbione, wysadzane klejnotami maski były zaopatrzone w czułki z platynowego drutu, a zamiast oczu widniały gruzły dwudziestu lub więcej różnych kamieni szlachetnych. Ludzie ci mieli długie nogi i ręce, a ich szczupłe ciała skrywały insektopodobne zbroje z płyt, barwione na czarno, złoto i

zielono. Kiedy rozmawiali między sobą w ich sekretnym języku, pobrzmiwały w nim szelesty i bzyczenia rodem ze świata owadów.

Po raz pierwszy Hawkmoon poczuł się nieswojo, kiedy strażnicy powiedli go przez niższe poziomy pałacu, których metalowe ściany o głębokich szkarłatnych kolorach odbijały zniekształcone sylwetki przechodzących ludzi.

Wreszcie wkroczyli do ogromnej, wysoko sklepionej hali, o żyłkowanych, jakby z marmuru ścianach, pokrytych bielą, zielenią i różem. Jednakże owe żyłkowania poruszały się bez przerwy, drgały, sprawiając wrażenie, jakby długość i szerokość ścian i sufitu ulegały ciągłym zmianom.

Podłoga hali, mającej dobre czterysta metrów długości i niemal tyleż samo szerokości, wypełniona była w równych odstępach urządzeniami, które Hawkmoon wziął za jakieś maszyny, chociaż nie potrafił zrozumieć zasady ich funkcjonowania. Podobnie jak wszystko inne, co oglądał od czasu przybycia do Londry, maszyny miały wymyślne, ozdobne kształty i zbudowane były z metali szlachetnych oraz półszlachetnych kamieni. Wyposażone były w elementy niepodobne do niczego, co do tej pory widział, a większość z tych przyrządów działała rejestrowały, liczyły, mierzyły, obsługiwane przez ludzi noszących wężopodobne maski Zakonu Węża, zakonu składającego się wyłącznie z magików i naukowców, będących na służbie Króla-Imperatora. Mieli na sobie poplamione peleryny z na wpół nasuniętymi na głowę kapturami.

Centralnym przejściem kroczyła w stronę Hawkmoona jakaś postać; odesłała ruchem dłoni strażników. Hawkmoon ocenił, że musi to być jedna z ważniejszych osobistości zakonu, jako że jej

wężowa maska była zdobiona znacznie bogaciej niż pozostałe. Sądząc po postawie i zachowaniu mógł to być nawet sam Wielki Konstabl. – Witam, drogi książę.

Hawkmoon odpowiedział powściągliwym ukłonem na ukłon, gdyż ostatnie przeżycia nie zatarły wpojonych głęboko odruchów.

— Jestem baron Kalan z Vitall, Naczelny Naukowiec Króla-Imperatora. Masz być moim gościem przez dzień czy dwa, jak rozumiem. Zapraszam więc do moich apartamentów i laboratoriów.

— Dziękuję. Jakie są plany w stosunku do mnie? spytał zamyślony Hawkmoon.

— Przede wszystkim mam nadzieję, że zjemy razem obiad.

Baron Kalan pełen uprzejmości wskazał Hawkmoonowi, by poszedł przodem, przemierzyli razem całą długość hali, mijając wiele dziwacznych konstrukcji, aż znaleźli się przed drzwiami, prowadzącymi bez wątplenia do prywatnych apartamentów barona. Obiad został już podany. Był to stosunkowo prosty posiłek, kontrastujący z tym, co serwowano Hawkmoonowi w ciągu ostatnich dwóch tygodni, lecz znakomicie przygotowany i smaczny. Kiedy skończyli, baron Kalan, który już przedtem zdjął maskę, odsłaniając bladą twarz mężczyzny w średnim wieku, z kosmatą białą brodą i rzednącymi włosami, nalał im obu wina. W czasie posiłku niewiele ze sobą rozmawiali.

Hawkmoon spróbował wina, które było wyborne.

— To wino to mój własny pomysł – rzekł Kalan, uśmiechając się afektownie.

— Jest niezwykle – przyznał Hawkmoon. – Z jakich owoców...

— Nie z owoców, lecz ze zboża. Nieco odmienny proces. Mocne.

— Mocniejsze od większości win-zgodził się baron. A teraz, książę, wiesz zapewne, iż zostałem upoważniony do zbadania twego zdrowia umysłowego, do oceny twojego temperamentu i podjęcia decyzji, czy jesteś odpowiednim człowiekiem, by służyć Jego Wysokości, Królowi-Imperatorowi Huonowi.

— Domyślam się, że o tym właśnie mówił mi baron Meliadus – Hawkmoon uśmiechnął się niewyraźnie. – Czy będę mógł zapoznać się z wynikami tych interesujących obserwacji?

— Hm... – Baron Kalan popatrzył uważnie na Hawkmoona. – Chyba rozumiem, dlaczego poproszono mnie o przeprowadzenie badań. Muszę przyznać, że wyrażasz się bardzo rzeczowo.

— Dziękuję. – Hawkmoon pod wpływem dziwnego wina zaczął odzyskiwać nieco ze swej dawnej ironii. Baron Kalan przeciągnął dłońią po twarzy i na kilka chwil zaniósł się suchym, ledwie słyszalnym kaszlem, Jego zachowanie stało się nieco nerwowe od momentu, kiedy odsłonił twarz. Hawkmoon zdążył się już przekonać, że mieszkańcy Granbretanu woleli pozostawać zamaskowani przez większość czasu. Kalan sięgnął teraz po swą ekstrawagancką maskę węża i nasunął ją na głowę. Kaszel ustał natychmiast, a całe ciało mężczyzny odprężyło się w widoczny sposób. Mimo iż Hawkmoon słyszał, że pozostawanie z zakrytą twarzą w obecności szlachetnie urodzonego gościa traktowano jako naruszenie granbretańskiej etykiety, starał się nie okazać zdumienia wobec zachowania barona.

— Ach, mój drogi książę – rozległ się szept spod maski. – Kimże ja jestem, by oceniać stan umysłu? Istnieją tacy, którzy uważają, że my w Granbretanie jesteśmy obłąkani...

— Ależ skąd...

— To prawda. Ludzie ograniczeni, którzy nie potrafią dostrzec wielkiego planu, nic są przekonani o szlachetnych celach naszej

gigantycznej krucjaty. Rozumiesz, że to oni powtarzają, iż jesteśmy szaleni. Cha, cha, cha! – Baron Kalan wstał. – Teraz, jeśli zechcesz pójść ze mną, rozpoczniemy nasze wstępne badania.

Przeszli z powrotem przez halę wypełnioną maszynami i wkroczyli do innej, niewiele ustępującej rozmiarami poprzedniej. Takie same ciemne ściany pulsowały jakąś energią, która powoli przesuwała tam i z powrotem widmo ich barwy od fioletu do czerni. W całej hali znajdowała się tylko jedna maszyna o błyszczącej błękitnej i czerwonej metalowej obudowie, zaopatrzona w projektory, dźwignie i przystawki, oraz wielki dzwonopodobny obiekt, zwieszający się z zawilej, kratownicowej konstrukcji, stanowiącej integralną część maszyny. Z jednej jej strony znajdowała się konsola, obsługiwana przez tuzin mężczyzn w uniformach Zakonu Węża, na ich maskach odbijało się niewyraźnymi refleksami światło pulsujących ścian. Halę wypełniali hałas emitowany przez maszynę przytłumiony brzęk, pisk i powtarzające się seriami syczenie, przypominające oddech dzikiej bestii.

— To jest nasza maszyna mentalna – stwierdził z dumą baron Kalan. – Przeprowadzi na tobie testy.

— Jest bardzo duża – rzekł Hawkmoon, podchodząc bliżej.

Jedna z największych. Musi tako i być, żeby dokonać kompleksowej oceny. Oto rezultat naukowej magii, mój drogi książę, nie mającej nic wspólnego z ulotnymi zaklęciami i śpiewami, z jakimi można zetknąć się na kontynencie. To właśnie nauka stanowi o naszej przewadze nad pozostałymi nacjami.

W miarę jak efekty wypitego wina przemijały, Hawkmoon przeobrażał się powoli w tego samego człowieka, jakim był w więziennych katakumbach. Zobojętnienie narastało szybko i kiedy poprowadzono go do wielkiego dzwonu i ustawiono pod

nim, a następnie opuszczono kielich w dół, nie wykazywał już ani zdumienia, ani zaniepokojenia.

W końcu dzwon zakrył go całkowicie, a miękkie ścianki podwinęły się i otuliły szczelnie jego ciało. Towarzyszyło temu obrzydliwe uczucie, powinno przerazić tego Doriana I Hawkmoona, który brał udział w bitwie pod Kln, jednakże nowy Hawkmoon odczuwał jedynie drobne zniecierpliwienie i niewygodę. Poczł dziwne mrowienie w czaszce, jak gdyby cieniutkie druciki wnikały w jego głowę i sondowały mózg. Pojawiły się halucynacje. Dostrzegał oceany jaskrawych barw, zniekształcone twarze, budynki i rośliny a nienaturalnej perspektywie. Przez sto lat sypały się. góry klejnoty, a potem poprzez jego oczy runęły ciemne wiatry, rozdzieliły się i ustąpiły miejsca oceanom, zamarzniętym, a jednocześnie silnie falującym, nieskończenie sympatycznym i dobrym stworzeniom oraz kobietom o zdumiewającym człowieczeństwie. Z tymi wizjami splotły się we wspomnienia z dzieciństwa i dalsze losy aż do chwili, kiedy został oddany we władanie maszyny. Wspomnienie po wspomnieniu składały się w mozaikę, i ukazał mu się pełny obraz całego jego życia. Nadal jednak nie odczuwał żadnych emocji, tylko wspomnienia o emocjach, przepełniających go w przeszłości. Wreszcie ścianki odwinęły się i dzwon zaczął unosić się w górę, Hawkmoon stał biernie, czując się tak, jakby uczestniczył w doświadczeniu na innym człowieku.

Kalan był tam wciąż i chwycił go za ramię, odciągając czuł maszyny mentalnej.

— Wstępne badania wykazują, że twoja kondycja psychiczna jest nawet lepsza od przeciętnej, drogi książę. O ile prawidłowo odczytaliśmy wskazania instrumentów. Maszyna mentalna złoży szczegółowy raport za kilka godzin. Teraz musisz odpocząć, a

jutro rano będziemy kontynuowali nasze testy.

Następnego dnia Hawkmoon ponownie został oddany we władanie maszyny mentalnej, ale tym razem leżał rozciągnięty w jej trzewiach spoglądając w górę, a przed jego oczyma ukazywały się obrazy – te same, które uprzednio wywołano pośród jego wspomnień, teraz rzutowano je na ekran. Twarz Hawkmoona nie wyrażała niemal żadnego uczucia w trakcie trwania badań. Poddano go działaniu serii halucynacji, w których stawiany był w niezwykle groźnych sytuacjach. To atakowała go wielka oceaniczna mewa, to spadała nań lawina, to stał naprzeciwko trzech szermierzy albo musiał skakać z trzeciego piętra budynku, by nie spłonąć żywcem. W każdym przypadku wykazywał się odwagą i zręcznością, chociaż reagował w sposób czysto mechaniczny i nie powodował nim nawet najslabszy strach. Przeprowadzono wiele podobnych testów, a on przechodził przez każdy z nich gładko, nie odczuwając przy żadnym jakiegokolwiek silniejszej emocji. Nawet kiedy maszyna mentalna pobudzała go do śmiechu czy szlochu, wywoływała w nim nienawiść lub miłość, jego reakcje miały czysto fizyczny charakter.

Wreszcie Hawkmoon został uwolniony przez maszynę i stanął przed wężową maską barona Kalana.

— Wygląda na to, że w pewien szczególny sposób jesteś aż nazbyt zdrów na umyśle, mój drogi książę – szepnął baron. – Paradoksalne, prawda? Tak, zbyt zdrowy. Zachowujesz się tak, jakby jakaś część twojego mózgu zaniknęła zupełnie albo została odcięta od całości. W każdym razie mogę przekazać baronowi tylko tyle, iż w zasadzie kapitalnie nadajesz się do jego celów, choć jedynie tak długo, jak długo stosowane będą odpowiednie środki ostrożności.

— A cóż to za cel? – zapytał Hawkmoon bez szczególnego zainteresowania.

— To on sam musi ci o tym powiedzieć.

Niedługo potem baron Kalan pożegnał się z Hawkmoonem, którego dwóch strażników z Zakonu Modliszki poprowadziło z powrotem przez labirynt korytarzy. Po dłuższej wędrówce dotarli do drzwi z polerowanego srebra, które otworzyły się, ukazując skromnie umeblowany pokój, w całości, łącznie z podłogą i sufitem wyłożony zwierciadłami, z wyjątkiem ukazującego panoramę miasta szerokiego okna balkonowego w przeciwległej ścianie. Przy oknie stała postać w czarnej masce wilka; mógł to być tylko baron Meliadus.

Baron odwróciwszy się, ruchem dłoni nakazał strażnikom odejść, po czym pociągnął za linkę, a z góry opadły zasłony, skrywając zwierciadlane ściany. Hawkmoon mógł nadal widzieć swoje odbicie, kiedy spoglądał w górę lub w dół. Wolał jednakże popatrzeć na widok za oknem.

Miasto tonęło w gęstej mgłę, zbijającej się w zielonkawoszare kłęby dokoła wież i opadającej nad rzeką. Zbliżał się wieczór, słońce niemal kompletnie skryło się już za horyzontem, a wieże przypominały dziwaczne, nienaturalne formacje skalne, wystające ponad powierzchnię jakiegoś pierwotnego morza. Nie byłoby w tym nic zaskakującego, gdyby wychynął stamtąd nagle jakiś gigantyczny gad i przytknął swe oko do brudnej, ociekającej wilgocią szyby.

Po zasłonięciu ściennych zwierciadeł pokój pomroczniał wyraźnie, nie było tu bowiem żadnego sztucznego źródła światła. Baron tkwił nadal przy oknie i mruczał coś do siebie, ignorując Hawkmoona.

Gdzieś z głębin miasta dobiegło przytłumione przez mgłę,

zniekształcone echo okrzyku, które szybko zanikło. Baron Meliadus uniósł wilczą maskę i popatrzył uważnie na Hawkmoona, choć z pewnością ledwo mógł go teraz dostrzec.

— Zbliź się do okna panie... – rzekł.

Hawkmoon ruszył przed siebie, raz czy dwa pośliznąwszy się na dywanach. częściowo zaścielających szklaną podłogę. – Cóż – odezwał się Meliadus. – Rozmawiałem z baronem Kalanem, który złożył mi zagadkowy raport o psychice z ledwością poddającej się interpretacji. Jak się wyraził, wygląda na to, iż jej część przestała funkcjonować. Z jakiego powodu? Przygnębienia? Upokorzenia? Ze strachu? Nie spodziewałem się podobnych komplikacji. Miałem zamiar zawrzeć z tobą ugodę jak człowiek z człowiekiem, oferując ci coś, czego pragniesz za potrzebne mi usługi. I chociaż nie widzę powodu, by nie obstawać dalej przy swej propozycji, to jednak nie jestem pewien, jak się do tego zabrać. Czy byłbyś skłonny zastanowić się nad naszą ugodą, drogi książę?

— Co proponujesz?– Hawkmoon wpatrywał się ponad ramieniem barona w widoczne za oknem, ciemniejące niebo. – Czy słyszałeś o hrabi Brassie, starym bohaterze?

— Owszem.

— Jest on teraz Lordem Kanclerzem, Protektorem Prowincji Kamargu.

— Słyszałem o tym.

— Odznacza się niezwykłym uporem w przeciwstawianiu się woli Króla-Imperatora i znieważa Granbretan. Chcielibyśmy wykorzystać jego mądrość. Jedyne sposoby, aby tego dokonać, to porwać jego ukochaną córkę i przewieźć ją do Granbretanu jako zakładniczkę. Nie zaufa on co prawda żadnemu z wysłanych przez nas emisariuszy ani komukolwiek obcemu, musiał jednak

słyszeć o twoich wyczynach w bitwie pod Kln i bez wątpienia sympatyzuje z tobą. Gdybyś udał się do Kamargu szukając schronienia przed Imperium Granbretanu, niemal na pewno by ciebie przyjął. Dla człowieka o twojej pomysłowości nic stanowiłoby problemu już tam, na miejscu, wybranie odpowiedniego momentu, porwanie dziewczyny i przywiezienie jej do nas. poza granicami Kamargu moglibyśmy oczywiście zapewnić ci wszelką pomoc. A terytorium Kamargu jest niewielkie, łatwo ci będzie uciec.

Tylko tyle po mnie oczekujesz?

- Tak. W zamian otrzymasz z powrotem swoje ziemie i będziesz mógł rządzić w nich wedle własnej woli, lecz dopóty jedynie, dopóki nie powstaniesz przeciwko Mrocznemu Imperium, czy to słowem czy uczynkiem.

Moi ludzie cierpią pod rządami Granbretanu – rzekł niespodziewanie Hawkmoon, jakby doznając objawienia. W jego głosie nie było uczucia i przemawiał raczej jak ktoś, kto rozpatruje abstrakcyjne problemy moralne. – Będzie z pożytkiem dla nich, jeżeli ja przejmę rządy.

Hm! – uśmiechnął się baron Meliadus. – A więc ta ugoda wydaje ci się sensowna? – Tak, chociaż nie wierzę, żebyście dotrzymali obietnicy. Dlaczego? Będzie to dla nas z wielkim pożytkiem, jeśli w przysparzającym problemów kraju obejmie rządy -ktoś, komu ludzie ufają, a jednocześnie komu my również będziemy mogli ufać.

Udam się do Kamargu i przedstawię tam twoją wersję wydarzeń. Potem porwę dziewczynę i przywiozę ją do Granbretanu. – Hawkmoon westchnął i popatrzył na barona Meliadusa. – Czemu nie?

Zmieszany dziwnym zachowaniem Hawkmoona i

nieprzywykły do obcowania z tego typu osobowością Meliadus zmarszczył brwi.

Nie możemy być całkowicie pewni, czy uwalniając cię nie pomożemy ci w realizacji jakiegoś podstępu. I chociaż masz maszyna mentalna jest nieomylna w przypadku wszystkich testowanych cech, to nie możemy też wykluczyć, że zastosowałeś jakąś tajemną magię i oszukałeś ją.

— Nie znam się na magii.

— Wierzę w to... prawie – głos barona Meliadusa brzmiał nieco pogodniej. – Nie musimy się niczego bać.

Dysponujemy znakomitym zabezpieczeniem przed jakąkolwiek zdradą z twojej strony. Zabezpieczeniem, które albo przywiedzie cię z powrotem do nas, albo uśmierci, jeśli zaistnieją powody do tego, by ci nie ufać. Urządzenie skonstruował niedawno baron Kalan, choć przypuszczam, że nie jest to całkowicie jego oryginalny pomysł. Nazywa się Czarnym Klejnotem. Jutro zostaniesz w nie wyposażony. Tę noc spędzisz w pałacu, w przygotowanych dla ciebie apartamentach. Zanim wyjedziesz, będziesz miał zaszczyt zostać przedstawionym Jego Wysokości Królowi-Imperatorowi. Niewielu obcych spotyka ten honor.

Skończywszy, Meliadus wezwał skrytych za owadzimi maskami strażników i polecił im odprowadzić Hawkmoona do jego pokoi.

ROZDZIAŁ III

CZARNY KLEJNOT

Następnego ranka Dorian Hawkmoon został ponownie zaprowadzony do barona Kalana. Odniósł wrażenie, że węzowa maska wykrzywia się w cynicznym uśmiechu jakby szydząc z niego; baron niemal się do niego nie odzywając poprowadził go poprzez ciąg pokoi i korytarzy, aż wreszcie stanęli przed gładkimi drzwiami ze stali. Kiedy te się otworzyły, ukazały się drugie drzwi, za którymi z kolei były jeszcze trzecie. W końcu znaleźli się w niewielkim, słabo oświetlonym pokoiku o ścianach z białego metalu, w którym znajdowała się niezwyklej urody maszyna. Niemal w całości skrywały pasma delikatnej czerwonej, złotej i srebrzystej materii, której końce, muskając twarz Hawkmoona, emanowały ciepłem żywej ludzkiej skóry. Spomiędzy materii, poruszającej się jakby na lekkim wietrze, dobiegały ciche dźwięki muzyki. – Wygląda na żywą – odezwał się Hawkmoon.

Bo jest żywa – szepnął z dumą baron Kalan. – Ona jest żywa.

— To zwierzę?

— Nie. Jest wytworem magii. Sam dobrze nie wiem, czym naprawdę jest. Budowałem ją zgodnie z instrukcją zawartą w papirusie, który kupiłem od mieszkańców Wschodu wiele lat temu. To jest maszyna Czarnego Klejnotu. Och, wkrótce zapoznasz się z nią nieco bliżej, drogi książę.

Gdzieś w głębi duszy Hawkmoon poczuł nagły skurcz paniki, nie pozwolił jednak, by to uczucie zawładnęło jego umysłem.

Poddali się pieszczotom czerwonych, złotych i srebrzystych pasów materii.

— To nie wystarczy rzekł Kalan. – Nie wystarczy. Ona musi utworzyć Klejnot. Przysuń się bliżej niej, książę. Wejdź w nią. Zapewniam cię, że nie odczujesz żadnego bólu. Ona musi stworzyć Czarny Klejnot.

Hawkmoon usłuchał barona i otoczył go szelest materii i delikatny śpiew. Wkrótce od tych dźwięków i od siatki przemykających przed oczyma czerwonych, złotych i srebrzystych smug zaczęło mu się mącić w głowie. Maszyna Czarnego Klejnotu pieściła go i jakby wkraczała w niego tworząc jedną wspólną jaźń. Westchnął, ale jego głos rozbrzmiał muzyką materii; poruszył się, lecz jego członki były już wiotkimi pasmami muślinu.

We wnętrzu jego czaszki wzrastało ciśnienie, a jednocześnie całe ciało zalewało poczucie kojącego ciepła i komfortu. Unosił się, jak gdyby pozbawiony ciała, i całkowicie zatracił poczucie czasu, wiedział jednakże, iż maszyna tworzy coś z jego własnych tkanek, produkuje coś twardego i sztywnego pośrodku jego czoła, aż nagle poczuł, jakby wszedł w posiadanie trzeciego oka i uzyskał możliwość spoglądania na świat w całkowicie odmienny sposób. Wszystko to wkrótce zaniknęło i oto znów patrzył na barona Kalana, który zdjął maskę, by mu się lepiej przyjrzeć.

Hawkmoon poczuł nagły ostry ból w głowie; który zresztą po chwili przeminął. Obejrzał się na maszynę jej barwy przygasły, a pasma materii wydawały się znacznie krótsze. Uniósł dłoń do czoła i z przerażeniem stwierdził, iż tkwi tam coś, czego przedtem nie miał było to twarde i śliskie i stanowiło część ciała. Przeszył go dreszcz.

Baron Kalan przyglądał mu się z niepokojem.

— Nie oszalałeś od tego, prawda? byłem pewien sukcesu!– nie postradałeś zmysłów?

— Nie oszalałem odparł Hawkmoon. – Wydaje mi się jednak, że zaczynam się bać.

Oswoisz się z obecnością Klejnotu. Właśnie to jest w mojej głowic? Klejnot?

Tak. Czarny Klejnot. Zaczekaj. – Kalan odwrócił się i odsunął na bok zasłonę ze szkarłatnego aksamitu, odsłaniając niemal metrowej długości płaski owal z mleczno-kwarcu. Na jego powierzchni powoli zaczął się rysować obraz. Hawkmoon dostrzegł nie kończący się bryły malejących odbić wpatzonego w kwarcowy owal Kalana. Ekran ukazywał dokładnie to, na co Hawkmoon spoglądał. Kiedy nieco obrócił głowę, obraz natychmiast przesunął się w odpowiednim kierunku.

To działa, jak widzisz – mruknął Kalan z zadowoleniem. – Wszystko, co ty odbierasz, odbiera także Klejnot. Dokądkolwiek byś się udał, my będziemy widzieć wszystkich i wszystko, co znajdzie się w zasięgu twego wzroku.

Hawkmoon chciał coś powiedzieć, ale nie mógł wydobyć głosu. Zdawało mu się, że w jego gardle tkwi twardy miecha płuca ściska sztywna obręcz. Ponownie sięgnął dłonią do ciepłego Klejnotu, tak bardzo przypominającego w dotyku ciało, a jednocześnie tak obcego pod każdym innym względem.

— Co wy ze mną zrobiliście? wydusił w końcu z siebie bezbarwnym, tak jak zawsze, głosem.

Po prostu zapewniliśmy sobie twą lojalność zachichotał Kalan. – Została ci wszczepiona część życia maszyny. Jeżeli zajdzie taka potrzeba, będziemy mogli przelać do Klejnotu całe życie maszyny, a wtedy...

Hawkmoon wyciągnął zeszywniałą rękę i dotknął ramienia

barona.

— I co wtedy?

— Ona pożre twój mózg, książę Kln. Pożre twój mózg.

Baron Meliadus pospieszył za Dorianem Hawkmoonem poprzez połyskliwe korytarze pałacu. Hawkmoon miał teraz u boku szpadę i ubrany był w strój i kolczugę bardzo przypominające te, jakie nosił w czasie bitwy pod Kln. Jednakże myślał niemal wyłącznie o Klejnocie tkwiącym w jego czaszce i nie zwracał uwagi na nic innego. Korytarz rozszerzył się wkrótce do rozmiarów sporej ulicy, pod ścianami stały szeregi strażników w maskach Zakonu Modliszki. Wreszcie wyrosły przed nimi potężne wrota, wyłożone barwną mozaiką z niezliczonych klejnotów.

— Sala tronowa – mruknął baron. – Teraz przyjmie cię Król-Imperator.

Drzwi otworzyły się powoli ukazując wspaniałość sali tronowej. Blask i przepych na wpół oślepiły Hawkmoona. Komnatę wypełniały jaskrawe światło i muzyka; z tuzina galerii, wznoszących się ku półkolistemu sklepieniu, zwieszały się błyszczące sztandary setek szlacheckich rodów Granbretanu. Wzdłuż ścian i galerii ze wzniesionymi w salucie ognistymi lancami stali żołnierze z Zakonu Modliszki w owadzych maskach i zbrojach w odcieniach czerni, zieleni i złota. Za ich plecami, oszalamiając różnorodnością masek i bogactwem strojów, tłoczyli się dworzanie. Wszystkie oczy z zaciekawieniem zwróciły się w stronę Meliadusa i Hawkmoona.

Wydawało się, że szeregi żołnierzy ciągną się w nieskończoność. Gdzieś na końcu sali, niemal na granicy zasięgu wzroku, zwieszało się coś, czego Hawkmoon początkowo nie był w stanie rozpoznać. Zmarszczył brwi.

— Kula tronowa – szepnął Meliadus. – Rób teraz dokładnie to co ja – i powoli ruszył do przodu.

Ściany sali tronowej lśniły zielono i purpurowo, mimo to przyćmiewały je wielobarwną masą kolorów sztandarów, strojów, zbroi i szlacheckich kamieni zdobiących dworzany. Oczy Hawkmoona utkwione były w kuli.

Hawkmoon i Meliadus, przypominający w olbrzymiej komnacie dwa karzełki, ruszyli odmierzonego krokiem w stronę tronu. Trębacze, stojący na galeriach po lewej i prawej stronie, zadęli w fanfary.

Kiedy w końcu Hawkmoon był w stanie odróżnić szczegóły kuli tronowej, ogarnęło go zdumienie. Wypełniał ją mlecznobiały fluid, falujący leniwie, niemal hipnotyzująco. Od czasu do czasu we fluidzie tworzył się mieniący zgęstka blasku, który stopniowo zanikał, po czym znów się pojawiał. W środku tego fluidu, przywodząc Hawkmoonowi na myśl płód, unosił się nieprawdopodobnie stary człowiek u twarzy poranej zmarszczkami, bezwładnych wyraźnie rękach i nogach oraz nieproporcjonalnie wielkiej głowie. Z twarzy tej spoglądały bystre, złośliwe oczy.

Za przykładem Meliadusa Hawkmoon przyklęknął przed owym stworzeniem.

Powstańcie rozległ się głos. Hawkmoon ze zdziwieniem doszedł do wniosku, iż głos dobiegł od strony kuli; był to młody głos męczyzny w sile wieku: dźwięczny, melodyjny, wibrujący. Przez głowę więźnia przemknęło pytanie, z jakiegoż to młodzieńczego gardła został wyrwany ten głos.

Królu-Imperatorze, przedstawiam Doriana Hawkmoona, księcia Kln, wybranego do wypełnienia dla nas specjalnej misji. Pamiętasz zapewne, szlachecki władca – baron Meliadus skłonił

się wypowiadając te słowa – iż wspominałem ci o moim planie...

— Doceniamy wysiłki oraz wielką pomysłowość, by zapewnić nam usługi owego hrabiego Brassia rozległ się znów dźwięczny głos. – Wierzymy, że twoje sądy są słuszne w tej materii, baronie Meliadus.

— Masz powód, by mi ufać, zważywszy moje dotychczasowe dokonania, Wasza Wysokość – odparł Meliadus, kłaniając się ponownie.

Czy księżę Kln został uprzedzony o nieuchronnej karze, jaką poniesie, jeśli nie będzie nam służył lojalnie? – zapytał pogardliwie młodzieńczy głos. Czy powiedziano mu, że możemy zniszczyć go w jednej chwili i z każdej odległości?

Meliadus uderzył się w pierś.

— Tak, został uprzedzony, potężny Królu-Imperatorze. – Czy poinformowałeś go – kontynuował głos z upodobaniem – że Klejnot w jego czaszce widzi wszystko to, co on widzi, i ukazuje nam ten obraz w komnacie maszyny Czarnego Klejnotu?

— Tak, Dostojny Monarcho.

I wyjaśniłeś mu dokładnie, że będziemy mogli dostrzec wszelkie oznaki zdrady i przy najmniejszym podejrzeniu, co bez trudu ocenimy, patrząc jego oczyma na twarze ludzi, z którymi się będzie stykał, prześlemy Klejnotowi całą jego energię życiową? Że skierujemy całą energię maszyny w stronę jej człowieczego brata? Czy mówiłeś mu, baronie Meliadusie, że ów Klejnot, władając całym jego życiem, przeżre mu mózg na wylot, pochłonie świadomość, zmieniając go w zaślinione, bezmózgie zwierzę?

— W istocie. Wielki Imperatorze, został o tym poinformowany. Stworzenie w kuli tronowej zachichotało.

Sądząc po jego wyglądzie, baronie, groźba pozbawienia

świadomości nie jest żadną groźbą. Czy jesteś pewien, że nie uległ on już wpływowi energii życiowej Klejnotu'?

— To jego charakter stwarza takie wrażenie, Nieśmiertelny Władco.

Bystre oczy wwierciły się w twarz Doriana Hawkmoona, a z wiekowego gardła wydobył się dźwięczny ironiczny głos. – Zawarłeś umowę z nieśmiertelnym Królem-Imperatorem Granbretanu, księżę Kln. Tylko dzięki naszej szczodrości możliwa jest taka ugoda z bądź co bądź naszym niewolnikiem. W zamian musisz nam – służyć z absolutną lojalnością i ze świadomością, że twym udziałem jest częśćka przeznaczenia najpotężniejszej rasy, jaka kiedykolwiek zrodziła się na tej planecie. Naszą wolą jest rządzić z pomocą wszechwiedzącego intelektu i wszechmocnej potęgi całą Ziemią i wkrótce już nasza wola stanie się prawem. Wszyscy, którzy dopomogą w osiągnięciu tego szlachetnego celu, otrzymają naszą pochwałę. Idź więc, księżę, i zacznij pracować na tę pochwałę.

Zasuszona głowa odwróciła się, z ust wysunął się chwytny język i dotknął niewielkiego klejnotu, zawieszzonego w pobliżu ścianki kuli tronowej. Wnętrze kuli zaczęło się ściemniać i na chwilę ukazała się cała sylwetka embrionokształtnej postaci Króla-Imperatora, ostatniego, nieśmiertelnego potomka dynastii założonej niemal trzy tysiące lat wcześniej.

— Nie zapominaj o mocy Czarnego Klejnotu -rozbrzmiał po raz ostatni młodzieńczy głos, zanim kula przemieniła się w solidną, nieprzeniknioną bryłę czerni.

Audiencja dobiegła końca. Kłaniając się, Meliadus i Hawkmoon cofnęli się o kilka kroków, po czym odwrócili podążyli ku wyjściu z sali tronowej. Owa audiencja odniosła zresztą całkowicie niezamierzony ani przez barona, ani przez

jego władcę skutek. Oto w zmienionym umyśle Hawkmoona, w jego najbardziej ukrytych głębinach, pamięci rodzić się niezauważalnie irytacja. Ale źródłem tej Irytacji nie był wcale Czarny Klejnot, osadzony w jego czole, lecz coś znacznie mniej namacalnego.

Możliwe, że owa irytacja była pierwszym objawem odradzającego się człowieczeństwa Hawkmoona. Możliwe ci, iż oznaczała narodziny nowej, całkowicie odmiennej jakości. A może była wynikiem oddziaływania Magicznej Laski.

ROZDZIAŁ 10

PODRÓŻ DO ZAMKU BRASS

Dorian Hawkmoon wrócił do swoich dawnych apartamentów w więziennych katakumbach i czekał tutaj przez dwa dni, aż wreszcie zjawił się baron Meliadus, przynosząc ze sobą strój z czarnej skóry, buty i rękawice do kompletu, ciężki czarny płaszcz z kapturem, szeroki miecz o srebrzystej rękojeści w czarnej skórzanej pochwie, pokrytej prostym, srebrnym wzorem, oraz czarny hełm połączony z maską o rysach obnażającego kły wilka. Zarówno strój, jak i oręż musiały być z pewnością zaprojektowane przez samego Meliadusa. Twoja opowieść o ucieczce do Zamku Brass będzie bardzo prosta – zaczął Meliadus. – Zostałeś uwięziony przeze mnie, lecz udało ci się, przy pomocy służącego, struć mnie i zdobyć moje ubranie. W przebraniu tym zdołałeś wyjechać z Granbretanu i przemknąć się przez wszystkie kontrolowane prowincje, nim ja odzyskałem siły. Najprostsza historia będzie najlepsza, a ta ma na celu nie tylko wyjaśnić sposób twojej ucieczki z Granbretanu, ale także dodać ci splendoru w oczach ludzi, którzy mnie nienawidzą.

— Rozumiem – odparł Hawkmoon, obmacując ciężki czarny kubrak. – A jak wyjaśnię obecność Czarnej Klejnotu?

— Miałeś stanowić obiekt jakiegoś mojego eksperymentu, lecz udało ci się zbiec, zanim jeszcze uczyniono ci krzywdę. Opowiedz tę historię dobrze, Hawkmoonie, gdyż od niej zależy twoje bezpieczeństwo. Będziemy uważnie przyglądali się reakcji hrabiego Brass, a już szczególnie tego przebiegłego

wierszoklety, Bowgentle'a. I chociaż nie będziemy mogli słyszeć twoich słów, to możliwe będzie czytanie z ruchu ich warg. Jakakolwiek oznaka zdrady z twojej strony spowoduje przekazanie Klejnotowi całej energii życiowej.

— Rozumiem – powtórzył Hawkmoon jak zwykle bezbarwnym głosem.

Meliadus zmarszczył brwi.

— Z pewnością zauważą twoją dziwną manierę, ale przy odrobinie dobrej woli wytłumaczą ją sobie niepowodzeniami, jakie cię spotkały. Może przez to będą jeszcze bardziej troskliwi..

Hawkmoon nieznacznie skinął głową. Meliadus popatrzył na niego uważnie.

— Wciąż wzbudzasz mój niepokój, Hawkmoonie. Ciągłe nie jestem pewien, czy za pomocą jakiejś magii lub zaklęć nie wprowadziłeś nas w błąd. Tak czy inaczej, jestem pewien twojej lojalności. Czarny Klejnot to moje zabezpieczenie – uśmiechnął się. – Czekaj już na ciebie skrzydłolot, który zabierze cię do Deau-Vere na wybrzeżu. Szykuj się, drogi książę, i służ Granbretanowi z oddaniem. Jeśli twoja misja zakończy się sukcesem, już wkrótce będziesz znowu panem swoich włości.

Skrzydłolot osiadł na trawniku przed wyjściem z katakumb do miasta. Było to niezwykle piękne urządzenie, kształtem przypominające gigantycznego gryfa, wykonane z miedzi, brązu, srebra i oksydowanej stali. Zdawało się przysiądać na swych potężnych, jak gdyby lwich łapach, z dwunastometrowej długości skrzydłami złożonymi na karku. Poniżej głowy, w niewielkiej kabinie, siedział pilot w ptakopodobnej masce swego zakonu – Zakonu Kruka, skupiającego wszystkich lotników – a odziane w rękawice dłonie oparł na wysadzanych klejnotami przyrządach kontrolnych.

Hawkmoon, ubrany w strój niewiele różniący się od stroju Meliadusa, nie bez obawy wdrapał się na miejsce za plecami pilota i spróbował usadowić się jakoś z zawadzającym mu mieczem na długiej, wąskiej ławeczce. W końcu znalazł stosunkowo najwygodniejszą pozycję i kurczowo zacisnął ręce na żebrowanych metalowych bokach latającej maszyny, kiedy pilot nacisnął dźwignię, a skrzydła rozłożyły się z brzękiem i poczęły ze straszliwym, ogłuszającym hukiem bić powietrze. Cały skrzydłolot zadygotał i zaczął przechylać się na bok. Pilot zaklął cicho, ale po chwili odzyskał panowanie nad pojazdem. Hawkmoon słyszał, że latanie nie jest tak całkowicie bezpieczne, sam widział kilkakrotnie, kiedy w bitwie pod Kln zostali przez nie zaatakowani, jak ich skrzydła składały się nagle wzdłuż kadłuba i maszyny waliły się na ziemię. Mimo tej niestabilności skrzydłoloty Mrocznego Imperium stanowiły podstawową broń przy zdobywaniu nowych terenów na kontynencie europejskim, jako że żaden inny naród nie dysponował jakimkolwiek rodzajem maszyn latających.

Teraz, niezbyt przyjemnie rzucając na boki, metalowy gryf zaczął się powoli wznosić. Skrzydła z hukiem rozcinały powietrze, jakby w parodii naturalnego lotu ptaków, lecz maszyna wznosiła się coraz wyżej i wyżej, aż w końcu znaleźli się ponad najwyższymi wieżami Londry i łukiem skierowali się na południowy wschód. Hawkmoon oddychał ciężko, doznając nieznanymi a nieprzyjemnymi wrażeń.

Po jakimś czasie potwór przebił się przez grubą warstwę ciemnych chmur i na jego metalowej powierzchni zagrały odbłaski promieni słonecznych. Z twarzą i oczyma osłoniętymi maską, przez której otwory wypełnione przezroczystymi kamieniami szlachetnymi spoglądał, Hawkmoon ujrzał światło

słoneczne rozszczepione na miliony tęczowych rozbłysków. Szybko zamknął oczy.

Sporo czasu minęło, zanim poczuł, iż skrzydłolot zaczyna obniżać lot. Uniósł powieki i ujrzał, że ponownie znajdujące we wnętrzu chmury, po chwili jednak wynurzyli się z niej ponad popielato szarymi polami oraz widocznymi z oddali wieżycami miasta, leżącego nad sinym, pofalowanym morzem.

Maszyna zaczęła ociężale spadać w kierunku wielkiej płaskiej skalnej platformy wyrastającej w środku miasta. Lądowali pośród ciężkiego łomotu; konwulsyjnego bicia skrzydeł, aż wreszcie zatrzymali się tuż przy krawędzi zaznaczonego lądowiska.

Pilot dał Hawkmoonowi sygnał, że może wysiadać. Uczynił to z radością, cały zeszywniały, z drżącymi kolanami, za to pilot zamknawszy swoją kabinę lekko zeskoczył obok niego na ziemię. Tu i tam stały na lądowisku inne skrzydłoloty. Kiedy szli przez skalistą płaszczyznę pod ciężką zasłoną chmur, jeden z nich zaczął się wznosić w górę i Hawkmoon poczuł na twarzy silne uderzenia powietrza wyrzucanego spod skrzydeł, kiedy maszyna przelatywała niezbyt wysoko nad ich głowami.

Deau-Vere odezwał się pilot w masce kruka. Miasto oddane niemal w całości do dyspozycji sił powietrznych, chociaż okręty wojenne korzystają jeszcze z portu.

Hawkmoon dojrzał wkrótce okrągłą stalową klapę w skale przed nimi. Pilot zatrzymał się przy niej i ciężkim butem wystukał skomplikowaną serię uderzeń. po pewnym czasie klapa opadła, ukazując kamienne schody, a kiedy zaczęli schodzić w dół, zatrzasnęła się za nimi z łoskotem. Klatka schodowa, ozdobiona patrzącymi spode łba chimerami i jakimiś pośledniejszego gatunku płaskorzeźbami, tonęła w półmroku.

W końcu wyszli przez strzeżone przez wartowników drzwi na brukowaną ulicę między czworokątne, zakończone wieżyczkami strzeliste budynki, wypełniające przestrzeń miasta. Po ulicach krążyły tłumy wojowników Granbretanu. Grupy lotników w kruczych maskach mieszały się z gromadami w maskach rybich albo przedstawiających węża morskiego, załogi okrętów wojennych ustępowały miejsca całym oddziałom piechoty i kawalerii, demonstrującym wielką różnorodność masek, symbolizujących przynależność do Zakonu Świni, Wilka, Czaszki, Modliszki, Byka, Psa, Kozła i wielu innych. Szpady podzwaniały o zakute w zbroję nogi, brzęczały w ścisiku ogniste lance, a wszystko to składało się na ponury mechanizm wielkiej maszyny wojennej.

Kiedy przepychali się przez ciżbę, Hawkmoon początkowo dziwił się, że tak szybko schodzono mu z drogi, wreszcie uświadomił sobie, jak bardzo przypomina obecnie barona Meliadusa.

Przy bramie miasta czekał już na niego wierzchowiec o jukach wypchanych zapasami. Hawkmoona poinformowano już wcześniej o sposobach podróży oraz trasie, którą miał się poruszać. Teraz dosiadł konia i ruszył powoli w stronę morza.

Wkrótce chmury rozstały się, wyjrzało nieco słońca i Dorian Hawkmoon po raz pierwszy w życiu ujrzał Srebrny Most, przerzucony nad pięćdziesięciokilometrowej szerokości cieśniną. Zabłysł w promieniach słonecznych, wywołując należyty podziw, z pozoru zbyt delikatny na to, by wytrzymać najłżejszy powiew wiatru, a w rzeczywistości tak mocny, iż zdolny utrzymać na sobie wszystkie armie Granbretanu. Wznosił się łagodnym łukiem ponad oceanem i ginął za linią horyzontu. Pas jezdny mierzył niemal czterysta metrów szerokości, a ogradzały go

drgające siatki grubych srebrzystych lin, zwieszających się z szeregu łukowato sklepionych pylonów, pokrytych w całości motywami militarnymi.

Na moście trwał wzmożony ruch w obie strony. Hawkmoon widział powozy tak wymyślnie rzeźbione, iż trudno wprost było uwierzyć, że mogą jeszcze być funkcjonalne; szwadrony kawalerii, której konie były równie wspaniale przybrane jak jeźdźcy; bataliony piechoty, maszerującej czwórkami z niewiarygodną precyzją; karawany wozów kupieckich i jucznych zwierząt, dźwigających niemal wszystkie możliwe rodzaje towarów: futra, jedwabie, tusze zwierzęce, owoce, warzywa, kufry ze skarbami, lichtarze, łóżka, całe komplety krzeseł – z czego większość, jak Hawkmoon dobrze wiedział, pochodziła z grabieży ostatnio włączonych do Imperium krajów, takich jak Kln, podbitych przez te same armie, które teraz mijały się na moście z karawanami.

Dostrzegał także maszyny wojenne, wykonane z żelaza i miedzi, z ostrymi dziobami służącymi do taranowania, wysokimi wieżami obłędnymi oraz sprężystymi ramionami do ciskania potężnych pocisków zapalających i kamieni. Obok nich, skryci za maskami kretów, borsuków i łasic, maszerowali inżynierowie Mrocznego Imperium o przysadzistych, muskularnych sylwetkach i szerokich, ciężkich dłoniach. Wszystko to przypominało mu nie kończącą się wędrówkę mrówek, komicznie małych na tle majestatu Srebrnego Mostu, który podobnie jak skrzydłoloty, wydatnie przyczynił się do błyskawicznych podbojów Granbretanu.

Strażnicy u wejścia na most musieli mieć przykazane, by przepuścić Hawkmoona, bowiem brama została otwarta, kiedy tylko się do niej zbliżył. Wjechał wprost na wibrujący most, a

kopyta konia zadzwoniły o metalową konstrukcję. Pas jezdny oglądany z bliska tracił wiele ze swego blasku. Jego powierzchnia była porysowana i powgniatana od nieustannego ruchu. Tu i tam leżały sterty końskiego łajna, szmaty, słoma i inne, nie do końca rozpoznawalne odpadki. Było, rzecz jasna, niemożliwością utrzymanie tak intensywnie wykorzystywanej drogi w idealnym stanie, jednakże w jakiś sposób ów brudny trakt symbolizował coś z ducha dziwacznej cywilizacji Granbretanu.

Hawkmoon przemierzył ponad wodami morza Srebrny Most i po jakimś czasie wkroczył na kontynent europejski, kierując się w stronę Kryształowego Miasta, niegdyś tak długo opierającego się Granbretanowi. W Kryształowym Mieście Parji miał zrobić sobie dzień odpoczynku przed wyruszeniem w dalszą drogę na południe.

Jednakże od Kryształowego Miasta dzieliło go więcej niż dzień drogi, bez względu na to jak szybko by podążał. Zdecydował nie zostawać w Karlje, mieście najbliższym mostu, lecz poszukać osady, w której będzie mógł spokojnie wypocząć przez noc.

Tuż przed zachodem słońca dotarł do wioski o przytulnie wyglądających domach i ogrodach, chociaż tu i ówdzie widać było ślady wojny. Niektóre z domów znajdowały się w stanie kompletnej ruiny. Wioska była dziwnie cicha, w kilku zaledwie oknach pojawiły się światła, a kiedy dotarł do gospody, zastał drzwi zamknięte, ze środka zaś nie dobiegały żadne odgłosy życia. Zajechał na podwórzu, zsiadł z konia i załomotał pięścią w drzwi. Musiał czekać kilka minut, nim usłyszał szcęk odsuwanych rygli i zza uchylonych drzwi wyjrzała na niego twarz chłopca. Młodzieniec na widok wilczej maski przestraszył się nieco, szybko otworzył szeroko drzwi i wpuścił Hawkmoona do środka. Ten natychmiast po przekroczeniu progu zsunął z

głowy maskę i uśmiechnął się, chcąc zatrzeć niekorzystne pierwsze wrażenie, lecz -wypadło to sztucznie, Hawkmoon zapomniał bowiem, jak należy układać wargi do uśmiechu. Odniósł wrażenie, że chłopak potraktował wykrzywienie warg jako wyraz dezaprobaty, ponieważ odskoczył szybko w tył, a jego oczy wyrażały nieufność, jak gdyby w każdej chwili spodziewał się uderzenia.

— Nie zrobię ci krzywdy rzekł surowo Hawkmoon. – Zajmij się tylko moim koniem, przygotuj mi łóżko i daj coś do zjedzenia. Wyjadę o świcie.

Ale mamy tylko bardzo skromne jadlo, panie mruknął chłopak, nieco ośmielony.

Mieszkańcy Europy byli w tamtych czasach przyzwyczajeni do życia pod okupacją takich czy innych sił, tak więc zabór Granbretanu nie stanowił dla nich, w istocie rzeczy, żadnej nowości. Jednakże czymś nieoczekiwanym było okrucieństwo Granbretańczyków i to z pewnością powodowało strach i nienawiść chłopca, który nie spodziewał się nawet odrobiny sprawiedliwości po kimś, kogo najwyraźniej zaliczył do parów Granbretanu.

— Przynieś cokolwiek tam macie. Zachowaj najlepszą żywność i wina, jeśli taka twoja wola.

— Pragnę tylko zaspokoić głód i wyspać się.

— Nie mamy już najlepszej żywności, panie. Gdybyśmy...

Hawkmoon uciszył go gestem dłoni.

— Nie interesuje mnie to, chłopcze. Potraktuj rzecz dosłownie i daj do zjedzenia cokolwiek macie.

Rozejrzał się po sali i dostrzegł jednego czy dwóch starców siedzących w cieniu; popijali z ciężkich garnców i wyraźnie unikali spoglądania w jego stronę. Przeszedł na środek sali i

usiadł przy niewielkim stoliku, zdjął płaszcz i rękawice ocierając z kurzu twarz i ubranie. Wilczą maskę cisnął na ziemię obok krzesła, uznał bowiem, że będzie to gest całkowicie nie pasujący do przypisywanej mu pozycji szlachcica Mrocznego Imperium. Spostrzegł, że jeden z mężczyzn popatrzył na niego z niejakim zdziwieniem, a kiedy po chwili zaczęli półgłosem wymieniać ze sobą uwagi, zrozumiał, że zauważyli Czarny Klejnot. Chłopak wrócił, przynosząc cienkie piwo i talerz z kilkoma skrawkami wieprzowiny. Hawkmoon odniósł wrażenie, że istotnie jest to najlepsze, co posiadają. Zjadł mięso, wypił piwo, po czym poprosił, by wskazano mu jego pokój. W skromnie umeblowanej komnacie szybko zrzucił odzienie, wykapał się, po czym wsunął między sztywne prześcieradła i wkrótce zasnął.

Ocknął się w środku nocy, nie bardzo wiedząc, co go obudziło. Wiedziony jakimś impulsem wysliznął się z łóżka, podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz. Wydało mu się, iż dostrzega w blasku księżyca sylwetkę jeźdźca na ciężkozbrojnym rumaku, spoglądającego w stronę jego okna.

Przypominał rycerza w pełnej zbroi z opuszczoną na twarz przyłbicą. Hawkmoonowi zdawało się, że odróżnia jego barwy – czerń i złoto. Po chwili rycerz zawrócił konia i zniknął z pola widzenia.

Wrócił do łóżka, miał jednak wrażenie, że ów epizod musi mieć jakieś znaczenie. Usnął ponownie, niemal równie szybko jak poprzednio, a kiedy obudził się rano, nie był pewien, czy ów rycerz za oknem nie przyśnił mu się tylko. Jeżeli tak – byłby to jego pierwszy sen od czasu pojmania. Nie mógł się oprzeć zdziwieniu, kiedy z zachmurzonym czołem ubierał się. W końcu skwitował to wzruszeniem ramion i zszedł na dół, do głównej sali gospody, by poprosić o śniadanie.

Hawkmoon dotarł do Kryształowego Miasta wieczorem. Budynki z najczystszeo kwarcu żyły wszystkimi kolorami i zewsząd dobiegało dzwonienie szkła, tak chętnie wykorzystywanego przez mieszkańców Parji do ozdoby domów, budynków publicznych oraz pomników. Było to miasto na tyle urzekające swoim pięknem, że nawet wodzowie Mrocznego Imperium zostawili je nie tknięte, woląc stracić kilka miesięcy na zdobywanie go podstępem, niż zaatakować zbrojnie.

Jednakże na każdym kroku dostrzec można było oznaki okupacji, poczynając od permanentnego strachu wyzierającego z twarzy mieszkańców, a kończąc na zataczających się na ulicach żołnierzach w zwierzęcych maskach oraz powiewających na wietrze sztandarach ponad rezydencjami, należącymi niegdyś do parjańskiej szlachty. W większości były to flagi Jaraka Nankenseena, Wodza Zakonu Muchy, Adaza Prompa, Wielkiego Konstabla Zakonu Psa, Mygela Holsta, Arcyksięcia Londry, oraz Asrovaka Mikosevaara, renegata z Moskovii, najemnego Wodza Legionu Sępów, zboczeńca i niszczyciela, którego legion pozostawał na usługach Granbretanu wcześniej jeszcze, niż rozpoczęło się wcielanie w 'rycie planów podboju Europy. Asrovak Mikosevaar-szaleniec, nie mający sobie równych nawet pośród wszystkich opanowanych obłędem parów Granbretanu, których uznał za swoich władców – znajdował się zawsze na pierwszej linii granbretańskich armii, coraz to rozszerzając granice imperium. Jego niesławny sztandar, z wyhaftowanym szkarłatnym napisem "Śmierć dla Życia", siał postrach w sercach wszystkich, którzy stawali na jego drodze. Hawkmoon doszedł do wniosku, że Asrovak Mikosevaar musiał teraz odpoczywać w Parji, ponieważ był to jedyny powód, dla którego mógłby zrezygnować i obecności na polu bitwy. Trupy przyciągały

Moskopianina tak, jak róże kuszą pszczoły.

Na ulicach Kryształowego Miasta nie widywało się dzieci. Te, które nie zostały zamordowane przez Granbretańczyków, były więzione, by zapewnić posłuszeństwo ocalałych mieszkańców.

Zachodzące słońce zdawało się pokrywać kryształowe budowle plamami krwi. Hawkmoon, zbyt zmęczony, by kontynuować jazdę, odnalazł polecaną mu przez Meliadusa gospodę, gdzie przespał całą noc i większą część dnia, zanim podjął przerwana podróż do Zamku Brass. Miał przed sobą jeszcze więcej niż połowę drogi.

Za Lyonem po raz pierwszy natknął się na silne Z strażę zdobywców. Cała ponura droga do Lyonu usiana była szubienicami i drewnianymi krzyżami, na których wisieli mężczyźni i kobiety, młodzi i starzy, dziewczęta i chłopcy, a nawet – widocznie w efekcie jakiegoś obłądnego dowcipu – zwierzęta domowe, w rodzaju kotów, psów czy hodowlanych królików. Widział gnijące na szubienicach całe rodziny, przybite do krzyży skrecone w agonii ciała wszystkich domowników, od najmniejszych dzieci do najstarszych służących.

Wlókł się smętnie w kierunku Lyonu, z nozdrzami wypełnionymi odorem rozkładu, ze smrodem śmierci tkwiącym w gardle niczym knebel. Mijał szerniałe, wypalone pola i lasy zrównane z ziemią miasteczka i wioski. nad którymi unosiło się szare, ciężkie powietrze. Wszyscy mieszkańcy tych ziem, niezależnie od poprzedniego statusu, zostali zmienieni w żebraków. Zostawiono przy życiu tylko te kobiety, które mogły służyć jako nierządnicze wśród żołdactwa Imperium, oraz tych mężczyzn, którzy przysięgli bezwarunkowe posłuszeństwo Królowi-Inperatorowi.

Ciekawość, jaka powodowała nim uprzednio, teraz przerodziła

się w targające wnętrznościami obrzydzenie, niewiele jednak z tego wszystkiego docierało do jego świadomości. Ukryty za wilczą maską zmierzał wprost do Lyonu. Nikt go nie zatrzymywał, nikt nie kontrolował. Ci, którzy służyli Zakonowi Wilka, walczyli w przeważającej części na północy, tak więc Hawkmoon nie obawiał się spotkania z innym wilkiem, mogącym przemówić do niego w sekretnym języku zakonu.

Minąwszy Lyon, puścił się polami, drogi były tu bowiem silnie strzeżone przez granbretańskich żołnierzy. Swą wilczą maskę wcisnął teraz do jednej z opróżnionych już toreb przy siodle i podążył szybko w stronę wolnych jeszcze ziem, gdzie powietrze wciąż było świeże, chociaż przesycone już strachem – strachem przed nieuchronną przyszłością.

W mieście Valence, gdzie czyniono pospieszne przygotowania do mającego nastąpić ataku Mrocznego Imperium – dyskutowano nad nie rokującymi powodzenia strategiami i klecono prowizoryczne maszyny wojenne Hawkmoon po raz pierwszy opowiedział swą historię.

— Jestem Dorian Hawkmoon z Kln-rzekł kapitanowi, do którego przyprowadzili go żołnierze.

Oficer, z jedną nogą w wysokim bucie wspartą na lawie zatłoczonej gospody, popatrzył na niego spod oka.

— Książę Kln musi być już martwy, został bowiem ujęty przez Granbretańczyków – rzekł. – Sądzę, że jesteś szpiegiem.

Hawkmoon nie protestował, ale opowiedział historię przygotowaną przez Meliadusa. Starając się ją ubarwić, zrelacjonował ze szczegółami swoje uwięzienie i sposób, w jaki udało mu się zbiec, a dziwny ton głosu, jak się, zdawało przekonał kapitana bardziej niż sama historia. Nagle przez tłum przepchnął się żołnierz, z wielkim mieczem i w zniszczonej

kolczudze, wykrzykujący imię Hawkmoona. Ten odwrócił się i na płaszczu człowieka rozpoznał swoje własne insygnia – oznaki armii kłneńskiej. Musiał to być jeden z tych niewielu wojowników, którym w jakiś sposób udało się uciec z pola bitwy pod Kln. Przemówił on teraz do kapitana i do tłumu, opisując odwagę księcia i jego przebiegłość. W ten sposób Dorian Hawkmoon został okrzyknięty w Valence bohaterem.

Nocą, kiedy wciąż świętowano jego przybycie, Hawkmoon opowiedział kapitanowi o swych planach przedostania się do Kamargu i zwrócenia się do hrabiego Brassy o pomoc w walce przeciwko Granbretanowi.

Kapitan pokręcił głową.

— Hrabia Brass nie angażuje się w wojnę – odparł. Ale będzie lepiej, jeśli wysłucha ciebie niż kogokolwiek innego. Myślę, że ci się powiedzie, książę panie.

Następnego ranka Hawkmoon opuścił Valence i ruszył drogą na południe, mijając gromady jeźdźców o zaciętych twarzach, zmierzających na północ, by przyłączyć się do sił szykujących się do bitwy przeciwko Mrocznemu Imperium.

W miarę jak zbliżał się do celu swej podróży, wiatr coraz bardziej przybierał na sile. W końcu ujrzał płaskie trzęsawiska Kamargu, błyszczące w oddali laguny i morze trzciny, uginających się pod naciskiem mistrała – ową samotną, upragnioną krainę. Kiedy mijał jedną z wysokich, starych wież, dostrzegł błyski przekazującego wiadomość heliografu i wiedział już, że jego przybycie zostanie obwieszczone hrabiemu Brassowi, zanim będzie mógł stanąć przed nim osobiście.

Hawkmoon ze ściągniętą twarzą jechał sztywno na koniu, posuwając się krętą groblą, poddany uderzeniom targającego kępy krzewów i marszczącego powierzchnię wody wiatru, pod

ciężkim, jakby posmutniałym, ze starości niebem, na którym widać było kilka zaledwie ptaków.

Krótko przed zapadnięciem nocy dostrzegł na tle mrocznego horyzontu szaroczną sylwetkę zwieńczonego delikatnymi wieżyczkami Zamku Brass, stojącego na wznoszącym się tarasowato wzgórzu.

ROZDZIAŁ V

PRZEBUDZENIE HAWKMOONA

Proszę mówić dalej, drogi książę – mruknął hrabia Brass, nalewając Dorianowi Hawkmoonowi kolejny kielich wina. Ten już po raz drugi opowiadał swoją historię. W wielkiej sali Zamku Brass siedziała także Yisselda, przyciągająca wzrok swą urodą, skupiony i zamyślony Bowgentle, oraz von Villach, skubiący wąsy i wpatrujący się w ogień. –W ten sposób dotarłem w poszukiwaniu pomocy do Kamargu, hrabio Brass, wiedząc, iż jest to jedyny kraj wolny od wpływów Mrocznego Imperium zakończył swą opowieść Hawkmoon.

— Jesteś tu mile widziany- rzekł hrabia Brass, marszcząc brwi.-O ile schronienie jest wszystkim, czego ci potrzeba. – Nie oczekuję niczego więcej.

— Nie przybyłeś, by prosić nas o zbrojne wystąpienie przeciwko Granbretanowi? – zapytał z cieniem nadziei w głosie Bowgentle.

Zbrojne wystąpienie na mnie samego ściągnęło, jak dotychczas, wystarczająco wiele nieszczęść. Nie mam prawa nakłaniać innych, by ryzykowali los, którego ja z ledwością uniknąłem – odparł Hawkmoon.

Yisselda popatrzyła na niego wręcz rozczarowana. Było jasne, iż wszyscy obecni w sali, z wyjątkiem rozsądnego hrabiego Brassy, pragnęli wojny z Granbretanem. Co prawda, każde z innego powodu-Yisselda chciała zemścić się na Meliadusie. Bowgentle uważał, że zło musi zostać wyplenione, von Villach

zaś chciał po prostu jeszcze raz sprawdzić swój kunszt.

— Bardzo dobrze – odezwał się hrabia Brass. – Jestem już bowiem zmęczony wynajdywaniem argumentów przeciwko udzieleniu pomocy tej czy tamtej grupie. Wyglądasz na wycieńczonego, drogi książę. W rzeczy samej dawno już nie widziałem tak zmęczonego człowieka. Za długo cię przetrzymaliśmy. Osobiście zaprowadzę cię do twoich pokoi.

Hawkmoon nie odczuwał najmniejszej satysfakcji z powodzenia podstęp. Posługiwał się kłamstwami, ponieważ jego ugoda z Meliadusem obejmowała kłamliwą historię. Gdyby nadszedł odpowiedni czas na porwanie Yisseldy, Hawkmoon przystąpiłby do realizacji planu z tą samą obojętnością.

Hrabia Brass wskazał mu apartament, składający się z sypialni, łazienki oraz niewielkiego gabinetu.

— Mam nadzieję, że to cię zadowoli, drogi książę. W zupełności odparł Hawkmoon.

Hrabia Brass zatrzymał się jeszcze przy drzwiach.

— Klejnot... – odezwał się. – Ten w twoim czole... Mówiłeś, że Meliadusowi nie powiódł się eksperyment – Zgadza się, hrabio.

— Aha... – Hrabia Brass popatrzył na podłogę, a po chwili uniósł wzrok. – Chyba znam czary, które mogłyby go usunąć, jeśli ci przeszkadza...

— Nie, nie przeszkadza mi – rzekł Hawkmoon.

— Aha – mruknął ponownie hrabia Brass, po czym wyszedł z pokoju.

Tej nocy Hawkmoon obudził się nagle – podobnie jak nocą kilka dni wcześniej w gospodzie-i zdawało mu się, że dostrzega w swym pokoju sylwetkę rycerza zakutego w zbroję o barwach czerni i złota. Zacisnął na kilka sekund mocno powieki, a kiedy otworzył je ponownie, zjawa zniknęła.

W duszy Hawkmoona zaczynał narastać konflikt – może konflikt między człowieczeństwem a jego brakiem, może, między sumieniem a jego brakiem, o ile takie konflikty są w ogóle możliwe.

Jakakolwiek była natura owego konfliktu, nie ulegało wątpliwości, iż charakter Hawkmoona zmienia się po raz drugi. Nie przypominał charakterem człowieka, który brał udział w bitwie pod Kln, ale opuścił go wszakże ów dziwnie apatyczny nastrój, jaki zawładnął nim od momentu pojmania. Tworzyła się całkowicie odmienna osobowość, jak gdyby Hawkmoon był kształtowany od nowa w zupełnie innej formie.

Jednakże oznaki tychże narodzin wciąż jeszcze były niewyraźne, wymagały jakiegoś katalizatora, a także klimatu umożliwiającego ostateczne wyklucie się.

Na razie Hawkmoon obudził się rano i zaczął rozmyślać nad tym, w jaki sposób mógłby najszybciej zorganizować porwanie Yisseldy, ucieczkę do Granbretanu, pozbycie się Czarnego Klejnotu i powrót do rodzinnych stron.

Kiedy tylko wyszedł ze swego pokoju, natknął się na Bowgentle'a.

Poeta-filozof ujął go pod ramię.

— Ach, mój drogi książę, czy mógłbyś opowiedzieć mi coś o Londrze? Chociaż wiele podróżowałem, kiedy byłem młodszy, nigdy tam nie byłem.

Hawkmoon odwrócił się i popatrzył uważnie na Bowgentle'a, zdając sobie świetnie sprawę, że oblicze, na które spogląda, widzą jednocześnie za pośrednictwem Czarnego Klejnotu parowie Granbretanu. Ale w oczach Bowgentle'a wyczytał jedynie szczere zainteresowanie i doszedł do wniosku, że tamten o nic go nie podejrzewa.

— To ogromne, wysokie i mroczne miasto – odparł.

Jego architektura jest bardzo powikłana, a wystrój złożony i zróżnicowany.

A jego duch? Jaki jest duch Londry? Jakie odniosłeś wrażenie?

— Potęga odrzekł Hawkmoon. Śmiałość... Obłąd?

— Nie jestem w stanie oszacować, co jest obłądem, a co nie, panie. Czy nie zauważyłeś, że jestem dziwnym człowiekiem? Czy nie wydaje ci się, że moje maniery są niezwykłe? Czy moja postawa nie jest niepodobna do czyjejkolwiek innej?

Zaskoczony takim obrotem rozmowy Bowgentle spojrział uważnie na Hawkmoona.

No, cóż... Dlaczego mnie o to pytasz?

— Ponieważ twoje pytania wydają mi się bezcelowe. Nie mówię tego po to, by cię urazić... – Hawkmoon potarł dłonią brodę. – Po prostu wydają mi się bezcelowe.

Ruszy; schodami w dół ku głównej sali, gdzie podawano śniadanie. Był już tam stary von Villach i nakładał sobie właśnie z tacy trzymanej przez służącego olbrzymi stek.

— Bezcelowe... -mruknął Bowgentle. – Ty zastanawiasz się, czym jest obłąd, a ja nie wiem, co oznacza bezcelowość... – Ja także nie wiem – odparł Hawkmoon. – Wiem tylko odrobinę.

Ciężkie przejścia spowodowały, że zamknąłeś się w sobie.~ odrzucając moralność i sumienie – rzekł z sympatią Bowgentle. – Znane są takie wydarzenia. Czytając starożytne teksty można zapoznać się z przypadkami utraty niektórych zmysłów wskutek presji. Dobre jedzenie i zajmujące towarzystwo powinny ci je przywrócić. Całe szczęście, że trafiłeś do Zamku Brass. Możliwe, że przywiódł cię tu jakiś głos wewnętrzny.

Hawkmoon słuchał bez zainteresowania, spoglądając na Yisseldę która schodziła po drugich schodach i uśmiechała się do

nich obu poprzez szerokość sali.

— Czy dobrze wypocząłeś, mój drogi książę? – zapytała.

— Musiał wycierpieć o wiele więcej, niż można się domyślać – odezwał się Bowgentle, zanim Hawkmoon zdążył odpowiedzieć. Przypuszczam, że powinien pozostać naszym gościem przez tydzień czy dwa, aż w pełni odzyska siły.

- Może zechciałbyś towarzyszyć mi dzisiejszego ranka, panie – zaproponowała z wdziękiem Yisselda. – Pokażę ci nasze ogrody. Nawet zimą są one piękne.

— Chętnie – odparł Hawkmoon. Obejrzę je z przyjemnością.

Bowgentle uśmiechnął się, pojmując, że czułe serce Yisseldy wypełniało głębokie współczucie dla Hawkmoona. Stwierdził w duchu, że dla zranionej duszy księcia nie mogło być lepszego lekarstwa niż towarzystwo dziewczyny. Spacerowali tarasami zamkowych ogrodów, podziwiając to wiecznie zielone rośliny, to znów zakwitające zimą kwiaty i warzywa. Niebo było czyste i słońce świeciło jasno, a otuleni w grube płaszcze nie odczuwali tak bardzo uderzeń wiatru. Spoglądali w dół na dachy miasta, sycąc się panującym dokoła spokojem. Yisselda, wsparta na ramieniu Hawkmoona, szczebiotała radośnie, nie oczekując nawet odpowiedzi ze strony nachmurzonego towarzysza. Czarny Klejnot na jego czole początkowo peszył ją nieco, ale w końcu wmówiła sobie, iż niewiele różni się on od wysadzanej kamieniami opaski, którą sama czasami zbierała niesforne długie włosy.

Jej serce przepełniały ciepło i tkliwość – ta sama tkliwość, która tak łatwo przerodziła się w namiętność do barona Meliadusa; miała jej bowiem tak wiele, że musiała to uzewnętrznić. Była szczęśliwa, iż może okazać ją w obecności owego dziwnego, usztywnionego bohatera spod Kln, i miała

jednocześnie nadzieję, że pomoże mu ona zabić duchowe rany.

Szybko spostrzegła, że cień ożywienia pojawiał się w jego oczach jedynie wówczas, kiedy wspominała o jego ojczyźnie.

— Proszę mi opowiedzieć o Kln – rzekła. – Ale nie takim, jakie jest obecnie, lecz o takim, jakie było... i jakie może stać się ponownie któregoś dnia.

Słowa te przypomniały Hawkmoonowi o obietnicy przywrócenia mu jego ziem. Zapatrzył się ponad dziewczyną gdzieś w dal, na wysmagane wiatrem niebo, składając ręce na piersi..

— Kln... – dodała miękko. – Czy było podobne do Kamargu?

Nie... – Odwrócił szybko głowę i spojrzał w dół na oddalone dachy domów. – Nie... Kamarg jest dziki, jest taki sam, jaki był zawsze, od początku czasu. W Kln wszędzie, na każdym kroku widać było rękę człowieka: pośród ogrodzonych pól i płynących prosto strumieni, na biegnących jak z bicza strzelił drogach, między farmami i wioskami. 'ho była niewielka prowincja, pełna tłustych krów i dobrze odżywionych owiec, wielkich stogów siana i łąk o miękkiej trawie, zamieszkanych przez króliki i myszy polne. Między żółtymi ogrodzeniami i ocienionymi lasami zawsze dostrzegało się jakąś smużkę dymu z komina. Ludzie tam byli prości, ale przyjaźni i lubili małe dzieci, a stare, malownicze domki przypominały prostotą tych, którzy je zamieszkiwali. Nie było w Kln niczego mrocznego aż do przyjscia Granbretańczyków, którzy nadciągnęli z drugiego brzegu Renu falą szorstkiego metalu i bezwzględności ognia. Granbretańczycy także odcisnęli piętno ludzkości na tej krainie... piętno miecza i pochodni...

Westchnął, a jego głos zaczął zdradzać coraz silniejszą emocję.

— Piętno miecza i pochodni zastąpiło piętno pługa i brony... – obrócił się i popatrzył na nią. – Z pali żółtych ogrodzeń pozbijano krzyże i szubienice. Ścierwa krów i owiec zatarasowały ciek wodne i zatrwały ziemię, kamienie z podwalin domów stały się amunicją dla katapult, ludzie natomiast albo zostali zabici albo zmienieni w żołnierzy, nie było innego wyboru.

Dziewczyna delikatnie oparła dłoń na jego ramieniu. Mówisz tak, jakby owe wspomnienia były bardzo odległe – rzekła.

Cień emocji natychmiast zniknął z jego oczu, zastąpiony poprzednim chłodem.

Bo tak jest, tak jest. Jak gdyby był to bardzo stary sen, mający obecnie dla mnie niewielkie znaczenie. Yisselda, prowadząc go dalej przez ogrody, przyglądała mu się zamyślonym wzrokiem, zdawało jej się bowiem, że odkryła już drogę dotarcia do niego i udzielenia pomocy. Hawkmoon zaś przypomniał sobie, co może utracić, jeśli nic przywiezie dziewczyny Mrocznym Parom, powitał więc z radością jej zainteresowanie, chociaż z powodów, których zupełnie się nie domyślała.

Na dziedzińcu zamkowym spotkali hrabiego Brassa. Przyglądał się wielkiemu, staremu rumakowi bitewnemu, rozmawiając ze stajennym. Możesz go puścić luzem na pastwisko – stwierdził. – Jego służba dobiegła końca.

Po chwili zwrócił się twarzą w stronę Hawkmoona i córki. - Bowgentle opowiedział mi, iż jego zdaniem jesteś bardziej znużony, niż przypuszczaliśmy odezwał się do Hawkmoona. Proponuję, byś pozostał w Zamku Brass tak długo, jak długo będziesz miał ochotę. Mam nadzieję, że Yisselda nie męczy cię konwersacjami.

Nie. Są dla mnie... ja odpoczywam...

— – Świetnie! Dzisiaj wieczorem będziemy mieli zabawę.

Poprosiłem Bowgentle'a, by przeczytał nam jedno ze swych ostatnich dzieł. Obiecał wybrać dla nas coś lekkiego i dowcipnego. Mam nadzieję, że ci się spodoba.

Hawkmoon zauważył, iż hrabia Brass obrzuca go przenikliwym spojrzeniem, chociaż jego zachowanie było wciąż przyjazne. Czyżby domyślał się jego misji? Był przecież sławny ze swej mądrości i trafności osądów. Lecz jeśli jego sposób zachowania wprowadził w takie zakłopotanie barona Kalana, musiał także skonfundować hrabiego. Hawkmoon doszedł do wniosku, że nie ma się czego obawiać. Pozwolił Yisseldzie poprowadzić się do zamku.

Tego wieczora wyprawiono bankiet, a na olbrzymim stole pojawiło się wszystko najlepsze, czym dysponowano w Zamku Brass. Zaproszonych zostało kilku najznamienitszych mieszkańców Kamargu, kilku hodowców byków cieszących się dobrą sławą oraz kilku toreadorów wraz z ozdrowiałym Mahtanem Justem, któremu rok wcześniej hrabia Brass uratował życie. Wśród dań znalazły się ryby i ptactwo, mięsa czerwone i białe, warzywa wszelkiego rodzaju, wina kilkunastu gatunków, piwo, wiele znakomitych sosów i przystawek. Po prawej ręce hrabiego Brassy posadzono Doriana Hawkmoona, po lewej zaś Mahtana Justa, który w tym sezonie zdobył mistrzostwo. Odnosił się do hrabiego z takim uwielbieniem i respektem, iż ten czuł się co nieco zakłopotany. Obok Hawkmoona siedziała Yisselda, a Bowgentle naprzeciwko niej. Przy drugim końcu stołu usiadł stary Zhonzhac Ekare, najslawniejszy spośród wielkich hodowców byków – odziany w grube futra, z twarzą ukrytą za gigantyczną brodą i z wielką strzechą włosów, który śmiał się głośno i jadł za trzech. Obok niego zasiadł von Villach i obaj ci mężczyźni wyglądali na wielce zadowolonych ze swojego

towarzystwa.

Kiedy uczta dobiegała końca, kiedy ciasta, cukry, pełnotłuste kamarskie sery zniknęły z półmisków, przed każdym z biesiadników pojawiły się trzy butelki wina odmiennych gatunków, skromny antałek piwa oraz wielki kufel. Jedynie Yisselda otrzymała jedną butelkę i niewielki pucharek, chociaż poprzednio dotrzymywała kroku mężczyznom w picciu, tak że owa skromniejsza porcja wydawała się być efektem jej wyboru, aniżeli zachowaniem form towarzyskich.

Wino zaszumiało nieco w głowie Hawkmoona, stwarzając fałszywe pozory powrotu jego normalnej osobowości... Uśmiechnął się raz czy drugi, a chociaż nie odpowiadał współbiesiadnikom żartem na żart, to nie raczył ich także kwaśną miną.

— Bowgentle! zawołał hrabia Brass. – Prosimy " balladę, którą nam obiecałeś!

Bowgentle powstał z uśmiechem na ustach i nieco zaczerwienioną twarzą, podobnie jak u pozostałych, od wina i dobrego jada.

— Nazwałem tę balladę "Imperator Glaukoma" i mam nadzieję, że was rozbawi – rzekł, po czym powoli zaczął deklamować:

*Imperator Glaukoma przeszedł między dwoma
strażnikami przy ostatniej arkadzie
i na bazar wkroczył
gdzie wkrótce zobaczył
barona niedobitki z dawnych bitew pól.
kniaziów Templara
oraz Ottomana.*

*wodzów Alcazaru
i wielkiego Chana,
leżących w cieniu
przyświątynnych palm
i żebrzących a dar.
Lecz Impertor Glaukoma
minął łazarzy
śmiało gdzie flety i bębunki
grały
na cześć
Imperatora chwały.*

Hrabia Brass spoglądał na poważną twarz Bowgentle'a z krzywym uśmiechem na wargach. Poeta zaś recytował dowcipny, pełen metafor i podtekstów wiersz. Hawkmoon rozejrzał się wokół stołu – niektórzy uśmiechali się, inni wyglądali na zmieszanych albo po prostu oszołomionych winem. Hawkmoon ani się nie uśmiechał, ani nie marszczył brwi. Yisselda pochyliła się w jego stronę i szepnęła coś, ale on jej nie słyszał.

*Z dział fregaty oraz z łodzi w porcie strzelano na wiwat gdy
Imperator pokazywał stygmaty watykańskiemu ambasadorowi*

— O czym on mówi? – mruknął von Villach.

— Starożytne rzeczy – skinął głową stary Zhonzhac Ekare. – Jeszcze sprzed Tragicznego Millennium.

— Wolałbym raczej jakąś pieśń bitewną.

Zhonzhac Ekare położył palec na skrytych w brodzie wargach, by uciszyć przyjaciela, ale Bowgentle zdawał się nie zwracać na

nich uwagi.

*Który trzymał w dłoni
Dary z alabastru*

*Damasceńskiej broni
Paryskiego plastra
I z grobowca*

*Zaraoastra
Co cień nocy chroni
I gdzie oleastru
kwiat*

Hawkmoon ledwie rozróżniał wypowiedane słowa, lecz rytm wiersza wywierał na nim szczególne wrażenie. Początkowo przypuszczał, że to efekt wypitego wina, wkrótce jednak zrozumiał, iż to konkretne fragmenty recytacji wywołują wstrząsy w jego świadomości, a zapomniane uczucia poczynają wzbierać w piersi. Zakołysał się na krześle.

Bowgentle spojrział twardo na Hawkmoona, ale kontynuował poemat, gestykulując w przesadny sposób.

*Zwycięski poeta w chwale
Krwistym brokatem okryty
Zdobny w topazy
Opale
I przezroczyście nefryty,
Odrzucający jak pomander,
Zapachem mirry*

*I lawendy,
Karbami
Z Samarakandy, Tracji
Legł na bazarze tym
Z prostacj*

— Czy dobrze się czujesz, mój panie? – spytała Yisselda z niepokojem w głosie, pochylając się w stronę Hawkmoona.

Ten potrząsnął głową. Dziękuję, całkiem dobrze.

Zastanawiał się, czy w jakiś sposób nie naraził się parom Granbretanu i czy tamci właśnie nie przesyłali całej energii życiowej Czarnego Klejnotu. Czuł silne zawroty głowy.

*Niewrażliwy
Na chóralne
Ku czci jego
Hymny pochwalne
Imperator,
Majestatycznie
W kapciach złotych,
Kościami zdobionych,
Nad nim przekroczył
A tłum zebrany
Wznosił wiwaty*

Hawkmoon widział już teraz wyłącznie sylwetkę i twarz Bowgentle'a, nie słyszał nic poza rytmem i wokalizowanymi rymami, zastanawiał się więc nad przyczynami swego oczarowania. A poza tym, jeśli Bowgentle chciał go oczarować, to w jakim celu to czynił?

*Z wieżyc i balkonów
Paradnie przybranych
Girlandami kwiatów
Oraz buketami
Leciało z rąk
Dzieciaków
Łąkowej ruty ziele,
Wiązanki świeżych róż,
Także hiacyntów wiele
Wprost na rozstaje dróg,
Które minął Glaukoma.
Ku groblom trasą całą
Na dachach dzieci stały,
Fiolki w dół
Zrzucały,
Kwiat śliwy, lilie
I peonie,
A w końcu wreszcie
Siebie
Kiedy Glaukoma przeszedł.*

Hawkmoon pociągnął tęgi łyk wina i zaczerpnął głęboko powietrza, wbijając wzrok w Bowgentle'a, deklamującego kolejne wersy:

*Księżycu
Rogal blady
dygotał w blasku Słońca,
Daleko wciąż do końca*

*Dnia,
A rozsypane gwiazdy
Z serafinem
Zawtórowały
Hymnem,
Tak
Oto Imperator
Za chwilę już przystanął
Koło świątyni ruin
I dumnym gestem
Położył dłoń na zamku drzwi
gdzie czas wciąż śpi,
co z wszystkich ludzi
on jeden mógł rozewrzeć.*

Hawkmoon złapał gwałtownie oddech jak człowiek, który wpadł do lodowatej wody. Yisselda położyła dłoń na jego okrytym kroplami potu czole, w jej łagodnych oczach pojawiła się troska.

— Mój panie?...

Ale Hawkmoon jedynie wpatrywał się tępo w Bowgentle'a, recytującego bez przerwy. Glaukoma minął

*Z nabożną miną
Portal z grobami przodków
Inkrustowany klejnotami,
Rubinem, kością i perłami
Za kolumną minął portal
Przy huku trąb i dźwiękach fanfar
A ponad nią*

*Zastępów szereg,
Zapach ambry
Co pali się w powietrzu*

Mętnym wzrokiem Hawkmoon spojrział przelotnie na Yisseldę, której dłoń spoczywała na jego czole, ale nie słyszał jej słów. Wlepił oczy w Bowgentle'a i skoncentrował się wyłącznie na słuchaniu wiersza. Kielich wysunął mu się z dłoni. Najwyraźniej czuł się źle, lecz hrabia Brass nie uczynił najdrobniejszego ruchu, by mu pomóc. Spoglądał po prostu to na Hawkmoona, to na Bowgentle'a, skrywając twarz za ogromnym pucharem wina, lecz w jego oczach wyraźna była ironia.

*I oto Imperator już wpuszcza
Gołąbka białego jak śnieg! Tak jak śnieg
Pięknego
I jak pokój
Rzadkiego,
Tak że miłość pływała
Na świat*

Hawkmoon jęknął. Na drugim końcu stołu von Villach huknął kuflem w stół.

— Nie mam nic przeciwko temu. Ale dlaczego nie "Rozlew krwi w górach"? To przecież wspaniała...

*Wypuścił Imperator
Śnieżnobiałego ptaka
I ten uleciał
Gdzie wzrok nie sięgał*

*Gdzie tęczy wstęga
Poleciał poprzez ogień
I leciał wyżej ciągle
I wyżej leciał ciągle
Wprost
W słońce
By umrzeć
Dla Imperatora Glaukomy*

Hawkmoon poderwał się na nogi, próbował przemówi do Bowgentle'a, lecz runął w poprzek stołu, rozlewając dokoła wino.

— Czy on jest pijany? – zapytał zde gustowanym tonem von Villach.

— On jest chory! krzyknęła Yisselda. – Jest chory! i, – Myślę, że to nie skutek wina – odezwał się hrabia Brass, pochylając się nad Hawkmoonem i odchylając mu powiekę. – Pewne jest, że padł bez zmysłów.

Hrabia podniósł głowę, popatrzył na Bowgentle'a i uśmiechnął się. Bowgentle odwzajemnił mu się uśmiechem, po czym wzruszył ramionami.

— Mam nadzieję, że twoja diagnoza jest słuszna, hrabio – stwierdził.

Hawkmoon przeleżał całą noc w głębokiej nieświadomości, a kiedy ocknął się następnego dnia rano, ujrzał pochylającego się nad nim Bowgentle'a, który pełnił jednocześnie funkcję lekarza na zamku. Nadal nie był pewien, czy powodem tego, co mu się przydarzyło, było wino, Czarny Klejnot, czy też poemat Bowgentle'a. Teraz odczuwał słabość i było mu aż za ciepło.

- Gorączka, mój drogi książę odezwał się miękko Bowgentle. – Ale zdołamy cię wyleczyć, nie ma obaw. Potem ujrzał Yisseldę,

siedzącą przy łóżku. Uśmiechała się do niego.

Bowgentle twierdzi, że to nic poważnego – rzekła. – Będę się tobą opiekowała. Wkrótce odzyskasz pełnię sił.

Hawkmoon przyjrzał się jej obliczu i poczuł wzbierającą w sercu wielką falę uczucia.

Księżniczko Yisseldo...- Słucham, księżę panie. – Ja... Dziękuję ci...

Ze zdumieniem rozejrzał się po pokoju. Gdzieś zza jego pleców rozległ się stanowczy głos hrabiego Brassy.

Nie mów nic więcej. Odpoczywaj. Kontroluj swoje myśli. Śpij, jeśli możesz.

Hawkmoon nie zdawał sobie nawet sprawy z obecności hrabiego Brassy w pokoju. Yisselda przytknęła do jego warg szklanekę. Wypił nieco chłodnej cieczy i wkrótce ponownie zapadł w sen.

Następnego dnia gorączka minęła, a Dorian Hawkmoon, raczej bez zbytej emocji, stwierdził, iż jest wręcz sparaliżowany, zarówno fizycznie, jak i duchowo. Zaczął się zastanawiać, czy nie podano mu jakiegoś narkotyku.

Kończył już śniadanie, kiedy przyszła Yisselda i zapytała, czy nie zechciałby jej towarzyszyć w przechadzce po ogrodach, gdyż dzień jest wspaniały jak na tę porę roku.

Potarł dłonią czoło i poczuł pod palcami dziwne ciepło bijące od Czarnego Klejnotu. Nieco przestraszony opuścił szybko rękę.

— Czy nadal źle się czujesz, mój panie? – zapytała Yisselda.

— Nie... Ja... – Hawkmoon westchnął. – Sam nie wiem. Czuję się dziwnie. To jest zupełnie obce...

— Może świeże powietrze dopomoże ci trochę. i Z ociąganiem wstał z łóżka, żeby pójść razem z nią do ogrodów. Na tarasach uderzyła go mieszanina wszelkiego rodzaju miłych zapachów,

słońce świeciło jasno i w jego j promieniach, w klarownym zimnym powietrzu, krzewy a i drzewa tworzyły niezwykle, kontrastujące ze sobą formy.

Dotknięcie dłoni Yisseldy, wspierającej się na jego ramieniu, jeszcze silniej zmaciło odczucia Hawkmoona. To, jak też i uderzenia porywistego wiatru w twarz oraz widok ogrodów opadających tarasami ku stojącym w dole domom – okazały się niezwykle przyjemnymi doznaniem. Pomimo to bardzo silnie odczuwał strach i nieufność. Bał się Czarnego Klejnotu, był bowiem pewien, że zostanie e przez niego natychmiast zniszczony, jeżeli tylko przekaże cokolwiek z tego, co się z nim dzieje, do Granbretanu. Nie ufał też hrabiemu Brassowi i pozostałym domownikom, ponieważ wyczuwał, iż w pewien sposób jest zwodzony i że tamci żywią coś więcej niż tylko podejrzenia co do celu j jego wizyty w Zamku Brass. Mógłby teraz pojmać dziewczynę, ukraść konia i chyba miałby nawet spore szanse ucieczki. Odwrócił się. nagle w jej stronę.

Yisselda uśmiechnęła się słodko.

— Czy świeże powietrze sprawiło, że czujesz się lepiej, książę?

Zapatrzył się tępo na jej twarz, a w jego duszy ścierało się wiele odmiennych uczuć.

— Lepiej? – zapytał gardłowo. – Lepiej? Nie jestem pewien...

— Jesteś zmęczony`?

— Nie – zaczynała boleć go głowa, a tym samym nasilił się strach przed Czarnym Klejnotem. Szybkim ruchem objął dziewczynę.

Sądząc, że pada wskutek nagłego ataku słabości, ujęła go pod ramiona i próbowała podtrzymać. Uchwyt jego dłoni zelżał i po chwili nie był już w stanie nic zrobić.

— Jesteś bardzo miła – rzekł.

— Jesteś dziwnym człowiekiem – odparła na to, po części jakby mówiąc sama do siebie. – Nieszczęśliwym człowiekiem.

— Tak... – odsunął się od niej i ruszył przez trawnik w stronę krawędzi tarasu. Czy to możliwe, by parowie Granbretanu wiedzieli, co się dzieje w jego wnętrzu? Nie wydawało mu się to prawdopodobne. Z drugiej strony nie mógł wykluczyć, iż powodowani niezwykłą podejrzliwością gotowi byli w każdej chwili ożywić w pełni Czarny Klejnot. Nabrał głęboko w płuca zimnego powietrza i rozprostował ramiona, wspominając głos hrabiego Brassy z ostatniej nocy. „Kontroluj swoje myśli” – rzekł wówczas hrabia. Ból w głowie nasilał się. Odwrócił się.

— Myślę, że będzie lepiej, jeśli wrócimy do zamku rzekł do Yisseldy. Dziewczyna skinąwszy głową ponownie ujęła go pod ramię, po czym poszli z powrotem tą samą drogą.

W głównym holu spotkali hrabiego Brassy. Jego twarz wyrażała troskliwe zainteresowanie, nie było w niej jednak nic, co potwierdzałoby ów władczy ton, który Hawkmoon słyszał ostatniej nocy. Zaczął się zastanawiać, czy tamto przyśniło mu się tylko, czy też hrabia Brass odgadł tajemnicę Czarnego Klejnotu i robił wszystko, by oszukać jego i Mrocznych Lordów, którzy pewnie nawet teraz przyglądali się tej scenie w pałacowych laboratoriach w Londrze.

— Książę Kln czuje się niezdrow – odezwała się Yisselda.

— Przykro mi to słyszeć – odparł hrabia Brass. – Czy mogę ci w czymś pomóc, panie?

— Nie – rzucił krótko Hawkmoon. – Nie. Dziękuję. Starał się iść w kierunku schodów tak pewnie, jak tylko było to możliwe. Yisselda poszła wraz z nim, podtrzymując go pod ramię, aż do drzwi jego pokoju. Przy drzwiach zatrzymał się i popatrzył na nią. Jej szeroko otwarte oczy pełne były sympatii. Uniosła

delikatną dłoń i na chwilę dotknęła jego policzka. Owo dotknięcie przeszło go dreszczem i westchnął głośno. Dziewczyna odwróciła się i niemal pobięła korytarzem.

Hawkmoon wszedł do pokoju i rzucił się na łóżko. Oddychając ciężko, z usztywnionym całym ciałem, starał się desperacko zrozumieć, co się z nim dzieje i skąd bierze się ten nieznośny ból w głowie. Wkrótce zapadł znowu w sen.

Obudził się po południu, silnie osłabiony. Ból głowy minął prawie całkowicie. Obok łóżka stał Bowgentle, odstawiający salaterę z owocami na stół.

— Pomyliłem się sądząc, że gorączka już cię opuściła powiedział.

— Co się ze mną dzieje? – mruknął Hawkmoon.

— Na ile jestem w stanie powiedzieć, owa drobna gorączka jest skutkiem ciężkich przeżyć, jakie cię spotkały, a także, obawiam się, naszej gościnności. Bez wątplenia zbyt wcześnie skosztowałaś tak ciężkich potraw i wypiliśmy tak dużo wina. Należało o tym pamiętać. Jednakże w dość krótkim czasie powrócisz całkowicie do zdrowia, panie.

W gruncie rzeczy Hawkmoon był przekonany, że ta diagnoza jest błędna, nie powiedział jednak nic. Usłyszał pokasywanie gdzieś z lewej strony i obrócił głowę, ale zobaczył jedynie uchylone drzwi prowadzące do gabinetu. Ktoś przebywał w tamtym pokoju. Spojrzał pytająco na Bowgentle'a, lecz jego twarz nie wyrażała nic, malowało się na niej jedynie skupienie, z jakim badał puls Hawkmoona.

— Nie musisz się bać – rozległ się z drugiego pokoju głos hrabiego Brassa. – Chcemy ci pomóc. Znamy prawdziwe przeznaczenie klejnotu w twojej czaszce. Kiedy odpoczniesz już nieco, wstań i zejdź do głównego holu, gdzie Bowgentle zajmie

cię jakąś trywialną rozmową. Nie zdziw się, jeśli jego poczynania zdadzą ci się trochę niezwykle.

Bowgentle wydał wargi i wyprostował się.

— Wkrótce poczujesz się znacznie lepiej, panie. Pozwól, że teraz cię opuszczę.

Hawkmoon popatrzył w ślad za nim i po chwili usłyszał odgłos zamykania również drugich drzwi. Hrabia Brass wyszedł z gabinetu. W jaki sposób udało im się poznać prawdę? Co zamierzali z nim uczynić? Przez cały czas Mroczni Parowie musieli głowić się nad niespodziewanym obrotem spraw i możliwe, iż domyślali się czegoś. W każdej chwili mogli przekazać Czarnemu Klejnotowi jego całą energię życiową. Z niewiadomego powodu owa świadomość wstrząsnęła nim znacznie bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

Hawkmoon doszedł do wniosku, że nie pozostało mu nic innego, jak wykonać polecenie hrabiego Brassa, chociaż wszystko wskazywało na to, że jeśli hrabia odkrył prawdziwy cel jego wizyty na zamku, okaże mściwość równą lordom Granbretanu. Sytuacja była wysoce nieprzyjemna pod każdym względem.

Kiedy w pokoju ściemniło się i nadszedł wieczór, Hawkmoon podniósł się z łóżka i zszedł na dół do głównego holu. Nie było tam nikogo. Rozejrzał się szybko dokoła po omiatanej migoczącymi blaskami ognia sali, zastanawiając się, czy nie wciągnięto go w jakąś pułapkę.

Nagle poprzez jedne drzwi wszedł Bowgentle i uśmiechnął się do niego. Wargi poety zaczęły się poruszać, ale nie rozległ się żaden dźwięk. Po chwili Bowgentle zrobił krótką pauzę, jak gdyby nasłuchując odpowiedzi Hawkmoona. Ten zrozumiał szybko, iż wszystko to jest jedynie podstępem, przygotowanym

dla oszukania tych; którzy obserwowali ich, wykorzystując moc Czarnego Klejnotu.

Kiedy usłyszał odgłos kroków za plecami, nie odwrócił się, wykonał natomiast kilka gestów, sugerujących, że bierze udział w rozmowie z Bowgentle'em.

Hrabia Brass zatrzymał się tuż za nim i przemówił:

— Wiemy, czym naprawdę jest Czarny Klejnot, drogi książę. Rozumiemy, że zostałeś zmuszony przez Granbretańczyków do przyjazdu tutaj i chyba znamy właściwy powód tej wizyty. Wyjaśnię ci wszystko...

Hawkmoon stał porażony niezwykłością tej sytuacji, bezgłośnie mimiką Bowgentle'a i głębokim głosem hrabiego, dobywającym się jak gdyby znikąd.

— Kiedy tylko przybyłeś do Zamku Brass – ciągnął hrabia – zrozumiałem, że Czarny Klejnot jest czymś więcej, niż nam o nim powiedziałeś, nawet gdybyś ty sam nie zdawał sobie z tego sprawy. Wydaje mi się, 'ze ci z Mrocznego Imperium nie cenią mnie zanadto, w końcu ja także studiowałem wiele magii i nauk, podobnie jak oni, ponadto również posiadam pergaminy, w których opisano konstrukcję maszyny Czarnego Klejnotu. Nie wiedziałem tylko, czy jesteś świadomą czy nieświadomą ofiarą Klejnotu i musiałem się tego dowiedzieć w taki sposób, by Granbretańczycy niczego nie podejrzewali. Tak więc wieczorem, przed bankietem, poprosiłem Bowgentle'a, by wplótł zaklęcie w parę zgrabnych wersów, w celu pozbawienia cię świadomości, a tym samym pozbawienia jej Klejnotu, co stwarzało nam możliwość przebadania ciebie bez wiedzy lordów z Mrocznego Imperium. Mieliśmy nadzieję, że potraktują twoje nagłe omdlenie jako efekt wypitego wina i nie będą wiązali go z rymami Bowgentle'a. W wierszu pojawiło się przeznaczone dla

twych uszu zakłęcie, w postaci specjalnego rytmu i dobranej kadencji słów, i spełniło swoje zadanie, zapadłeś bowiem w głębokie omdlenie. Podczas twojego snu udało nam się wraz z Bowgentle'em przedostać do twojej podświadomości; można powiedzieć, iż spoczywała niezwykle głęboko – jak przestraszone zwierzątko, zakopane w tak głębokiej jamie w ziemi, że aż ryzykujące życiem. Twoje późniejsze przeżycia spowodowały, że wynurzyła się nieco z głębin, gdzie ukryła się na czas twego pobytu w Granbretanie, mogliśmy więc ją przeanalizować. Dowiedzieliśmy się niemal o wszystkim, co spotkało cię w Londrze, a kiedy poznałem cel twojej misji w Kamargu, omalże cię nie zgładziłem. Zauważyłem jednak, że męczy cię poważny konflikt – choć chyba nawet nie jesteś zbyt świadom jego istnienia. Gdyby ów konflikt nie był aż tak oczywisty, natychmiast zabiłbym cię, bądź osobiście, bądź pozwalając Czarnemu Klejnotowi, by dokonał swego dzieła.

Hawkmoona, starającego się cały czas pozorować odpowiedzi w nie mającej miejsca dyskusji z Bowgentle'em, przeszył nagły dreszcz grozy.

— Zrozumiałem też – mówił dalej hrabia Brass – że nie ma powodów, by obwiniać cię za to wszystko, co się przydarzyło, poza tym zabijając cię mogę zniszczyć potencjalnego poważnego sprzymierzeńca w walce z Granbretanem. Bo chociaż pozostaję nadal neutralny, Granbretan zrobił tak wiele, żeby mnie obrazić, iż nie mogłem sobie pozwolić na uśmiercenie cię. Wypracowaliśmy więc ten podstęp, by poinformować cię o wszystkim, co wiemy, a jednocześnie przekazać, że jest pewna nadzieja. Znam sposób pozwalający na jakiś czas pozbawić Czarny Klejnot mocy. Kiedy skończę mówić, przejdiesz wraz z Bowgentle'em na dół, do moich komnat, gdzie uczynię to, co

należy zrobić. Mamy już niewiele czasu, bo wkrótce parowie Granbretanu mogą stracić cierpliwość i przesłać energię życiową do Klejnotu w twojej czaszce...

Hawkmoon usłyszał stąpanie hrabiego Brassy wychodzącego z sali. Bowgentle uśmiechnął się i odezwał na głos. – Pójdź więc ze mną, książę, a pokażę ci te partie zamku, których jeszcze nie zwiedzałeś. Niewielu gości miało okazję obejrzeć prywatne apartamenty hrabiego Brassy. Hawkmoon zrozumiał, że są to słowa przeznaczone dla podglądających ich Granbretańczyków. Bez wątpienia Bowgentle miał nadzieję obudzić w ten sposób ich ciekawość i zyskać nieco na czasie.

Poeta poprowadził w kierunku wyjścia z głównej sali i dalej korytarzem, który jak się zdawało, kończył się ślełą ścianą, zasłoniętą gobelinem. Bowgentle odsunął go na bok i nacisnął niewielki sworzeń wystający spomiędzy kamieni ściany. W tej samej chwili część muru zaczęła intensywnie błyszczeć, aż w końcu zniknęła, ukazując portal, przez który pochylony człowiek mógł przejść na drugą stronę. Hawkmoon ruszył przed siebie, a Bowgentle za nim. Znaleźli się w niewielkim pokoju, którego ściany zawieszane były jakimiś wiekowymi wykresami i diagramami. Minęli go i przeszli do innego, nieco większego. Znajdowała się tu cała masa aparatury alchemicznej, na półkach stały szeregi grubych, starych woluminów z zakresu chemii, magii i filozofii.

— Tędy – mruknął Bowgentle, odsuwając zaslonę i ukazując tonącą w mroku galerię.

Hawkmoon wyteżył wzrok, by przebić panujące tu ciemności, lecz było to niemożliwe. Ruszył ostrożnie w głąb przejścia, które nagle ożyło łuną oślepiającego, białego światła.

Zamajaczyła przed nim niewyraźna sylwetka hrabiego Brassy,

który trzymaną w dłoniach, dziwnie kutą broń kierował w stronę jego głowy.

Wciągnął głęboko powietrze i próbował uskoczyć w bok, ale galeria była na to za wąska. Rozległ się głośny trzask, omalże rozrywający bębny w uszach, który przeszedł w niesamowity, melodyjny pomruk. Hawkmoon runął w tył, tracąc świadomość.

Hawkmoon, przebudziwszy się w złotawym półmroku stwierdził, że fizycznie czuje się zdumiewająco dobrze. Całe ciało i umysł wręcz tętniły życiem, tak intensywnie, jak jeszcze nigdy dotąd. Spoczywał na metalowym stole i był sam. Uniósł dłoń i dotknął czoła. Czarny Klejnot znajdował się tam nadal, lecz jego właściwości zmieniły się. W dotyku nie przypominał już żywego ciała, nie emanował jak poprzednio nienaturalnym ciepłem; wydawał się zwyczajnym klejnotem, twardym, gładkim i zimnym.

Otworzyły się drzwi, wszedł hrabia Brass i popatrzył na niego z góry z wyrazem satysfakcji na twarzy.

— Przepraszam, że przestraszyłem cię wczorajszego wieczora – rzekł. – Musiałem jednak działać szybko, aby sparaliżować Czarny Klejnot i przejąć jego siły życiowe. Udało mi się je opanować, są uwięzione, tak pod względem fizycznym, jak i magicznym, ale nie będę mógł ich zatrzymać na zawsze. To zbyt wielka potęga. Kiedyś wymkną mi się i przenikną z powrotem do klejnotu w twym czole, niezależnie od tego, gdzie będziesz wówczas przebywał.

— Nie jest to więc ratunek dla mnie, ale odroczenie wyroku – odezwał się Hawkmoon. – Jak długo mogę czuć się bezpieczny?

— Nie wiem na pewno. Za sześć miesięcy można chyba ręczyć. Może rok, może dwa. Ale po tym czasie znów będzie to sprawa zaledwie kilku godzin. Nie chcę cię okłamywać, Dorianie

Hawkmoonie, ale mogę dać ci jeszcze jedną nadzieję. Mieszka na Wschodzie pewien czarownik, który potrafiłby usunąć Czarny Klejnot z twojej głowy. Jest całkowicie przeciwny podbojom Mrocznego Imperium i z pewnością pomógłby ci, gdyby udało ci się go odnaleźć. – Jak on się nazywa?

— Malagigi z Hamadanu.

— Z Persji? Stamtąd pochodzi ów czarownik?

— Tak – hrabia Brass skinął głową. – To tak daleko, że niemal poza twoim zasięgiem.

Hawkmoon westchnął i usiadł.

— No cóż, pozostaje mi w takim razie mieć nadzieję, że twoja magia będzie na tyle skuteczna, bym przez jakiś czas pozostał przy życiu. Opuszczę twoje ziemie, hrabio Brass, i udam się do Valence, by dołączyć do tworzącej się tam armii. To zbieranina i nie ma szans w walce przeciwko Granbretańczykom, ale pozwoli mi przynajmniej zemścić się za to wszystko, co mi uczyniono, i zabrać ze sobą kilku spośród psów Króla-Imperatora.

Hrabia Brass uśmiechnął się krzywo.

— Przywracam ci twoje życie, a ty natychmiast postanawiasz je poświęcić. Proponuję, byś zastanowił się choć przez chwilę, zanim zdecydujesz się na jakiegokolwiek działanie. Jak się czujesz, mój drogi książę?

Dorian Hawkmoon spuścił nogi ze stołu i przeciągnął się. – Obudziłem się nowym człowiekiem... – rzekł, po czym zmarszczył brwi. – Tak, nowym człowiekiem... mruknął jeszcze raz w zamyśleniu. – Zgadzam się z tobą, hrabio. Zemsta może poczekać, aż wypracuję nieco bardziej subtelny plan.

— Ratując cię, zabrałem ci jednocześnie młodość powiedział hrabia Brass ze smutkiem w głosie. – Nigdy już nie zaznasz jej smaku.

ROZDZIAŁ VI

BITWA O KAMARG

Nie rozprzestrzeniają się ani na wschód, ani na zachód – rzekł Bowgentle któregoś ranka, jakieś dwa miesiące później – ale kierują się wprost na południe. Nie ma wątpliwości, hrabio Brass, że poznali prawdę i planują zemścić się na tobie. –Może ich zemsta skierowana jest przeciwko mnie wtrącił Hawkmoon z głębin fotela stojącego przy kominku. – Może gdybym wyruszył im na spotkanie, zadowoliliby się mną. Na pewno uważają mnie za zdrajcę.

Hrabia Brass pokręcił głową.

— O ile znam barona Meliadusa, łąknie krwi nas wszystkich. To on i jego wilki prowadzą armie. Nie zatrzymają się, póki nie dotrą do naszych granic.

Von Villach odwrócił się od okna, przez które podziwiał dachy miasta.

— Niech przyjdą. Wymieciemy ich stąd tak, jak mistral zwiewa suche liście z drzew.

— Miejmy nadzieję – odparł Bowgentle z powątpiewaniem. – Zgromadzili wszystkie swoje siły. Wydaje się, że po raz pierwszy mają zamiar zaniechać zwykłej dla siebie taktyki.

— Zaiste, głupcy – mruknął hrabia Brass. – Podziwiałem ich za sposób, w jaki prowadzili podboje, rozszerzając granice wielkim półokręgiem. W ten sposób mogli zawsze umacniać tyły przed dokonaniem kolejnego podboju. Teraz mają na obu flankach nieprzyjazne im terytoria, a armie przeciwnika mogą w każdej

chwili odciąć ich siły od zaplecza. Jeśli uda nam się ich pokonać, będą mieli poważne kłopoty z wycofaniem się. Wendeta barona Meliadusa przeciwko nam odebrała mu resztki rozsądku.

— Jeśli jednak zwyciężą – dodał powoli Hawkmoon utworzą pomost od oceanu do oceanu i w ten sposób ułatwią sobie dalsze podboje.

— Prawdopodobnie tym właśnie argumentem Meliadus usprawiedliwia swe poczynania – przytaknął Bowgentle. – Obawiam się, że może mieć rację, przewidując taki obrót rzeczy.

— Nonsens! – huknął von Villach. – Nasze wieże powstrzymają Granbretańczyków.

— Ale one zostały przygotowane, by zatrzymać atak na ziemi – wytknął Bowgentle. – Nie uwzględnialiśmy sił powietrznych Mrocznego Imperium.

— Mamy naszą własną armię powietrzną – stwierdził hrabia Brass.

— Tyle że flamingi nie są zbudowane z metalu – odparł Bowgentle.

Hawkmoon powstał. Wciąż miał na sobie czarny skórzany kubrak i bryczesy, jakie dostał od Meliadusa. Skórzany strój delikatnie skrzypiał przy każdym jego ruchu.

— Najdalej za kilka tygodni siły Mrocznego Imperium staną u naszych drzwi – stwierdził. – Jakie przygotowania powinniśmy poczynić?

— Najpierw popatrzmy na to – Bowgentle stuknął palcem w wielki rulon mapy, który ścisnął pod pachą.

— Rozłóż ją na tamtym stole – wskazał hrabia Brass. Bowgentle rozpostarł mapę, używając kielichów od wina do przyciśnięcia jej rogów. Hrabia Brass, von Villach i Hawkmoon pochyłili się nad nią. Przedstawiała Kamarg oraz otaczające go

ziemie w promieniu kilkuset kilometrów.

— Posuwają się mniej więcej wzdłuż rzeki, trzymając się jej wschodniego brzegu – rzekł hrabia Brass, pokazując na Rodan. – Jak wynika z ostatnich doniesień, powinni osiągnąć to miejsce – hrabia wskazał palcem podnóże Sewennów – w ciągu tygodnia. Musimy porozysłać zwiadowców, żeby mieć pewność, że znamy ich pozycję z godziny na godzinę. Kiedy dotrą do naszych granic, nasze główne siły muszą być zgrupowane we właściwym miejscu.

— Mogą wysłać przodem swoje skrzydłoloty – powiedział Hawkmoon. – Co wtedy?

— Będziemy mieli w powietrzu naszych własnych zwiadowców, którzy będą w stanie nas uprzedzić – rzucił von Villach. – A jeśli siły powietrzne nie dadzą sobie rady, przeciwstawi się im wieże.

— Wasze aktualne siły są niezbyt liczne – wtrącił Hawkmoon. – Co za tym idzie, załogi wież będą miały pełne ręce roboty. Zresztą wieże można wykorzystać tylko do obrony.

— Skupimy się wyłącznie na defensywie – odpowiedział mu hrabia Brass. – Będziemy oczekiwali wzdłuż naszych granic, obsadziwszy oddziałami piechoty tereny między wieżami, natomiast heliografy i sygnaliści przekażą do wież wiadomości, gdzie najbardziej będzie potrzebne ich wsparcie.

— Chcemy jedynie powstrzymać ich atak – stwierdził Bowgentle z pewnym sarkazmem. – Nie mamy zamiaru zrobić nic więcej, niż ich zatrzymać.

Hrabia Brass spojrział na niego i zmarszczył brwi.

— Właśnie tak, Bowgentle. Bylibyśmy głupcami, gdybyśmy przeszli do ataku z tak niewielkimi siłami przeciwko potędze. Naszą jedyną nadzieją na przetrwanie jest wiara w siłę wież,

chęć pokazania Królowi-Imperatorowi i jego sługusom, że Kamarg może przeciwstawić się wszystkiemu, co przeciw niemu zostanie podjęte: czy to otwarta bitwa, czy długotrwałe oblężenie, napaść z ziemi, morza czy powietrza. Wytracanie ludzi w walkach poza naszymi granicami byłoby po prostu bezsensowne.

— A co ty na to powiesz, drogi Hawkmoonie? – zapytał Bowgentle. – Masz już doświadczenie w walce z Mrocznym Imperium.

Hawkmoon; zamyślony, spoglądał na mapę.

— Widzę sens w taktyce hrabiego Brass. Przekonałem się na własnej skórze, że jakiegokolwiek otwarte wystąpienie przeciwko Granbretanowi nie wchodzi w rachubę. Jest dla mnie także oczywiste, że możemy w jakimś stopniu zrównoważyć ich przewagę liczebną, jeśli uda nam się wybrać pole bitwy. W którym miejscu linie defensywne są najsilniejsze?

Von Villach wskazał obszar na południowy wschód od Rodanu.

— Tutaj linia wież jest najgęściejsza, ponadto po naszej stronie znajduje się wyżyna, na której będzie można łatwo przegrupować oddziały, natomiast przeciwnik będzie musiał pokonać podmokłą o tej porze roku dolinę, przysparzającą sporo trudności... – Wzruszył ramionami. – Ale do czego zmierza ta dyskusja oparta na życzeniach? To oni wybiorą miejsce ataku, nie my.

— Chyba, że zostaną ściągnięci na wybrany przez nas odcinek granicy – rzekł Hawkmoon.

— A cóż może się do tego przyczynić? Burza z piorunami? – hrabia Brass uśmiechnął się.

— Ja mógłbym tego dokonać – odparł Hawkmoon. Z kilkoma

setkami jazdy. Nigdy nie angażując się w otwartą walkę, lecz nieustannie nękając ich flanki, moglibyśmy, przy odrobinie szczęścia, doprowadzić ich dokładnie w wytypowane miejsce, podobnie jak wasze psy zaganiają stada byków. Jednocześnie musielibyśmy cały czas śledzić ich ruchy i mieć możliwość przesyłania wam informacji, byście stale znali ich dokładne położenie.

Hrabia Brass pogładził wąsy, po czym popatrzył na Hawkmoona z pewnym respektem.

— Taktyka w moim stylu. Możliwe, że na stare lata staję się zbyt ostrożny. Gdybym był młodszy, niewykluczone, że zgodziłbym się na podobny schemat. To mogłoby być skuteczne, młody człowieku, ale przy dużej dozie szczęścia.

Von Villach odchrząknął głośno.

— Tak, szczęścia i wytrwałości. Czy zdajesz sobie sprawę z tego, co proponujesz, chłopcze? Nie miałbyś nawet godziny na zmrużenie oka, przez okrągłą dobę musiałbyś utrzymywać wzmożoną czujność. Byłoby to mordercze zadanie. Czy podołałbyś czemuś takiemu? Czy żołnierze wytrzymałoby to? A musisz jeszcze brać pod uwagę maszyny latające...

— Trzeba tylko uważać na ich zwiadowców – odpowiedział Hawkmoon. – Uderzalibyśmy i znikali, zanim udałoby im się wysłać poważniejsze siły w powietrze. Wasi ludzie znają teren, wiedzieliby, gdzie można się ukryć. Bowgentle wydał wargi.

— Jest jeszcze jeden ważny element – rzekł. – Powodem, dla którego posuwają się wzdłuż rzeki, jest konieczność pozostawiania w pobliżu towarowych szlaków wodnych. Wykorzystują rzeki do transportu prowiantu, zapasowych koni, machin wojennych, skrzydłolotów, dlatego też przemieszczają się tak szybko. W jaki sposób można by ich nakłonić do oddalenia

się od barek?

Hawkmoon zamyślił się na chwilę, po czym uśmiechnął. – To wcale nie jest taki trudny problem. Posłuchajcie...

Następnego dnia Dorian Hawkmoon pojechał na przejażdżkę konną poprzez dzikie trzęsawiska z księżniczką Yisseldą u swego boku. Od czasu jego ozdrowienia większość czasu spędzali razem i zaczynał żywić coraz głębsze uczucie do niej, jakkolwiek starał się niczego po sobie nie okazywać. Yisselda z kolei, szczęśliwa z powodu jego towarzystwa, czasami czuła się nieco dotknięta, iż w żaden sposób nie demonstrował swoich uczuć. Nie zdawała sobie sprawy, że niczego innego bardziej nie pragnął, jednakże poczuwał się do odpowiedzialności za nią, a poczucie to kazało mu zapomnieć o pragnieniu adorowania jej. Zbyt głęboko tkwiła w nim świadomość, że o każdej porze dnia czy nocy może w ciągu zaledwie kilku minut przeistoczyć się w bezrozumną, bezwolną istotę, całkowicie pozbawioną człowieczeństwa. Żył nieustannie w przekonaniu, że moc Czarnej Klejnotu może pokonać bariery nałożone zaklęciem hrabiego Brassy i że wkrótce potem parowie Granbretanu przekażą Klejnotowi całą energię, by ten pożarł jego mózg.

Tak więc nie powiedział jej nic o swojej miłości ani o tym, że to właśnie owa miłość zbudziła jego podświadomość z głębokiego snu, ani też o tym, że zdając sobie z tego sprawę, hrabia Brassy darował mu życie: Ona, ze swej strony, była zbyt nieśmiała, by wyznać mu swoje uczucie.

Jechali razem poprzez trzęsawiska, wystawiając twarze na uderzenia wiatru, owinięci szczelnie płaszczami. Galopowali po krętych, wąskich ścieżkach między lagunami i bagnami, o wiele szybciej, aniżeli pozwalał na to rozsądek, płosząc przepiórki i kaczki, które podrywały się z piskiem w powietrze, wpadając

między stada dzikich koni i rozganiając je na wszystkie strony, niepokojąc białe bawoły i ich samice. Przemierzali długie, wyludnione plaże, gdzie zimny wiatr niósł wilgoć, a piach chrzęścił pod kopytami koni, przecinali cienie wysokich wież strażniczych, śmiejąc się głośno pod wiszącymi nisko chmurami, lub też zatrzymywali się na dłużej, by zapatrzeć się w morze albo przekrzykiwać szum mistrała.

— Bowgentle powiedział mi, że jutro wyjeżdżasz – zawołała, a wiatr ustał na chwilę i otoczyła ich niespodziewana cisza.

— Tak. Jutro. – Zwrócił ku niej swą twarz, po czym gwałtownie odwrócił się z powrotem. – Jutro. Ale nie potrwa to długo, wkrótce wrócę.

— Nie daj się zabić, Dorianie.

Zaśmiał się, chcąc rozładować napięcie.

— Zdaje mi się, że śmierć z rąk Granbretańczyków nie jest mi pisana. Gdyby tak miało być, umarłbym już dawno temu.

Otworzyła usta do odpowiedzi, ale w tej samej chwili wiatr ponownie uderzył z rykiem, rozwiewając włosy Yisseldy i oplątując pasmami wokół twarzy. Pochylił się, by odsunąć je, a kiedy musnął palcami delikatną skórę, zapragnął z całego serca ująć w dłonie twarz ukochanej i dotknąć wargami jej warg. Szybko pochwyciła jego dłoń i przytrzymała przy swym policzku, lecz po chwili wysunął ją delikatnie, zawrócił konia i ruszył w głąb lądu, w stronę Zamku Brass.

Wiatr przeganiał chmury na niebie, ponad połaciami przyginanych ku ziemi trzcin i silnie sfalowanej powierzchni lagun. Zaczął padać drobny deszcz, na tyle jednak nieprzyjemny, że siekł ich ramiona. Jechali z powrotem powoli, zagłębeni we własnych myślach.

Osłonięty od szyi do stóp kolczugą, w stalowym V hełmie z

długą osłoną nosową, skrywającym głowę i twarz, z szerokim, zwężającym się mieczem u boku oraz tarczą pozbawioną insygniów, Dorian Hawkmoon uniósł dłoń, zatrzymując w miejscu towarzyszących mu ludzi. Uzbrojeni byli po zęby – w łuki, proce, nieco ognistych lanc, toporki, włócznie; każdy rodzaj broni, która mogła razić przeciwnika na dystans. Broń mieli przewieszoną przez plecy, przymocowaną do siodeł, przywiązaną do boków koni, wetkniętą za pasy, ściskali ją też w dłoniach. Hawkmoon zsunął się z konia i w ślad za zwiadowcą ruszył w kierunku szczytu wzgórza, nisko pochylony, poruszając się ostrożnie.

Na szczycie położyli się płasko na ziemi i wyjrzeni w dolinę, w której wiła się rzeka. Było to ich pierwsze spotkanie z ogromną potęgą Granbretanu.

Wyglądało to jak straszliwy legion rodem z samych piekieł, ciągnący powoli na południe – batalion za batalionem maszerującej piechoty, szwadron za szwadronem kawalerii, wszystkie twarze ukryte za maskami, tak że wydawało się, iż całe królestwo zwierząt wyruszyło na Kamarg. Z masy tej wyrastały w górę wysokie chorągwie i chwiejące się na długich drzewcach metalowe proporce. Była tam chorągiew Asrovaka Mikosevaara, przedstawiająca szczerzącą zęby postać dzierżącą miecz, na ramieniu której siedział sęp; poniżej widniał wyhaftowany napis ŚMIERĆ DLA ŻYCIA. Obok sztandaru widniała mikroskopijna sylwetka jeźdźca, chwiejącego się w siodle. Musiał to być Asrovak Mikosevaar we własnej osobie. On i baron Meliadus byli znani jako najbardziej.bezlitośni rycerze Granbretanu. Obok powiewał koci symbol księcia Vendela, Wielkiego Konstabla tegoż zakonu, dalej wizerunek muchy lorda Jaraka Nankenseena oraz setka innych sztandarów, symbolizujących setkę innych zakonów. Był

tam nawet sztandar modliszki, chociaż Wielki Konstabl tego zakonu, sam Król-Imperator Huon był nieobecny. Na czele kolumny jechał na koniu skryty za wilczą maską Meliadus; dźwigał swoją własną chorągiew, przedstawiającą stojącego na tylnych łapach, obnażającego kły wilka. Czaprak jego konia zwieńczała fantazyjna głowa gigantycznego wilka.

Nawet z tej odległości czuło się drzenie ziemi wskutek przemarszu tak wielkiej armii, powietrze wypełniało dzwonienie i szczęk broni oraz intensywna woń potu i zwierząt.

Hawkmoon nie przyglądał się zbyt długo samej armii. Skoncentrował się na widniejącej w tyle rzece i dostrzegł olbrzymią liczbę załadowanych po brzegi barek, płynących burta przy burcie tak szeroką ławą, iż niemal skrywały całe lustro wody. Uśmiechnął się.

— Świetnie pasuje do naszego planu, widzisz? – szepnął do leżącego u jego boku zwiadowcy. – Wszystkie ich łodzie zebrane razem. Chodźmy, musimy okrążyć tę armię i odbić się dość daleko od nich.

Razem zbiegli ze wzgórza. Hawkmoon wskoczył na rumaka i dał znak do odjazdu. Poprowadził oddział galopem, wiedząc, że nie mają czasu do stracenia.

Pędzili tak przez większą część dnia, aż zostawili za sobą armię Granbretanu – już tylko kurzawę ledwie widoczną na południu – i wyjechali nad rzekę, wolną teraz od statków Mrocznego Imperium. Rodan był w tym miejscu wąski i dość płytki; sunął sztucznym korytem, którego kamienne brzegi, wzniesione jeszcze w starożytności, spinał niski, również kamienny most. Z jednej strony rzeki rozciągała się równina, z drugiej zaś teren obniżał się, tworząc rozległą dolinę.

O zmierzchu Hawkmoon zaczął brodzić w wodach rzeki,

uważnie przyglądając się kamiennym wałom, szacując konstrukcję mostu i badając kształt dna koryta, podczas gdy woda omywała jego nogi, przedostając się między kółkami rajtuz kolczugi i przenikała całe ciało chłodem. Kamienne ściany sztucznego koryta były w kiepskim stanie. Wzniesiono je jeszcze przed Tragicznym Millennium i od tamtego czasu jedynie prowizorycznie naprawiano. W jakimś celu zmieniono wówczas dzięki nim bieg rzeki. Teraz Hawkmoon chciał wykorzystać je w zupełnie inny sposób.

Na brzegu, czekając na jego znak, stali zgrupowani lansjerzy, ostrożnie trzymając swą długą, nieporęczną broń. Hawkmoon wspiął się z powrotem na nasyp i zaczął wskazywać żołnierzom wybrane punkty wałów i mostu. Ci, salutując, oddalali się w różnych kierunkach, wycelowując ogniste lance w wybrane miejsca. W końcu Hawkmoon pokazał dłonią na zachód, w stronę, gdzie teren opadał w dolinę, i zakrzyknął na nich. Żołnierze potakiwali skinieniem głowy.

Kiedy niebo pociemniało, ze zwężających się wylotów lanc wytrysnęły z rykiem czerwone słupy ognia, wgryzając się w kamienie, zamieniając wodę w słupy pary, dopóki wszystko nie przekształciło się we wrzący, kotłujący się chaos.

Ogniste lance pracowały niemal bez wytchnienia przez całą noc. Nad ranem rozległ się potężny grzmot i most zwałił się do rzeki, wzbijając fontanny wody, zalewającej falami wszystko dokoła. Teraz ogniste lance obróciły się ku ścianie brzegu od strony zachodniej i poczęły wycinać wielkie bloki, które spadały z hukiem do wody. Zatarasowana rzeka zaczęła wzbierać i przelewać się ponad blokującym ją zawalonym mostem.

O świcie woda runęła w dół nowym korytem w stronę doliny i po niedługim czasie w dotychczasowym korycie pozostał jedynie

niewielki strumień.

Hawkmoon i jego ludzie, zmęczeni lecz zadowoleni, uśmiechali się do siebie nawzajem, dosiadając koni. Ruszyli z powrotem tą samą drogą, którą przybyli. Oto wymierzili swój pierwszy cios przeciwko Granbretanowi. A był to cios niezwykle skuteczny.

Hawkmoon wraz z oddziałem mieli zaledwie kilka godzin na odpoczynek między wzgórzami, wkrótce ruszyli dalej, by znów przyjrzeć się armii Mrocznego Imperium.

Hawkmoon uśmiechał się, leżąc w cieniu kępy krzaków i spoglądając w dół, na rozgrywające się w dolinie sceny świadczące o całkowitym zamieszaniu.

Rzeka zamieniła się teraz w bagnisko ciemnego błota, w którym niczym stado wyniesionych na mieliznę wielorybów tkwiły wojenne barki Granbretanu – niektóre z dziobami uniesionymi wysoko do góry i rufami zagrzebanymi głęboko w dennym mule rzeki, niektóre spoczywały na boku, inne z dziobami zakopanymi w błocie, jeszcze inne dnem do góry. Machiny wojenne leżały rozrzucone, żywy inwentarz był ogarnięty paniką, zapasy w opłakanym stanie. Żołnierze brodzili wśród tego wszystkiego, starając się holować ubłocone skrzynie do brzegu, uwalniać konie z pęt i rzemieni, ratować owce, świnie i krowy, miotające się w panice w grzęzawisku.

Całą dolinę wypełniał harmider ryczących zwierząt i pokrzykujących ludzi. Równe szeregi, jakie przedtem mogli podziwiać, były w rozsypce. Na brzegach dumni kawalerzyści musieli wykorzystywać swe konie jako zwierzęta pociągowe, holujące barki w pobliże twardego gruntu. Wszędzie wyrastały obozowiska, jako że Meliadus zrozumiał niemożność kontynuowania marszu, dopóki nie zostaną uratowane zapasy. A

choć dokółka namiotów wystawiono straż, te dawały baczenie na rzekę, a nie wzgórze, wśród których krył się Hawkmoon ze swoimi ludźmi.

Zbliżał się wieczór i baron Meliadus nie mógł przed nastaniem świtu wysłać zwiadowców w celu rozpoznania przyczyn katastrofy, jako że skrzydłoloty nie mogły latać nocą. Hawkmoon przypuszczał, że w ciągu dnia wysłany zostanie w górę rzeki oddział inżynierów, mających za zadanie usunięcie blokady koryta, ale przygotowany był i na to.

Nadeszła pora podjęcia akcji. Zsunął się z powrotem w kotlinkę, w której obozowali żołnierze i zaczął naradzać się z kapitanami. Chodziło mu szczególnie o coś, co, jak miał nadzieję, znacznie przyczyni się do demoralizacji żołnierzy granbretańskich.

Zapadła noc, lecz ludzie w dolinie kontynuowali pracę w świetle pochodni. Taszczyli ciężkie maszyny wojenne do brzegu, wciągali skrzynie z prowiantem na strome nasypy. Meliadus, targany niecierpliwością dotarcia do Kamargu, nie pozwalał nikomu odpocząć, jeździł między umęczonymi, zlanymi potem żołnierzami, bez przerwy ich poganiając. Za jego plecami ustawione w kręgach namioty otaczały słupy z chorągwiami poszczególnych zakonów, lecz zaledwie w kilku z nich znajdowali się ludzie, jako że większość żołnierzy wciąż ciężko pracowała.

Nikt nie dostrzegł zbliżających się sylwetek konnych rycerzy, pozawijanych w ciemne płaszcze, którzy po cichu zjechali ze wzgórza.

Hawkmoon zatrzymał konia, a jego prawa ręka powędrowała ku lewemu bokowi, gdzie wisiał zgrabny mieczyk, jaki dostał od Meliadusa. Wyciągnął go z pochwy, uniósł na moment, po czym

wskazał nim przed siebie. Był to sygnał do natarcia.

Bez żadnych okrzyków, jedynie pośród tętentu kopyt końskich i szczęku oręża Kamargijczycy ruszyli do przodu, w ślad za Hawkmoonem, który położył się na grzbiecie wierzchowca i pędził wprost na zdumionego wartownika. Jego miecz trafił w gardło tamtego i żołnierz z cichym rżeniem padł na ziemię. Dotarli już do pierwszych namiotów, siekąc przytrzymujące je liny i rozprawiając się z nielicznymi uzbrojonymi ludźmi, usiłującymi ich powstrzymać, a Granbretańczycy nadal nie wiedzieli, kto ich zaatakował. Hawkmoon wtargnął do środka pierwszego koła namiotów i jego miecz zatoczył szerokie półkole, mierząc w stojącą tam chorągiew – sztandar Zakonu Psa. Drzewce pękło z trzaskiem, po czym chorągiew runęła wprost w ognisko, wzbijając wielki snop iskier.

Nie zatrzymywał się, poganiał wciąż konia, zmierzając ku centrum wielkiego obozowiska. Od strony rzeki nadal nie dawało się słyszeć odgłosów alarmu, jako że najeźdźcy czynili mniej hałasu niż sami Granbretańczycy.

Trzech na wpół osłoniętych zbrojami rycerzy biegło ku Hawkmoonowi. Ten obrócił konia bokiem i zaczął rozdawać ciosy na lewo i prawo, odbijając miecze przeciwników, aż udało mu się jednemu wytrącić broń z ręki. Dwóch pozostałych natarło mocniej, lecz ciosem w nadgarstek odciął następnemu dłoń. Ostatni żołnierz cofnął się, ale Hawkmoon natarł błyskawicznie, zanurzając miecz w piersi tamtego.

Jego koń stanął dęba, a Dorian, ściągawszy wodze, skierował go w stronę kolejnego kręgu namiotów, wiodąc za sobą cały oddział. Po chwili wyrwał się na otwartą przestrzeń, lecz drogę zablokowała mu grupa żołnierzy w białych, z białych jak nałożonymi puklerzami, uzbrojonych w miecze. Hawkmoon

krzyknął rozkaz swoim jeźdźcom i grupa rozwinęła się, nacierając z wysuniętymi mieczami na całą linię obrońców. Niemal nie zatrzymując się wycieli bądź stratowali żołnierzy, wdzierając się w następny krąg namiotów. Zaświstały w powietrzu przecinane liny naciągające, a płachty materii opadły na ziemię, więząc znajdujących się wewnątrz ludzi.

Wreszcie, z mieczem ociekającym krwią, Hawkmoon przebił się do środka kręgu, gdzie sterczał cel jego rajdu dumna chorągiew modliszki, sztandar zakonu, którego Wielkim Konstablem był sam Król-Imperator. Otaczała ją grupa obrońców, pospiesznie wciągających na głowy hełmy i szykujących tarcze do starcia. Nie oglądając się nawet na towarzyszących mu ludzi, Hawkmoon rzucił się między Granbretańczyków z dzikim okrzykiem. Dreszcz przeszył jego ramię, kiedy z całą mocą uderzył mieczem w tarczę najbliższego żołnierza, uniósł je jednak ponownie i ciął jeszcze raz, rozplątując tarczę i rozcinając twarz skrytego za nią obrońcy. Człowiek odskoczył do tyłu, cały zalany krwią. Drugiego trafił w bok, innemu z impetem rozplątał czaszkę. Jego miecz wznosił się i opadał niczym ramię jakiejś niestrudzonej maszyny. Po chwili dołączyli jego ludzie, coraz mocniej naciskając na broniących się Granbretańczyków, którzy tworzyli coraz ciaśniejszy krąg dokoła chorągwi.

Kolczuga Hawkmoona została rozcięta od uderzenia mieczem, jego tarcza rozsypała się na kawałki, walczył jednak zaciekle, dopóki przy maszcie nie został zaledwie jeden człowiek.

Hawkmoon uśmiechnął się, pochylił w siodle, czubkiem miecza zrzucił hełm z głowy tamtego i krótkim cięciem przepołowił jego czaszkę. Następnie sięgnął po drzewce chorągwi, wyciągnął je i uniósł wysoko, ukazując zdobycz

wszystkim wiwatującym żołnierzom. Po chwili zawrócił konia i ruszył galopem z powrotem w kierunku wzgórz, bez trudu przeskakując ponad rozciągniętymi ciałami i zrujnowanymi namiotami.

W pewnym momencie usłyszał za sobą krzyk jednego z rannych obrońców:

— Widziałeś go? Ma Czarny Klejnot pośrodku czoła! Wiedział już, że wkrótce baron Meliadus dowie się, kto najechał jego obozowisko i skradł najcenniejszą chorągiew.

Obrócił się w kierunku, skąd dobiegł go okrzyk, potrząsnął triumfalnie sztandarem i wybuchnął głośnym, szyderym śmiechem.

— Hawkmoon! – zawołał. – Hawkmoon!

Było to bardzo stare zawołanie bitewne jego przodków. Teraz wypłynęło niemal nieświadomie na jego wargi. Gorąco pragnął uświadomić najgorszemu wrogowi, Meliadusowi, zabójcy całej jego rodziny, kto go zaatakował.

Kruczoczarny rumak, którego dosiadał, stanął na tylnych nogach, z rozdętymi czerwonymi nozdrzami i błyszczącymi oczyma, lecz Dorian szybko go poskromił i pogalopował poprzez ruiny obozowiska.

Śladem Hawkmoona popędzili żołnierze z Kamargu, jakby poganiając konie w pościgu za wyprzedzającym ich szaleńczym śmiechem wodza.

Dorian i jego ludzie szybko dotarli do wzgórz i skierowali się ku zawczasu przygotowanemu, zamaskowanemu schronieniu. Żołnierze Meliadusa ruszyli w pogoń za nimi. Oglądając się przez ramię, Hawkmoon zauważył, że między brzegami wyschniętego koryta rzeki zapanowało jeszcze większe zamieszanie. Światła pochodni pośpiesznie przemieszczały się w kierunku obozu.

Ludzie Hawkmoona, świetnie znający teren, szybko zmylili pogoń, by zapaść na dłużej między skaliste urwiska, gdzie znajdowała się zamaskowana poprzedniego dnia jaskinia. Wjechali konno do groty, zeskoczyli z siodeł i osłonili wejście. Przestronna pieczara łączyła się z innymi, jeszcze większymi komorami, zdolnymi pomieścić cały ich oddział, mogli nawet wydzielić osobne groty dla koni. W najdalszej jej części, przez którą przepływał wąski strumyk, zgromadzono zapasy na kilka dni. Wzdłuż całej drogi dzielącej ich od Kamargu były przygotowane podobne ukryte obozowiska.

Ktoś zapalił pochodnie. Hawkmoon zsunął się z konia, podniósł chorągiew modliszki i cisnął ją w kąt. Uśmiechnął się szeroko do pyzatego Pelaire'a, swego adiutanta.

— Jutro Meliadus wyśle inżynierów w stronę naszej tamy, kiedy tylko ci ze skrzydłolotów doniosą o jej utworzeniu. Musimy być pewni, że nie zniweczą naszej pracy.

Pelaire skinął głową.

— Owszem, ale nawet jeśli wybijemy jedną drużynę, wyśle następną...

Hawkmoon wzruszył ramionami.

— A potem z pewnością jeszcze jedną... Ale liczę na jego niecierpliwą chęć dotarcia do Kamargu. W końcu stwierdzi, że na dłuższą metę bezcelowe jest tracenie czasu i ludzi na odblokowywanie rzeki. Powinien ruszyć dalej, a wówczas, jeśli nam szczęście dopisze, jeśli przeżyjemy, zawieziemy go na południowy wschód, ku naszym granicom.

Pelaire zaczął przeliczać ludzi, którzy powrócili z wyprawy. Hawkmoon zaczekał, aż skończy, po czym zapytał: – Jakie straty?

Na twarzy adiutanta malowała się duma pomieszana z niedowierzaniem.

— Żadnych, panie. Nie straciliśmy ani jednego człowieka! – To dobry omen – odparł Hawkmoon, klepiąc Pelaire'a po plecach. – Musimy teraz odpocząć, rano czeka nas długa droga.

O świcie wartownik strzegący wejścia do jaskini O przyniósł złe wiadomości.

— Latająca maszyna – zakomunikował księciu, kiedy Hawkmoon mył się w strumieniu. – Krąży w pobliżu już od dziesięciu minut.

— Myślisz, że pilot domyśla się czegoś? A może dostrzegł nasze ślady? – zapytał Pelaire.

— To niemożliwe – odparł Hawkmoon, wycierając twarz. – Skała nie zdradzi niczego nawet temu, kto bada ją z ziemi. Musimy poczekać trochę, skrzydłoloty nie mogą przebywać w powietrzu przez dłuższy czas bez lądowania w celu uzupełnienia paliwa.

A jednak w godzinę później wartownik zameldował, że pojawił się drugi skrzydłolot i zastąpił pierwszego. Hawkmoon wyduł wargi, a po chwili podjął decyzję.

— Czas ucieka. Musimy dotrzeć do tamy, zanim inżynierowie rozpoczną pracę. Spróbujemy dość ryzykownego fortelu, który, mam nadzieję, powiedzie się.

Szybko wybrał jednego z żołnierzy i porozmawiał z nim na boku. Następnie wskazał dwóm lansjerom pozycje, jakie mają zająć po wyjściu z jaskini, po czym wydał rozkaz całemu oddziałowi, by dosiadł koni i był gotów do wymarszu.

Nieco później z szerokiego wejścia pieczary wyjechał samotny jeździec i powoli skierował się w dół po skalistym stoku.

Wyglądając z groty, Hawkmoon zauważył, że słońce odbiło się od cielska wielkiej, brązowej maszyny, a jej mechaniczne skrzydła głośniej uderzyły powietrze, gdy poczęła zniżać lot w

stronę samotnego jeźdźca. Hawkmoon właśnie liczył na wzbudzenie ciekawości pilota. Teraz, na skinienie jego dłoni, dwaj lansjerzy unieśli swą długą, nieporęczną broń, której rubinowe zwoje jarzyły się już w gotowości. Niewygoda ognistych lanc polegała na tym, iż nie można z nich było korzystać w każdej chwili, a przy dłuższym działaniu robiły się zbyt gorące, by utrzymać je w dłoniach.

Skrzydłolot szeroką spiralą opadał coraz niżej i niżej. Lansjerzy wycelowali swą broń. Widać już było skrytego za kruczą maską człowieka, pochylonego nad przyrządami i wbijającego wzrok w ziemię.

— Teraz – mruknął Hawkmoon.

Z obu lanc jednocześnie wystrzeliły czerwone słupy płomieni. Pierwszy trafił w bok skrzydłolotu, za ledwie osmalając i rozgrzewając nieco kadłub. Drugi zaś dosięgnął pilota, którego ubranie niemal natychmiast zajęło się ogniem. Poderwał ręce z czułych sterów maszyny i uderzeniami dłoni zaczął gasić płomienie. Skrzydła zatrzepotały spazmatycznie, skrzydłolot zakołysał się w powietrzu, pochylił na bok i runął w dół mimo rozpaczliwych wysiłków Granbretańczyka pragnącego odzyskać kontrolę nad maszyną. Uderzyła w stok pobliskiego wzgórza i rozpadła się na części. Skrzydła wykonały jeszcze kilka uderzeń, a poszarpane ciało pilota zostało wyrzucone na pewną odległość. Po chwili maszyna wybuchła z dziwnym młaśnięciem i choć nie stanęła w ogniu, to jej szczątki padły rozrzucone daleko po całym wzgórzu. Hawkmoon nie rozumiał osobliwych cech urządzeń zasilających, wykorzystywanych w skrzydłolotach, jednakże zawsze eksplodowały one w taki specyficzny sposób.

Teraz dosiadł swego czarnego rumaka i dał znak do wyjazdu. Ruszyli galopem w dół skalistego stoku, zmierzając ku

utworzonej poprzedniego dnia tamie.

Powietrze owego jasnego, słonecznego dnia zimowego przepełniało ich radością. Jechali ufni w swe siły, szczęśliwi z odniesionego sukcesu. Ale kiedy zbliżyli się do zapory, wzmoгли czujność. Ze szczytu wzgórza ujrzeni rzekę płynącą w dolinę oraz oddział żołnierzy i inżynierów, badających szczątki mostu, który tak skutecznie zablokował stare koryto rzeki. Po chwili zjechali w kotlinę, z lansjerami w pierwszej linii, odchylonymi w strzemionach do tyłu i gotowymi do uruchomienia swej niebezpiecznej broni.

Dziesięć słupów ognia spadło na zaskoczonych Granbretańczyków, zamieniając ludzi w żywe pochodnie, z wrzaskiem rzucające się do wody. Ogień ogarnął szeregi w krecich i borsuczych maskach oraz strzegące ich oddziały skrytych za maskami sępów najemników Mikosevaara. Po chwili żołnierze Hawkmoona ruszyli do natarcia i powietrze wypełniło się szczękiem oręża. Zawirowały okrwawione toporki, zaświstały zadające pchnięcia miecze. Rozległy się wrzaski umierających, parskanie i rżenie koni oraz tętent kopyt.

Koń Hawkmoona, osłonięty kółkową kolczugą, zachwiał się od ciosu potężnego obusiecznego topora, wymierzonego przez olbrzymiego żołnierza, po czym runął na ziemię, przygniatając jeźdźca. Siepacz w masce sępa doskoczył i wzniosł topór nad głowę Hawkmoona, ten jednakże zdołał wyciągnąć spod konia ramię ściskające miecz i w ostatniej chwili sparował cios przeciwnika. Koń wspiął się szybko na nogi. Hawkmoon poderwał się i zdołał jakoś pochwycić cugle, osłaniając się cały czas przed ciosami świszczącego w powietrzu topora.

Raz, drugi i trzeci zetknęły się ostrza i Hawkmoon poczuł, że ramię mu słabnie. Wywinął głownią miecza pod drzewcem

topora i ciął nadgarstek siepacza. Jego przeciwnik puścił jedną dłoń i topór, a pod maską rozległ się stłumiony jęk. Hawkmoon błyskawicznie zadał cios w metalową maskę, wgniatając ją. Człowiek zacharczał i zachwiał się. Hawkmoon ujął oburącz swój szeroki miecz i ponownie ciął z całej siły głowę przeciwnika. Sępia maska rozpadła się, ukazując zakrwawioną twarz, a skryte w gęstej brodzie wargi zaczęły błagać o litość. Oczywiście Hawkmoona zwięzły się – nienawidził najemników jeszcze bardziej niż Granbretańczyków. Błyskawicznie wymierzył trzeci cios w głowę, niemalże odrąbując ją od szyi, a żołnierz poleciał do tyłu i martwy już runął na jednego ze swych towarzyszy, pochłoniętego walką z którymś z jeźdźców Kamargu.

Hawkmoon dosiadł ponownie konia i poprowadził żołnierzy przeciwko niedobitkom Legionu Sępów; ciął i siekł po bokach, ogarnięty żądzą krwi, dopóki na polu nie zostali jedynie inżynierowie uzbrojeni w krótkie mieczyki. Ci nie stawiali zbyt oporu i wkrótce zostali wybici do nogi, ich ciała zasłały zrujnowany most albo spłynęły rzeką, którą mieli zamiar skierować pierwotnym korytem.

Kiedy jechali z powrotem w kierunku wzgórz, Pelaire popatrzył na Hawkmoona.

— Nie ma w tobie litości, kapitanie!

— Owszem – odparł bezwiednie Hawkmoon – nie ma. Mężczyźni, kobiety i dzieci, jeśli tylko są Granbretańczykami, są wrogami, których należy wybić.

Stracili w walce ośmiu ludzi. W porównaniu z liczebnością oddziału, który pokonali, znów mieli wiele szczęścia. Granbretańczycy przywykli masakrować swoich przeciwników, nie byli natomiast oswojeni z myślą, że mogą zostać napadnięci i potraktowani w taki sam sposób. To prawdopodobnie stanowiło

przyczynę, dzięki której oddział z Kamargu poniósł jak do tej pory tak niewielkie straty.

Meliadus wysłał cztery dalsze ekspedycje, by rozbiły zaporę, każdą następną o zwiększonej liczebności. Ale wszystkie były wycinane w pień nagłymi atakami jeźdźców z Kamargu. Spośród dwustu żołnierzy, jakimi pierwotnie dowodził Dorian Hawkmoon, do realizacji drugiej części planu, obejmującej ustawiczne nękanie posuwającej się powoli wskutek transportowania lądem machin wojennych i zapasów armii Granbretanu i kierowanie jej na południowy wschód, przystąpiło około stu pięćdziesięciu jeźdźców.

Hawkmoon nigdy nie atakował w ciągu dnia, kiedy skrzydłoloty krążyły po niebie, za to nocami nie dawał przeciwnikowi spokoju. Ogniste lance spalały dziesiątki namiotów i zajmujących je ludzi, fale strzał z łuków dziesiątkowały zastępy strzegące obozowisk oraz jeźdźców, wyruszających w ciągu dnia na poszukiwanie kryjówek żołnierzy z Kamargu. Miecze nieczęsto wysychały, znów nurzano je we krwi, topory tępiły się od śmiertelnego żniwa, jakie z ich pomocą zbierano i rzadko czyje dłonie trzymały jeszcze oryginalną, ciężką kamarską włócznię. Hawkmoon i jego ludzie byli wychudzeni, mieli zaczerwienione oczy, nieraz z trudem utrzymywali się w siodłach, często ledwie o włos unikając wykrycia przez skrzydłoloty lub grupy pościgowe. Musieli mieć jednak pewność, że szlak wiodący od rzeki usłany jest ciałami martwych Granbretańczyków oraz że prowadzi ich dokładnie w wybranym dla nich kierunku.

Tak jak Hawkmoon się spodziewał, Meliadus nie poświęcał zbyt wiele czasu na poszukiwanie jeźdźców, prowadzących z nim wojnę podjazdową. Pragnienie jak najszybszego dotarcia do

Kamargu było silniejsze od nienawiści do Hawkmoona – bez wątpienia sądził, że po zdobyciu Kamargu będzie miał dosyć czasu na rozprawę.

Raz, tylko jeden raz, mieli okazję stanąć twarzą w twarz, kiedy to Hawkmoon i jego ludzie uwijali się między namiotami i ogniskami, zadając na oślep ciosy, i szykowali się już do odjazdu, ponieważ zbliżał się świt. Meliadus, na koniu, na czele oddziału swojej wilczej kawalerii, wyjechał z głębi obozowiska wprost na Hawkmoona, rozdającego ciosy grupie ludzi miotających się pod zwalonym namiotem, i ruszył na niego.

Hawkmoon uniesionym mieczem powstrzymał cięcie Meliadusa, po czym uśmiechnął się bezlitośnie i zaczął stopniowo odpychać brzeszczot od siebie.

Meliadus stęknął tylko, kiedy jego ramię cofnęło się pod naporem przeciwnika.

— Piękne dzięki, baronie Meliadusie – odezwał się Hawkmoon. – Jadło, którym ugościłeś mnie w Londrze, dodało mi sił...

— Och, Hawkmoonie – odparł Meliadus łagodnym, choć drżącym od wysiłku głosem. – Nie wiem, jak udało ci się uciec przed mocą Czarnego Klejnotu, ale sprzeciwiłeś się potędze tysiąckroć większej i od niej będzie zależał twój los, kiedy zajmę Kamarg i znowu uczynię z ciebie mego więźnia.

Hawkmoon nagłym ruchem zakręcił głownią pod spizowym jelcem miecza Meliadusa i pchnął mocno, wyrzucając spiralnym ruchem broń z ręki tamtego. Uniósł już miecz do cięcia, kiedy dostrzegł, że zbyt wielu Granbretańczyków pędzi w jego kierunku.

— Przykro mi, baronie, ale czas na mnie. Przypomnę ci twą obietnicę, kiedy ty będziesz moim więźniem!

Zawrócił konia i śmiejąc się głośno poprowadził swoich ludzi

w mrok, zostawiając za sobą chaos obozowiska. Meliadus z wściekłością machnął ręką, po czym zsiadł z konia, by odnaleźć swój miecz.

— Parweniusz! – warknął. – Będzie się czołgał u moich stóp, nim minie miesiąc.

Nadszedł wreszcie dzień, kiedy Hawkmoon i jego jeźdźcy zaniechali dalszych ataków na oddziały Meliadusa i popędzili galopem poprzez podmokłą dolinę ku linii wzgórz, gdzie oczekiwali już na nich hrabia Brass oraz Leopold von Villach wraz z armią. Ponad doliną górowały mroczne, wysokie wieże, omalże równie stare jak sam Kamarg, licznie teraz obsadzone gwardzistami; z każdej niemal szczeliny wystawały pęki dziwacznej broni.

Koń Hawkmoona wspiał się na wzgórze i zatrzymał przed samotną sylwetką hrabiego Brass, który uśmiechnął się szeroko z ulgą, kiedy rozpoznał młodego szlachcica.

— Cieszę się, że pozwoliłem ci na ten rajd, książę Kln – rzekł z radością w głosie. – Wykonałeś wszystko, co planowałeś, i przyprowadziłeś większą część swego oddziału z powrotem. Nie jestem pewien, czy za moich najlepszych czasów sam wykonałbym to zadanie tak dobrze.

— Dziękuję, hrabio Brass. Musimy czynić przygotowania. Baron Meliadus znajduje się zaledwie o pół dnia marszu za nami.

Poniżej szczytu, na rozległym stoku wzgórza dostrzegł rozłożone obozem siły Kamargu, przede wszystkim piechotę.

Z co najwyżej tysiącem ludzi armia ta wyglądała żałośnie skąpo w porównaniu z niezliczoną masą ciągnących w tę stronę rycerzy. Stosunek sił musiał być jak dwadzieścia do jednego, a może i dwa razy więcej.

Hrabia Brass zrozumiał wyraz twarzy Hawkmoona.

— Nie martw się, chłopcze. Dysponujemy znacznie lepszą bronią niż miecze do powstrzymania inwazji.

Hawkmoon pomylił się sądząc, iż Granbretańczycy dotrą do granicy przez pół dnia. Zdecydowali się widocznie rozbić jeszcze jeden obóz i dopiero następnego dnia w południe ukazała się oczom obrońców potęga, nadciągająca poprzez płaską dolinę w regularnych formacjach. Każdy czworobok piechoty czy kawalerii składał się z żołnierzy tego samego zakonu, a każdy członek zakonu związany był obowiązkiem bronienia innego członka swego zakonu, nieważne: martwego czy żywego. Zasada ta była jedną z przyczyn wielkiej siły Granbretańczyków, jako że nikt nie mógł się wycofać z pola bitwy, chyba że wykonywał taki właśnie rozkaz swojego Wielkiego Konstabla.

Hrabia Brass siedział na koniu i przyglądał się nadciągającemu wrogowi. Z jednej jego strony znajdował się Dorian Hawkmoon, z drugiej Leopold von Villach. Ale tylko hrabia Brass mógł wydawać rozkazy. Teraz bitwa zacznie się na dobre – pomyślał Hawkmoon. Nadal nie widział sposobu, w jaki mogliby odnieść zwycięstwo. Czy hrabia Brass nie był zbyt pewny siebie?

Wielka masa żołnierzy i maszyn zatrzymała się w końcu jakieś pół mili przed nimi. Po chwili oddzieliły się od niej dwie postacie i ruszyły galopem w kierunku szczytu wzgórza. Kiedy się zbliżyły, Hawkmoon rozpoznał barwy barona Meliadusa, a w chwilę później dostrzegł, iż jednym z jeźdźców jest Meliadus we własnej osobie, z heroldem u boku, dzierżącym spiżową tubę – symbol parlamentarzysty.

— Nie przypuszczam, żeby chciał się poddać. Chyba spodziewa się tego po nas – odezwał się z wyraźnym niesmakiem von Villach.

— Nie wydaje mi się – uśmiechnął się Hawkmoon. Bez wątpienia to jedna z jego sztuczek. Słynie z tego. Hrabia Brass popatrzył uważnie na uśmiechniętego młodzieńca.

— Uważaj na tę nienawiść, Dorianie Hawkmoonie poradził mu. – Nie pozwól, by zaćmiła twój zdrowy rozsądek, jak się to stało z Meliadusem.

Hawkmoon odwrócił głowę w stronę pola i nie odpowiedział.

Herold uniósł ciężką tubę do ust.

— Przemawiam w imieniu barona Meliadusa, Wielkiego Konstabla Zakonu Wilka, głównodowodzącego armii najszlachetniejszego Króla-Imperatora Huona, władcy Granbretanu i przysłego władcy całej Europy.

— Powiedz swemu panu, żeby zdjął maskę i przemawiał za siebie – zawołał w odpowiedzi hrabia Brass.

— Mój pan proponuje wam honorowy pokój. Jeśli poddacie się teraz, obiecuje, że zostawi was przy życiu i jedynie obwoła się gubernatorem prowincji w imieniu Króla Huona, aby dokonała się sprawiedliwość i nastał porządek w tym barbarzyńskim kraju. Okazana zostanie wam łaska. Jeśli się sprzeciwicie, cały Kamarg zostanie zrównany z ziemią, wszystko zostanie spalone, a zgliszcza zaleją morskie fale. Baron Meliadus oświadcza, że dobrze znana jest wam jego potęga i wasz opór przyczyni się jedynie do waszej śmierci i zguby waszych rodzin.

— Przekaż baronowi Meliadusowi, skrywającemu się za maską i wstydzącemu się przemówić we własnym imieniu, iż dobrze wie, że jest niegodziwcem, który nadużył mojej gościnności i został pokonany przeze mnie w uczciwej walce. Powiedz mu, że równie dobrze my możemy sprowadzić śmierć na niego i cały jego rodzaj. Powiedz mu, że jest tchórzliwym psem i nawet tysiące takich jak on nie powalą na kolana

kamarskiego byka. Powiedz mu, że jego pokojowa oferta jest dla nas niczym innym jak zwykłym fortelem, wybiegiem, którego podstępny charakter rozpoznałoby nawet dziecko. Powiedz mu, że nie potrzebujemy żadnego gubernatora, iż rządzymy się sami ku naszemu wspólnemu zadowoleniu. Powiedz mu...

Hrabia Brass urwał nagle i zaniósł się głośnym ironicznym śmiechem na widok barona Meliadusa, który z wściekłością zawrócił konia i z heroldem depczącym mu po piętach pogalopował z powrotem w kierunku swoich wojsk.

Mniej więcej po upływie kwadransa ujrzeni, że skrzydłoloty wzbijają się w powietrze. Hawkmoon westchnął. Raz już został pobity przez te latające maszyny. Czyżby i teraz czekała ich porażka?

Hrabia Brass uniósł miecz w górę i na ten znak wszędzie dokoła rozległo się głośne kłapanie i łopot. Hawkmoon odwrócił się i ujrzał wzlatujące szkarłatne flamingi, wznoszące się w pełnym gracji locie, bez porównania piękniejszym od parodiujących je, nieskładnych ruchów metalowych skrzydłolotów. Unosząc się coraz wyżej szkarłatne flamingi wraz ze swymi jeźdźcami, spoczywającymi w wysokich siodłach i uzbrojonymi w ogniste lance, ruszyły na spotkanie mosiężnych skrzydłolotów.

Flamingi nabierały szybko wysokości i wkrótce zajęły lepsze pozycje, trudno było jednak uwierzyć, by mogły stanowić równorzędnych przeciwników dla ociężałych co prawda, lecz zbudowanych z metalu maszyn. Czerwone słupy płomieni, ledwo dostrzegalne z tej odległości, uderzyły w boki skrzydłolotów. Jeden z pilotów, trafiony i zabity na miejscu, został wyrzucony z kabiny, a pozbawiona człowieka maszyna uderzała jeszcze chwilę skrzydłami, po czym złożyła je wzdłuż kadłuba i runęła w

dół, jak martwy ptak, dziobem ku ziemi, nurkując w bagnisko u stóp wzgórza.

Hawkmoon dostrzegł także, jak inny skrzydłolot trafił ze swego bliźniaczego ognistego działka flaminga dźwigającego jeźdźca i szkarłatny ptak został wyrzucony w powietrze, po czym koziółkując spadł na ziemię w wielkim kłębowisku piór. Powietrze wypełniło się żarem i hukiem latających maszyn, lecz uwaga hrabiego Brassy była już skierowana na kawalerię Granbretańczyków, pędzącą w szarży w stronę wzgórza.

Początkowo hrabia nie poruszył się nawet, przyglądał się po prostu szerokiej ławie zbliżających się z każdą chwilą jeźdźców. Wreszcie uniósł miecz w górę.

— Wieże! Otworzyć ogień! – krzyknął.

Lufy jakiejś nieznanej broni skierowały się w stronę kawalerzystów, po czym rozległ się przeraźliwy gwizd, który jak Hawkmoonowi się zdawało, za chwilę rozsądzi mu głowę, nie dostrzegł jednak żadnych pocisków. Po chwili konie, które dotarły już do terenów podmokłych, zaczęły nagle się cofać. Całymi szeregami stawały dęba, przewracając ślepiami i tocząc pianę z pysków. Jeźdźcy spadali z koni i wkrótce co najmniej połowa szarży taplała się w zdradliwym błocku, ślizgając się i próbując okiełznać oszalałe zwierzęta.

— Broń emitująca niewidzialne promienie poniżej poziomu dźwięku – hrabia Brass zwrócił się do Hawkmoona. – My niewiele z tego słyszymy, za to konie odbierają je z niesłychaną intensywnością.

— Czy uderzymy na nich teraz? – zapytał Hawkmoon. – Nie. Nie ma potrzeby. Poczekaj, bądź cierpliwy. Konie, zeszywniałe, zaczęły padać bez zmysłów.

— Niestety, w końcu to je zabija – powiedział hrabia Brass.

Wkrótce wszystkie konie leżały w błocie, jeźdźcy natomiast, przeklinając, gromadzili się na twardym gruncie, nie wiedząc, co czynić.

W górze flamingi nurkowały i zataczały koła nad skrzydłolotami, kompensując zwinnością siłę i odporność nieprzyjaciela. Jednakże wiele gigantycznych ptaków padało na ziemię, więcej niż skrzydłolotów o kłapiących skrzydłach i furkoczących silnikach.

W pobliżu wież zaczęły spadać wielkie gązdy.

— To maszyny wojenne. Uruchomili katapulty – warknął von Villach. – Czy możemy...?

— Cierpliwości – odrzekł hrabia Brass, dziwnie spokojny.

W tej samej chwili uderzyła w nich wielka fala żaru. Ujrzeli ogromny wir szkarłatnych płomieni, wykwitający u podnóża najbliższej wieży.

— Ogniste działo! – krzyknął Hawkmoon, wskazując palcem. – Największe, jakie kiedykolwiek widziałem! Zniszczy nas wszystkich!

Ale hrabia Brass pędził już w kierunku zaatakowanej wieży. Spostrzegli, jak zeskakuje z konia i znika we wnętrzu budowli, zdawałoby się już straconej. W chwilę później zaczęła się obracać, coraz szybciej i szybciej, i Hawkmoon stwierdził ze zdumieniem, że pogrąża się w ziemi, a płomienie nie wyrządzają już większej szkody. Działo obróciło się ku drugiej wieży, ale po pierwszym strzale ta również poczęła wirować i znikać w ziemi, podczas gdy pierwsza spiralnym ruchem wychylną z powrotem, a gdy zatrzymała się, natychmiast skierowała swą dziwną broń, zainstalowaną na blankach, w stronę miotacza płomieni. To było coś połyskującego zielenią i purpurą, zwieńczonego dzwonokształtną lufą, z której wylatywały serie białych kulistych

przedmiotów, spadających w oddali u stóp ognistego działa. Hawkmoon zauważył, że padały między grupy inżynierów obsługujących miotacz. Jego uwaga została odwrócona przez pikujący w ich kierunku skrzydłolot, który zmusił go do zawrócenia konia i pogalopowania za grań wzgórza, poza zasięg eksplodujących silników maszyny. Von Villach dołączył do niego.

— Co to za broń? – zapytał Hawkmoon, lecz tamten pokręcił jedynie głową, równie zdumiony jak on.

Hawkmoon dostrzegł, iż białe kule przestały padać, ale jednocześnie ogniste działa nie miota już więcej płomieni, a obok niego mniej więcej setka ludzi leży nieruchomo. Hawkmoon z przerażeniem stwierdził, iż zostali oni zamrożeni. Z dzwonokształtnego wylotu broni posypały się kolejne pociski spadając przy katapultach oraz innych machinach wojennych Granbretańczyków. Po pewnym czasie ich załogi również zginęły zamrożone i głowy przestały padać u stóp wież.

Hrabia Brass wyszedł z wieży, dosiadł konia i dołączył do nich. Uśmiechał się.

— Mamy jeszcze inną broń do zademonstrowania tym głupcom – rzekł.

— Ale czy to wystarczy na taką masę ludzi? – zapytał Hawkmoon, wskazując na ruszającą właśnie piechotę, o tak ogromnej liczebności, że wydawało się, iż nawet najpotężniejsza broń nie jest w stanie jej zatrzymać.

— Zobaczmy – odparł hrabia Brass, przekazując jakiś sygnał strażnikowi z najbliższej wieży. Niebo nad nimi było czarne od zmagających się ptaków i maszyn, czerwone słupy płomieni krzyżowały się w powietrzu, a wszędzie dokoła nich spadały kawałki metalu oraz okrwawione szczątki. Nie byłoby możliwe rozsądzić, kto miał przewagę.

Piechota znajdowała się już niedaleko, kiedy hrabia Brass dał znak mieczem obserwatorom na wieży i w stronę armii Granbretanu wycelowano szerokie paszcze nowej broni. Na maszerujące zastępy posypały się roje szklanych, połyskujących niebieskawo w powietrzu kulek. Hawkmoon zauważył, że szeregi zachwiały się, a ludzie poczęli miotać się jak oszalali, wymachiwać ramionami i zrywać z twarzy maski.

— Co im się stało? – spytał zdumiony hrabiego Brass. – Kulki zawierają gaz halucynogeny – odparł hrabia. – Powoduje pojawianie się przerażających wizji przed oczyma.

Hrabia obrócił się teraz w siodle i dał mieczem znak oczekującym poniżej żołnierzom. Szyki ruszyły pod górę.

— Nadszedł czas stawić Granbretańczykom czoło z pomocą zwykłego oręża – rzekł.

Niedobitki piechoty zasypały ich gradem strzał z łuków i słupami płomieni z ognistych lanc. Łucznicy hrabiego Brass odpowiedzieli na atak, a lansjerzy dali ognistą salwę. Groty granbretańskich strzał zabębniły o ich zbroje i kilku ludzi padło. Kilku innych dosięgnęły płomienie lanc. Poprzez chaos ognia i zasłonę strzał widać było, iż granbretańska piechota, mimo znacznie przerzedzonych szeregów, wytrwale posuwa się do przodu. Ludzie zatrzymali się u brzegów bagniska, zawahali na widok martwych koni, lecz oficerowie z furią pognali ich dalej.

Hrabia Brass polecił heroldowi dać sygnał do natarcia i po drwili szeregi ruszyły, poprzedzane jedną tylko flagą, przedstawiającą czerwoną rękawicę na białym polu.

Trzech mężczyzn w spokoju przyglądało się, jak zdziesiątkowana piechota zaczyna przedzierać się przez błoto i kluczyć między martwymi końmi, zmierzając w stronę szczytu wzgórza, gdzie oczekiwały na nią siły Kamargu.

Hawkmoon dostrzegł Meliadusa w pewnej odległości za pierwszą linią, a następnie rozpoznał barbarzyńską, sępią maskę Asrovaka Mikosevaara, gigantycznego Moskovianina, wiodącego swój pieszy Legion Sępów; jako jedni z pierwszych przebyli bagno i poczęli wspinać się na stok wzgórza.

Hawkmoon puścił konia truchtem i wysunął się nieco do przodu, pragnąc jako pierwszy stanąć na drodze zbliżającego się Mikosevaara.

Usłyszał dziki ryk i sępia maska zwróciła w jego stronę rubinowe oczy.

— Aha! Hawkmoon! Pies, który nękał nas przez tak wiele dni! Przekonamy się teraz, czy potrafisz stawać także w uczciwej walce, zdrajco!

— Nie nazywaj mnie zdrajcą, padlinożerco! – odezwał się ze złością Hawkmoon.

Mikosevaar zważył w osłoniętych rękawicami dłoniach swój wielki topór bojowy, ryknął ponownie, po czym rzucił się biegiem w stronę Hawkmoona. Ten zeskoczył z konia i nastawiając tarczę oraz szeroki miecz przygotował się do obrony.

Topór, wykuty łącznie z rękojeścią z metalu, zahuczał o tarczę Hawkmoona, spychając go o krok w tył. Następny cios spadł na krawędź tarczy, wybijając w niej szczerbę. Hawkmoon zakręcił młynka mieczem i trafił z głośnym dzwonieniem w osłonięte ciężką zbroją ramię Mikosevaara, krzesząc snop iskier. Obaj mężczyźni zaparli się stopami, oddając cios za cios, podczas gdy dookoła nich rozwijała się bitwa. Hawkmoon rzucił okiem na von Villacha i ujrzał, że toczy pojedynek z Mygelem Holstem, Arcyksięciem Londry, niemal równym mu wiekiem, ale i siłą. Hrabia Brass toczył walkę z pomniejszych rycerzami, próbując przebić się do Meliadusa, który najwyraźniej zdecydował się

nadzorować przebieg bitwy z pewnej odległości.

Kamargijczycy zmagali się z żołnierzami Mrocznego Imperium na wysuniętych pozycjach, zachowując w odwodzi~ nie naruszone szeregi wojsk.

Tarcza Hawkmoona przemieniła się wkrótce w pogiętą, bezużyteczną stertę żelastwa. Odrzucił ją na bok i chwycił swój miecz oburącz, składając się do sparowania ciosu Mikosevaara, wymierzonego w jego głowę. Obaj mężczyźni stękając z wysiłku skakali dokoła siebie w zrytym gruncie wzgórza, to stosując proste pchnięcia i próbując pozbawić przeciwnika równowagi, to znów tnąc niespodziewanie po nogach lub torsie albo też uderzając z góry czy z boku.

Hawkmoon ociekał potem pod zbroją i ciężko sapał. Nagle podwinęła mu się noga i opadł na jedno kolano, Mikosevaar skoczył do przodu, unosząc topór wysoko, by ściąć głowę swego wroga. Hawkmoon rzucił się na ziemię w jego kierunku, chwycił go za nogi i powalił, po czym obaj potoczyli się w stronę grzęzawiska i sterty martwych koni.

Przeklinając i okładając się nawzajem pięściami wylądowali w błocku. Żaden nie zgubił broni i teraz poderwali się na nogi, szykując do dalszej walki. Hawkmoon odbił się od ciała wielkiego rumaka i z impetem wymierzył cięcie. Gdyby Mikosevaar nie wykonał błyskawicznego uniku, cios ten zapewne zgruchotałby mu kark, a tak sięgnął tylko sępiego hełmu, zrywając go z głowy Moskovianina i odsłaniając gęstą, białą brodę oraz błyszczące szaleństwem oczy. Uniósł w odpowiedzi topór, mierząc w brzuch Hawkmoona, lecz cios został zablokowany przez opadające ze świstem ostrze miecza.

Hawkmoon zwalniając uchwyt na rękojeści, pchnął oburącz w pierś Mikosevaara i tamten runął do tyłu. Kiedy próbował się

wygrzebać z błota, Hawkmoon szybko zacisnął znowu obie dłonie na mieczu, uniósł oręż wysoko i ciął prosto w twarz. Mikosevaar wrzasnął. Ostrze uniosło się i opadło po raz drugi. Asrovak Mikosevaar wrzasnął raz jeszcze i nagle umilkł. Po raz kolejny Hawkmoon ciął swego przeciwnika, aż z głowy tamtego pozostał ledwie rozpoznawalny strzęp. Dopiero wówczas odwrócił się, by popatrzeć na pole bitwy.

Trudno było powiedzieć coś pewnego. Wszędzie dokoła padali ludzie, wydawało się jednak, że w olbrzymiej większości są to Granbretańczycy. Walka w powietrzu dobiegała końca, zaledwie kilka skrzydłolotów krążyło jeszcze po niebie, ściganych przez przeważającą znacznie liczbę flamingów.

Czyżby było możliwe, by Kamarg wygrywał? Hawkmoon odwrócił się szybko, kiedy w jego stronę ruszyło dwóch siepaczy z Legionu Sępów. Bez zastanowienia schylił się i uniósł w górę zakrwawioną maskę Mikosevaara.

— Patrzcie! – zaśmiał się. – Wasz Wielki Konstabl leży martwy! Wasz dowódca nie żyje!

Żołnierze zawahali się, a po chwili odwrócili do niego plecami i poczęli szybko uciekać. W Legionie Sępów nie było tak twardej dyscypliny jak w innych zakonach.

Hawkmoon ciężkim krokiem zaczął kluczyć między ciałami martwych koni; które teraz w znacznej części pokrywały ciała zabitych żołnierzy. W pobliżu toczono niewiele potyczek, dostrzegł jednak na szczycie wzgórza von Villacha kopiającego nieruchome ciało Mygela Holsta, nim zwrócił się, porykując triumfalnie, ku biegnącym naprzeciwko niego z wyciągniętymi włóczniami kilku żołnierzom z zakonu Holsta. Osądził, że von Villach nie potrzebuje pomocy. Ruszył najszybciej jak go było stać w stronę szczytu wzgórza, by stamtąd dokładniej osądzić, jak

się bitwa rozwija.

Jego szeroki miecz trzykrotnie jeszcze unurzał się we krwi, zanim Hawkmoon dotarł do punktu obserwacyjnego i spojrzał w dół na pole. Z olbrzymiej armii, jaką Meliadus przyprowadził przeciwko nim, została nie więcej jak szоста część, podczas gdy szeregi kamarskich odwodów stały nadal nie naruszone.

Połowa chorągwi wielkich rycerzy leżała na ziemi, inne zaciekle atakowano. Zwarte formacje granbretańskiej piechoty zostały poszarpane i Hawkmoon spostrzegł, że stała się rzecz wręcz bezprzykładna: poszczególne zakony przemieszały się całkowicie, co spowodowało ogólne zamieszanie, jako że ludzie przyzwyczajeni byli walczyć ramię w ramię ze swymi braćmi.

Hrabia Brass, wciąż dosiadając konia, walczył z kilkoma szermierzami u stóp wzgórza. W pewnej odległości powiewał sztandar Meliadusa, otoczony przez żołnierzy z Zakonu Wilka. Baron umiał się dobrze zabezpieczyć. Hawkmoon ujrzał teraz, jak kilku dowódców, a wśród nich Adaz Promp i Jarak Nankenseen, biegnie szybko w kierunku swego wodza. Najwyraźniej chcieli wycofać resztę armii, jednak potrzebny był im do tego jego rozkaz.

Domyślał się nawet, co dowódcy powiedzą Meliadusowi – że kwiat ich rycerstwa został zniszczony, a tak wielkie straty są zbyt wysoką ceną za zdobycie drobnej prowincji.

Ale oczekujący w pobliżu heroldowie nie zadęli w trąbki, nie przekazali żadnego sygnału. Meliadus był oporny wobec wszelkich próśb.

Do Hawkmoona podjechał von Villach, dosiadający cudzego konia. Ściągnął z głowy hełm i uśmiechnął się. – Wygląda na to, że ich pokonaliśmy – rzekł. Gdzie jest hrabia Brass?

Hawkmoon wskazał ręką.

— Zbiera srogie żniwo. – Zaśmiał się. – Czy zostajemy na pozycjach, czy przechodzimy do natarcia? Teraz byłoby to dość proste. Sądzę, że wodzowie Granbretańczyków zastanawiają się nad wycofaniem wojsk. Nasz atak mógłby im pomóc w podjęciu decyzji.

Von Villach skinął głową.

— Wyślę gońca na dół do hrabiego. On musi zdecydować.

Odwrócił się do najbliższego jeźdźca i wypowiedział kilka słów. Człowiek ruszył galopem w dół zbocza, wymijając walczące ciągle grupy.

Hawkmoon widział, jak dotarł do hrabiego, a po chwili hrabia Brass popatrzył w ich kierunku, pomachał ręką, po czym zawrócił konia i ruszył z powrotem.

Po upływie dziesięciu minut pojawił się ponownie na szczycie wzgórza.

— Zabiłem pięciu wodzów – rzekł z satysfakcją w głosie. – Ale Meliadus wywinął mi się.

Hawkmoon powtórzył wszystko, co powiedział von Villachowi i hrabia przyznał, że jest to sensowny plan. Wkrótce piechota Kamargu ruszyła powoli do przodu, spychając Granbretańczyków w dół zbocza.

Hawkmoon znalazł świeżego konia i pognął przed siebie, wrzeszcząc dziko, siepał zajadle dokoła, odrąbywał głowy od karków i ramiona od korpusów niczym jabłka od gałęzi. Jego ciało od stóp do głowy pokryła krew zabijanych. Kolczuga zwisała na nim w strzępach, jakby miała zsunąć się na ziemię. Cała jego pierś była pokryta siniakami i drobnymi ranami, ramię silnie krwawiło, a w nodze zagnieździł się dokuczliwy ból, lecz on ignorował to wszystko i ogarnięty żądzą krwi zabijał człowieka za człowiekiem.

— Zdecydowałeś się chyba zabić więcej tych psów niż cała nasza armia wzięta razem – odezwał się do niego w chwili spokoju jadący obok von Villach.

— Nie spocząłbym, aż cała ta równina pokryłaby się krwią Granbretańczyków – odparł ponuro Hawkmoon. – Nie spocząłbym, dopóki wszystko, co żywe w Granbretanie, nie zostałoby zniszczone.

— Twoja żądza krwi dorównuje ich żądzy – rzekł ironicznie von Villach.

— Moja jest większa – zawołał Hawkmoon, wyrywając się do przodu. – Dla nich to tylko zabawa.

I tnąc dalej pogalopował przed siebie.

W końcu okazało się, że dowódcy przekonali Meliadusa, jako że trębacze zasygnalizowali odwrót i resztki granbretańskiej armii odstąpiwszy od Kamargijczyków zaczęły pospiesznie uciekać.

Hawkmoon ściał jeszcze wielu uciekinierów, porzucających w panice broń. Gdy w pewnej chwili jeden z żołnierzy zerwał przed nim maskę, ukazując młodą twarz i zaczął błagać o litość, Hawkmoon wymierzył mu cios, mówiąc: – Nie dbam o żywych Granbretańczyków.

Jednak po jakimś czasie nawet jego zajadłość nieco przygasła. Popędził konia, stanął obok hrabiego Brassa i von Villacha, przyglądając się, jak Granbretańczycy formują na nowo szeregi, aby odmaszerować.

Hawkmoonowi zdawało się, iż słyszy przeraźliwy wrzask wściekłości, dobiegający spomiędzy wycofujących się oddziałów, i że rozpoznaje głos mściwego Meliadusa. Uśmiechnął się.

— Takim czy innym sposobem któregoś dnia znów zetkniemy się z Meliadusem – powiedział.

Hrabia Brass skinął potakująco głową.

— Przekonał się, że nawet w spotkaniu z jego armiami Kamarg pozostał niepokonany, wie także, że nie jesteśmy na tyle głupi, by dać się zwieść jego fortelom, więc na pewno poszuka innej drogi. Wkrótce wszystkie ziemie wokół Kamargu będą należały do Mrocznego Imperium i wtedy będziemy zmuszeni do obrony granic w dzień i w nocy.

Teraz rozumiesz, że Granbretanem powoduje obłąd przemówił Bowgentle do hrabiego, kiedy wieczorem wrócili do Zamku Brass. – Czy widzisz teraz, że jest to złośliwy rak, który zmieni historię i skieruje ją na tory wiodące nie tylko ku zagładzie całej rasy ludzkiej, lecz w końcu także i do zniszczenia każdej inteligentnej, a nawet potencjalnie inteligentnej istoty we wszechświecie?

Hrabia Brass uśmiechnął się.

— Wyolbrzymiasz, Bowgentle. Skąd możesz wiedzieć takie rzeczy?

— Ponieważ moim powołaniem jest między innymi rozumienie sił, które kreują to, co w efekcie nazywamy przeznaczeniem. Powtarzam jeszcze raz, hrabio Brass, Mroczne Imperium to zaraza dla całego wszechświata, o ile nie zostanie powstrzymane na naszej planecie, a zwłaszcza na tym kontynencie.

Hawkmoon siedział z nogami daleko wyciągniętymi przed siebie, starając się jak najskuteczniej uśmierzyć dokuczliwy ból w mięśniach.

— Nie rozumiem kanonów filozoficznych, na których opierasz swoje przekonania, panie – odezwał się – ale instynktownie wyczuwam, że masz rację. Wydaje nam się, że widzimy jedynie nieugiętego wroga, który dąży do rządzenia całym światem, a

podobne narody spotykało się już w przeszłości. Ale w przypadku Mrocznego Imperium jest jeszcze coś innego. Proszę nie zapominać, hrabio Brass, że spędziłem jakiś czas w Londrze i zetknąłem się tam z jeszcze dobitniejszymi dowodami ich obłądu. Wy widzieliście jedynie ich armie, które jak większość armii, walczą zaciekle, gdyż wierzą w zwycięstwo i dążą do niego stosując konwencjonalną taktykę. Ale nie ma nic konwencjonalnego w Królu-Imperatorze z jego nieśmiertelnym ciałem zamkniętym w kuli tronowej, nie ma nic konwencjonalnego w sekretnych regułach, z jakimi traktują siebie nawzajem, a szaleństwo emanuje z każdego zakątka tego miasta...

— Sądysz więc, że nie doświadczyliśmy jeszcze najgorszego, do czego są zdolni? – zapytał poważnie hrabia Brass. – Dokładnie tak – odparł Hawkmoon. – To nie tylko żądza zemsty powoduje, że mordują ich z taką zaciekłością. To coś głębszego, co każe mi widzieć w nich zagrożenie dla sił życiowych w ogóle.

Hrabia Brass westchnął.

— Może i masz rację. Sam nie wiem. Jedynie Magiczna Laska mogłaby rozsądzić, czy masz rację, czy też nie. Hawkmoon podniósł się zeszywniały.

— Nie widziałem Yisseldy od czasu naszego powrotu rzekł.

— Myślę, że położyła się wcześniej do łóżka – odparł Bowgentle.

Hawkmoon był rozczarowany. Oczekiwał powitania z jej strony, pragnął opowiedzieć jej o swoich zwycięstwach. Zaskoczyło go, iż nie usłyszał z jej ust wyrazów uznania. Wzruszył ramionami.

— Cóż, myślę, że uczynię to samo – powiedział. Dobrej nocy, panowie.

Niewiele rozmawiali o swoim sukcesie od chwili powrotu. Doznawali pierwszych reakcji po całodziennych zmaganiach, a zwycięstwo wydawało im się na razie czymś nierzeczywistym. Jutro bez wątpienia powinna ogarnąć ich ogromna radość.

Kiedy wszedł do pogrążonego w ciemnościach pokoju, wyczuł instynktownie coś niezwykłego i zanim zdecydował się podejść do stołu i zapalić stojącą tam lampę, dobył miecza.

Ktoś leżał na jego łóżku i uśmiechał się do niego. Była to Yisselda.

— Słyszałam o twoich dokonaniach – rzekła – i postanowiłam powitać cię w tak intymny sposób. Jesteś wielkim bohaterem, Dorianie.

Hawkmoon poczuł, jak serce w jego piersi zaczyna uderzać mocniej, a oddech staje się szybszy.

— Och, Yisseldo...

Powoli, krok po kroku, zbliżył się do leżącej na brzuchu dziewczyny, a w jego myślach żądza zmagala się ze zdrowym rozsądkiem.

— Kochasz mnie, Dorianie. Wiem o tym – powiedziała miękko.
– Czy chcesz zaprzeczyć?

Nie potrafiłby.

— Ty... – odezwał się nieswoim głosem, starając się uśmiechnąć. – Ty... jesteś... bardzo... śmiała...

— Owszem, ale nie dlatego, że jestem zuchwałą, lecz dlatego, iż ty wydajesz się nadzwyczaj nieśmiały.

— Ja... Ja nie jestem nieśmiały, Yisseldo. Ale z tego nie wyniknie nic dobrego. Ja jestem przeklęty... Czarny Klejnot...

— Czymże jest ten Czarny Klejnot?

Z pewnym ociąganiem opowiedział jej o wszystkim, wyznając, że nie wiadomo jak wiele jeszcze miesięcy magiczne więzy

hrabiego Brassa zdołają trzymać w ryzach siły życiowe Klejnotu oraz że gdy siły te uwolnią się, możnowładcy Mrocznego Imperium będą w stanie zniszczyć jego umysł.

— Widzisz więc sama, że nie wolno ci się wiązać ze mną – zakończył. – Byłoby to najgorsze, co możesz wybrać...

— A co z tym Malagigim? Dlaczego nie chcesz zwrócić się do niego o pomoc?

— Wyprawa musiałaby potrwać kilka miesięcy. Szkoda byłoby poświęcać resztę moich dni na bezowocne poszukiwania.

Usiadł na łóżku obok niej i ujął jej dłoń.

— Jeśli mnie kochasz – odezwała się – podejmiesz to ryzyko.

— Tak – mruknął w zamyśleniu. – Może... Może masz rację...

Objęła go ramieniem i przyciągnęła jego twarz do swojej, całując jego wargi. Było w tym geście tyle spontanicznej czułości, że nie mógł się dłużej opierać. Pocałował ją namiętnie, przytulając się do niej.

— Pojadę do Persji – powiedział się po dłuższej chwili. – Chociaż będzie to niebezpieczna droga. Kiedy tylko przekroczę granice chroniącego mnie Kamargu, wszystkie siły Meliadusa obrócą się przeciwko mnie.

— Wrócisz – rzekła z głębokim przekonaniem. – Ja wiem, że wrócisz. Moja miłość przywiedzie cię z powrotem do mnie.

— A mnie moja do ciebie. – Delikatnie pogłaskał jej twarz. – Tak... Może i tak będzie...

— Jutro – szepnęła. – Wyjedź jutro. Nie trać więcej czasu. A dziś...

Pocałowała go raz jeszcze, a on odwzajemnił się jej z gwałtowną namiętnością.

KSIĘGA TRZECIA

Wielka Historia Magicznej Łaski

Opowieści głoszą, iż Hawkmoon, opuściwszy Kamarg, poleciał na wschód na gigantycznym szkarłatnym ptaku, który przeniósł go o tysiąc mil, lub więcej, w pasmo górskie, oddzielające krainy Greków i Bulgarów...

ROZDZIAŁ I

OLADAHN

Slamingiem – zgodnie z zapewnieniami hrabiego Brassa – było niezwykle łatwo kierować. Reagował, podobnie jak koń, na rozkazy przekazywane za pomocą uprząży przymocowanej do zakrzywionej szyi, a jego ruchy były tak pełne gracji, iż Hawkmoon ani przez chwilę nie obawiał się upadku. Ptak nie chciał latać w czasie deszczu, mimo to pokonywał każdy dystans średnio dziesięć razy szybciej od konia, odpoczywał tylko krótko w południe, spał natomiast, podobnie jak Hawkmoon, nocą.

Wysokie, wyściełane siodło, z zakrzywionym wysokim łękiem, z którego zwieszały się torby z zapasami, było wygodne, a Hawkmoon siedział przymocowany do niego pasami. Długa szyja zwierzęcia sterczała na wprost niego, a wielkie skrzydła uderzały majestatycznie. Szkarłatny ptak przenosił go ponad górami, dolinami, lasami i równinami, a Hawkmoon zawsze pozwalał mu obniżać lot nad rzekami i jeziorami, by mógł znaleźć swoje ulubione pożywienie.

Od czasu do czasu Hawkmoon odczuwał dziwne pulsowanie w głowie, przypominające mu o celu jego wyprawy, ale kiedy skrzydlaty rumak unosił go coraz dalej i dalej na wschód, kiedy otaczające go powietrze stawało się coraz cieplejsze, począł czuć się coraz pewniej, a szanse szybkiego powrotu do Yisseldy rosły według jego ocen.

Mniej więcej w tydzień po opuszczeniu Kamargu przelatywał nad poszarpanym pasmem górskim, szukając miejsca do

lądowania. Było późne popołudnie i ptak poruszał się coraz bardziej ociężale, wciąż obniżając lot, aż ze wszystkich stron otoczyły ich urwiste szczyty, nadal jednak nie było widać nawet skrawka wody. W pewnej chwili Hawkmoon dostrzegł sylwetkę człowieka pośród skalistych zboczy i niemal równocześnie flaming krzyknął, zaczął bić dziko skrzydłami powietrze i zataczać się na boki. Hawkmoon ujrzał długą strzałę sterczącą z boku ptaka. Druga ze świstem wbiła się w szyję flaminga, który z głośnym kraknięciem zaczął gwałtownie opadać ku ziemi. Powietrze raptownie uderzyło Hawkmoona w twarz, kurczowo uchwycił się łąku u siodła. Z przerażeniem ujrzał pędzące z naprzeciwka skały i nagle poczuł silne uderzenie w głowę, po czym pełen obrzydzenia zaczął zapadać się w czarną, bezdenną otchłań.

budził się w panice. Zdawało mu się, że Czarny Klejnot odzyskał swe siły życiowe i zaczyna wgryzać się w jego mózg niczym szczur w worek ziarna. Uniósł obie dłonie do głowy, lecz gdy poczuł guzy i rozcięcia, przypomniał sobie z ulgą, iż jest to ból fizyczny, pochodzący od uderzenia o ziemię. Otaczała go ciemność i odniósł wrażenie, że znajduje się w jaskini. Wysilając wzrok spostrzegł odblaski ognia, płonącego przed wejściem do groty. Podniósł się na nogi i powoli zaczął posuwać się w tamtą stronę.

Tuż przy wyjściu jego stopy zahaczyły o coś i ujrzał leżący na ziemi stosik swego ekwipunku. Wszystko było starannie poukładane – siodło, torby, miecz i sztylet. Schylił się po miecz, powoli wydobył go z pochwy, po czym ruszył dalej.

W twarz uderzył go żar wielkiego ogniska, płonącego o kilka kroków od wejścia. Nad ogniem widniał prymitywnie skonstruowany rożen, na którym obracał się potężny kadłub

flaminga, oskubanego, zasznurowanego oraz pozbawionego głowy i łap. Obok siedział krępy człowieczek, niemal o połowę niższy od Hawkmoona, który od czasu do czasu pociągał za skórzane rzemienie, tworzące skomplikowany mechanizm obracania różna.

Kiedy Hawkmoon wyszedł z jaskini, tamten odwrócił się, krzyknął na widok obnażonego miecza w jego dłoniach i skoczył w bok od ogniska. Książę Kln zdumiał się. Twarz niskiego człowieczka pokryta była drobnym rudawym włosiem, natomiast całe jego ciało wyglądało jakby porośnięte gęściejszym futrem tej samej barwy. Odziany był w skórzany kaftan oraz rozprutą skórzaną spódniczkę, podtrzymywaną szerokim pasem. Na jego nogach widniały buty z miękkiego zamszu, zaś w czapce na głowie tkwiło wetkniętych cztery czy pięć najładniejszych piór flaminga, bez wątplenia wybranych z upierzenia ptaka podczas skubania.

Odskakując na widok Hawkmoona, uniósł w górę dłonie w geście pojednania.

— Wybacz mi, panie. Zapewniam cię, że niezmiernie mi żal. Gdybym wiedział, że ten ptak niesie jeźdźca, rzecz jasna, nigdy bym do niego nie strzelał. Ale ja widziałem jedynie obiad, którego nie mogłem przepuścić...

Hawkmoon opuścił miecz.

— Kimże jesteś? Albo raczej czymże jesteś? – Uniósł dłoń do czoła, jako że żar bijący z ogniska oraz wysiłek wywoływały u niego zawroty głowy.

— Jestem Oladah, krewny Górskich Gigantów – zaczął mały człowieczek – dość dobrze znany w tej części... – Gigantów...? Gigantów...! – Hawkmoon zaśmiał się chrapliwie; zachwiał i padł na ziemię zemdlony.

Kiedy obudził się ponownie, jego nozdrza mile polechtał zapach pieczonego ptaka. Napawał się nim do momentu, gdy uświadomił sobie, cóż to oznacza. Siedział oparty o skałę tuż za wylotem jaskini, lecz jego miecz zniknął. Mały kudłaty człowieczek podbiegł szybko oferując mu ogromne ptasie udko.

— Zjedz, panie, a poczujesz się znacznie lepiej – rzekł. Hawkmoon sięgnął po wielki kawał mięsa.

— Chyba mogę to przyjąć – powiedział – jeśli już obrabowałeś mnie niemal dokładnie ze wszystkiego, czego potrzebowałem.

— Bardzo lubiłeś tego ptaka, panie?

— Nie, ale zagraża mi śmiertelne niebezpieczeństwo, a ten flaming stanowił moją jedyną nadzieję ucieczki Hawkmoon wbił zęby w twarde mięso.

— Ktoś cię ściga?

— Coś mnie ściga. Niezwykły, odrażający los...

I tak oto Hawkmoon opowiedział swoje dzieje istocie, której czyny znacznie przybliżyły oczekujący go los. Snując opowieść zastanawiał się, skąd wzięło się u niego zaufanie do Oladahna. Z jego na wpół ludzkiej twarzy wyzierała niezmierna powaga, wsłuchiwał się, przechylając głowę z jakimś dziwnym respektem, a jego oczy rozszerzały się przy każdym nowym szczególe, tak że Hawkmoon zapomniał o swej zwykłej powściągliwości.

— W ten sposób znalazłem się tutaj – zakończył zajądając pieczeń z ptaka, który miał być moim jedynym ratunkiem.

— To ironiczna opowieść, mój panie – westchnął Oladah, ścierając tłuszcz z wąsów. – Kiedy pomyślę, że to mój łakomy żołądek stał się przyczyną tego ostatniego nieszczęścia, serce mi się kraje. Jutro uczynię wszystko, co w mojej mocy, by naprawić swój błąd i znaleźć dla ciebie jakiegoś wierzchowca, który poniósłby cię dalej na wschód. – Coś, co umie latać?

— Niestety, nie. Kozioł to najlepsze, czym mogę dysponować.

Hawkmoon otworzył już usta, lecz Oladah rozpoczął swoją historię:

— Mam pewne wpływy w tych górach, wszyscy mnie tu traktują jako swoiste kuriozum. Otóż, widzisz, jestem w połowie zwierzęciem, wynikiem związku między awanturniczym młodzieńcem o szczególnych upodobaniach, uchodzącym za czarownika, a Górską Gigancicą. Niestety, zostałem sierotą, jako że matka zjadła ojca pewnej srogiej zimy, a potem sama została zjedzona przez mojego wuja Barkyosa, postrach tych okolic, największego i najwściekłego spośród Górskich Gigantów. Od tamtej pory żyję w osamotnieniu, a jedynym towarzystwem są dla mnie książki ojca. Jestem wyrzutkiem, zbyt dziwnym, by zostać zaakceptowanym czy to przez rasę ojca, czy też matki, i żyję tak, jak widzisz. Gdybym nie był taki mały, z pewnością także zostałbym już dawno zjedzony, chociażby przez wuja Barkyosa...

Wyraz twarzy Oladahna ogarniętego melancholią był dla Hawkmoona tak komiczny, iż w jego sercu nie zostało już nawet śladu żalu. Z drugiej strony czuł się niezwykle zmęczony, tak z powodu żaru bijącego od ogniska, jak i po zbyt obfitym posiłku.

— Wystarczy, drogi Oladahnie. Zapomnijmy o wszystkim, czego nie da się naprawić, i chodźmy spać. Rano musimy znaleźć jakiegoś nowego wierzchowca, żeby zaniósł mnie do Persji.

Spali mocno, a kiedy obudził ich świt, ujrzeni płonący ciągle pod różnem z korpusem ptaka ogień oraz grupę mężczyzn odzianych w futra i żelazo, pożywiających się z wyraźną uciechą.

— Zbóje! – wrzasnął Oladah, podrywając się na nogi. – Nie powinienem był zostawiać płonącego ognia! – Gdzie schowałeś mój miecz? – zapytał szybko Hawkmoon, ale dwóch mężczyzn,

cuchnących ostro starym zwierzęcym tłuszczem, zmierzało już w ich kierunku, wyciągając prymitywne szable. Hawkmoon podniósł się powoli na nogi, gotów bronić się wszelkimi możliwymi sposobami, ale Oladahń był szybszy.

— Znam cię, Rekner – odezwał się, wskazując na największego ze zbójów. – Powinieneś wiedzieć, że jestem Oladahń z Górskich Gigantów. Jak już skończycie się napychać, wynoście się, bo inaczej moi krewniacy was wykończą.

Rekner uśmiechnął się, niewzruszony, po czym zaczął dłubać między zębami brudnym paznokciem.

— Zgadza się, słyszałem o tobie, najmniejszy z Gigantów, ale nie widzę powodów, dla których miałbym się bać, chociaż słyszałem też, że okoliczni mieszkańcy unikają ciebie. Ale chłopie to nie to samo co zbójnicy, nie? Cicho bądź, bo inaczej zabijemy cię powoli, a nie od razu.

Oladahń jakby się skulił w sobie, ale nadal spoglądał na herszta zbójników hardym wzrokiem.

— Powiedz nam teraz, jakie to skarby ukrywasz w tej swojej jaskini – zaśmiał się Rekner.

Oladahń zaczął kiwać się z boku na bok i mruczeć coś cicho do siebie, jak gdyby ciężko przestraszony. Hawkmoon spoglądał to na niego, to na herszta zbójów, zastanawiając się, czy starczyłoby mu czasu na to, żeby skoczyć w głąb groty i odnaleźć miecz. Zawodzenie Oladahna stawało się coraz głośniejsze, natomiast Rekner zamarł bez ruchu z uśmiechem na wargach, a jego oczy, w które Oladahń uporczywie wbijał wzrok, stały się szkliste. Nagle mały człowieczek wyrzucił przed siebie obie ręce i wskazując na herszta przemówił zimnym głosem:

— Śpij, Rekner!

Rozbójnik padł sztywny na ziemię, jego ludzie, przeklinając,

rzucili się do przodu, lecz uniesione dłonie Oladahna zatrzymały ich na miejscu.

— Strzeżcie się mojej mocy, padlinożercy. Jestem synem czarownika!

Zawahali się, spoglądając na leżącego twarzą do ziemi herszta. Hawkmoon popatrzył z podziwem na futrzastą istotę, trzymającą w szachu bezwzględnych zbójców, lecz po chwili zanurkował w głąb jaskini, gdzie szybko znalazł swój miecz. Zapiął na biodrach pas, przytrzymujący miecz i sztylet, po czym obnażywszy ostrze i wysunąwszy je przed siebie, zajął miejsce u boku Oladahna.

— Zabierz prowiant – szepnął do niego samym kącikiem usta mały człowieczek. – Ich rumaki stoją na uwięzi u stóp wzgórza. Musimy skorzystać z nich podczas ucieczki, bo Rekner może ocknąć się w każdej chwili, a wtedy już nie będę miał nad nim żadnej władzy.

Hawkmoon przyniósł torby i obaj z Oladahnem poczuli wycofywać się tyłem w dół zbocza, a ich stopy zachręściły na żwirze i kamieniach. Rekner zaczął się poruszać. Ryknął głośno, po czym usiadł. Zbóje rzucili się, by pomóc mu podnieść się na nogi.

— Teraz – mruknął Oladahn, odwrócił się i zaczął biec. Hawkmoon ruszył za nim i ku swemu zdumieniu dojrzał sześć kozłów wielkości kucyka, z których każdy nosił siodło z owczej skóry. Oladahn wskoczył na najbliższe zwierzę i przytrzymał uzdę drugiego dla Hawkmoona. Książę Kln zawahał się przez moment, po czym uśmiechnął krzywo i wdrapał na siodło. Rekner i jego zbóje pędzili już w dół zbocza w ich kierunku. Ostrzem miecza Hawkmoon poprzecinał więzy pozostałych zwierząt i rzucili się do ucieczki.

— Jedź za mną! – krzyknął Oladahn, kierując kozła w stronę

wąskiej ścieżki.

Jednak ludzie Reknera dopadli Hawkmoona i jego miecz zadźwięczał o ich tępe klingi, gdy natarli na niego z impetem. Jednego przebił na wylot, drugiego trafił w bok i zamierzał właśnie zadać cios w głowę Reknera, kiedy nagle kozioł skoczył do przodu w pogoni za odjeżdżającym małym człowieczkiem, a zbójnicy pobiegli za nim, klnąc na cały głos.

Kozioł poruszał się seriami skoków, trzęsąc niemiłosiernie jeźdźcem, ale wkrótce dotarli do ścieżki i ruszyli krętym szlakiem okrążającym szczyt góry, a okrzyki zbójców za ich plecami zaczęły stopniowo przycichać. Oladahń odwrócił się z triumfalnym uśmiechem na ustach.

— No i zdobyliśmy wierzchowce, prawda, lordzie Hawkmoon? O wiele łatwiej, niż się spodziewałem. To dobry znak! Jedź za mną, wyprowadzę cię na właściwą drogę.

Hawkmoon uśmiechnął się w duchu sam do siebie. Towarzystwo Oladahna okazało się podniecające, a jego zaciekawienie osobowością małego człowieczka, połączone z rosnącą wdzięcznością oraz respektem dla sposobu, w jaki tamten ich ocalił, spowodowały, iż Hawkmoon niemal zupełnie zapomniał, że to właśnie ów potomek Górskich Gigantów przyczynił się do jego obecnych kłopotów.

Oladahń towarzyszył mu w podróży przez kilka dni. Przez cały ten czas przebijali się przez góry, aż w końcu dotarli do rozległej żółtej równiny. Tu Oladahń zatrzymał się.

— Musisz podążać w tamtym kierunku – rzekł, wskazując ręką.

— Dziękuję ci – odparł Hawkmoon, wpatrzony w rozciągającą się przed nim Azję. – Przykro mi, że musimy się rozstać.

— Aha! – Oladahń uśmiechnął się, drapiąc czerwone futro na

swym policzku. – Podzielam to uczucie. Chodź, pojedę z tobą jeszcze kawałek, żeby dotrzymać ci towarzystwa na równinie.

Wyrzekłszy to, pognął kozła dalej przed siebie. Hawkmoon zaśmiał się głośno, a po chwili wzruszył ramionami i podążył za nim.

ROZDZIAŁ II

KARAWANA AGONOSVOSA

3aledwie wydostali się na równinę, kiedy zaczął padać deszcz. Kozły, które tak dobrze radziły sobie na górskich ścieżkach, teraz, na miękkich gruntach, okazały się niezbyt pożyteczne i wlokły się powoli. Wędrowali tak przez miesiąc, owinięci szczelnie w płaszcze, drżąc od wilgoci, przenikającej ich aż do szpiku kości. W dodatku Hawkmoon często odczuwał pulsowanie w głowie. Ilekroć nadchodziło, przestawał odzywać się do zatroskanego Oladahna, chował głowę w ramionach, zaciskał zęby, a spoglądające z jego pobladłej twarzy oczy przepełnione udręką wbijały się w dal. Wiedział wówczas, że gdzieś tam w Zamku Brass siły Czarnego Klejnotu poczynają zrywać więzy nałożone przez hrabiego i tracił nadzieję, że ujrzy jeszcze Yisseldę.

Deszcz padał bez przerwy, miotany zimnym wiatrem, i przez falującą zasłonę wody Hawkmoon widział przed sobą nie kończące się mokradła, z rozrzuconymi gdzieniegdzie kępami kolcolistu i czarnych, karłowatych drzew. Nie miał pojęcia, gdzie się znajdują, ponieważ przez większość czasu niebo zakrywały chmury. Jedyłą wątpliwą wskazówką co do kierunku, w jakim zmierzali, był dziwny sposób, w jaki rosły krzewy w tej części świata – niemal bez wyjątku pochylały się silnie ku południowi. Nie spodziewał się °trafić na tego typu krainę tak daleko na wschodzie, domyślał się jednak, że jej charakterystyczny wygląd był wynikiem jakiegoś zdarzenia, które musiało mieć miejsce w

czasie Tragicznego Millennium.

Hawkmoon zsunął mokre włosy, opadające mu na oczy, wyczuł przy tym twardą powierzchnię Czarnego Klejnotu, tkwiącego w jego ~ czaszce. Zadrżał, kiedy popatrzył na wymizerowaną twarz Oladahna, i natychmiast znów zapatrzył się w zasłone deszczu. W oddali przed nimi majaczyło ciemne pasmo, mogące oznaczać jakiś las, w którym wreszcie mogliby znaleźć schronienie przed deszczem. Wąskie kopytka kozłów zaplątywały się w mokrej trawie. Hawkmoon poczuł pulsujące klucie w głowie, jego czaszkę ogarnął tępy ból, a żołądek opanowały mdłości. Stęknął, przyciskając ramię do skroni, a Oladahn popatrzył na niego z milczącym współczuciem.

Po dłuższym czasie dotarli do lasu niskich drzew. Wydawało im się, że ostatni odcinek drogi pokonywali wyjątkowo powoli, zmuszeni do omijania tworzących się wszędzie bajor wypełnionych mętną wodą. Konary i gałęzie były zdeformowane, rosły jakby w dół, ku ziemi, a nie w górę. Kora drzew miała barwę czarną lub ciemnobrązową, a o tej porze roku w ogóle nie było listowia. Mimo wszystko korony tworzyły miejscami gęstwiny, którą deszcz przenikał z trudnością. Skraj lasu otaczał rów wypełniony wodą, chroniący drzewa przed zatopieniem.

Tego wieczora rozbili obóz na stosunkowo suchym gruncie i chociaż Hawkmoon czynił pewne wysiłki, by pomóc Oladahnowi rozniecić ogień, to jednak wkrótce zmuszony był usiąść, opierając plecy o pień, dyszał ciężko i ścisnął głowę rękoma, podczas gdy mały człowieczek sam uwijał się przy pracy.

Następnego ranka wyruszyli poprzez las. Oladahn prowadził wierzchowca Hawkmoona, ponieważ księżę Kln z trudem utrzymywał się na grzbiecie zwierzęcia. Jeszcze przed południem usłyszeli gwar ludzkich głosów i skierowali kozły w tamtą stronę.

Była to swego rodzaju karawana, przedzierająca się przez błoto i kałuże pomiędzy drzewami. Znajdowało się w niej około piętnastu wozów, krytych nasiąkniętymi wodą jedwabnymi, szkarłatnymi, żółtymi, zielonymi i niebieskimi baldachimami. Muły i woły czyniły ogromne wysiłki, by uciągnąć wozy, ich napięte mięśnie grały pod skórą, ale kopyta ślizgały się w błocie. Powietrze wypełniały okrzyki woźniców poganających zwierzęta; szli ściskając w dłoniach bicz i zaostrome tyczki. Inni ludzie popychali koła wozów, jeszcze inni napierali z całych sił na tylne burty furgonów. Mimo wszystkich tych wysiłków ledwie pełzli do przodu.

Nie tyle sam widok karawany przyciągnął wzrok obu podróżników, ile wygląd ludzi. Hawkmoon, chociaż wzrok mu się nadal mącił, zdumiał się ujrawszy ich.

Bez wyjątku były to groteskowe sylwetki. Karły i karzełki, giganty i grubasy, ludzie porośnięci całkowicie futrem (podobnie jak Oladahn, tyle że na tamtych aż nieprzyjemnie było patrzeć), inni biali i bezwłosi, jeden z trzema rękoma, inny tylko z jedną, dwoje ludzi -~ mężczyzna i kobieta zrośniętych stopami, dzieci z wielką brodą, hermafrodyty z organami obu płci, inni o skórze plamistej jak u węża, jeszcze inni z ogonami, ze zniekształconymi kończynami i wypaczonymi korpusami, twarze o brakujących lub na odwrót – nieproporcjonalnie wielkich częściach; niektórzy garbaci, niektórzy pozbawieni szyi, inni ze skróconymi ramionami i nogami, jeden nawet z purpurowymi włosami i rogiem wyrastającym ze środka czoła. Jedynie ich oczy były do siebie bardzo podobne, we wszystkich widniała ta sama tępa desperacja, popychająca ową dziwną karawanę krok za krokiem przez zalesione mokradła.

Zdawało im się, że znaleźli się w piekle i spoglądają na orszak

potępionych.

Las, pachnący wilgotną korą i mokrą pleśnią, wypełnił się jeszcze innymi, trudnymi do zidentyfikowania zapachami. Ostra woń ludzi i zwierząt mieszała się z wonią perfum i korzeni, ale oprócz tego czuć było w powietrzu jeszcze coś innego, dziwnego, co sprawiło, że Oladahń wzdrygnął się. Hawkmoon uniósł się na grzbiecie wierzchowca i zaczął węszyć niczym zaniepokojony wilk. Popatrzył na Oladahna i zmarszczył brwi. Zdeformowane stworzenia jakby w ogóle nie zauważyły nowo przybyłych i w milczeniu kontynuowały swą pracę. Słysząc było jedynie skrzypienie kół wozów, parskanie zwierząt i mlaskanie kopyt w błocie.

Oladahń ściągnął lejce kozła, jak gdyby chciał wyminąć karawanę, lecz Hawkmoon nie poszedł za jego przykładem. W zamyśleniu nadal przyglądał się cudacznej procesji.

— Chodźmy, lordzie Hawkmoonie – odezwał się Oladahń. – Wyczuwam tu jakieś niebezpieczeństwo.

— Musimy określić nasze położenie. Musimy dowiedzieć się, gdzie jesteśmy i jak daleka droga przez równinę nas jeszcze czeka – odparł Hawkmoon chrapliwym szeptem. – Poza tym nasze zapasy są już na wyczerpaniu...

— Możemy spróbować zapolować w tym lesie. Hawkmoon pokręcił głową.

— Nie. Ponadto wydaje mi się, że wiem, do kogo należy ta karawana.

— Do kogo?

— Do człowieka, o którym słyszałem, chociaż nigdy go nie spotkałem. Do mojego ziomka, a nawet krewniaka, który opuścił Klnn jakieś dziewięć wieków temu.

— Dziewięć wieków? Niemożliwe!

— Wcale nie. Agonosvos jest nieśmiertelny albo prawie nieśmiertelny. Jeśli to naprawdę on, pomoże nam, ponieważ wciąż jestem jego prawowitym władcą...

— Wierzysz, panie; w jego lojalność wobec Kln po upływie dziewięciuset lat?

— Zobaczymy.

Hawkmoon skierował wierzchowca w stronę czoła karawany, gdzie kołysał się wysoki furgon pokryty złotym jedwabiem, o burtach rzeźbionych w skomplikowany wzór i pomalowanych jaskrawo we wszystkie kolory tęczy. Zakłopotany Oladah powoli ruszył za nim. Na przedzie furgonu, usadowiony na tyle głęboko, by uniknąć przemoczenia przez siąpiący deszcz, siedział człowiek okutany w futro z niedźwiedziej skóry, na głowie miał prosty czarny hełm, zakrywający całą twarz z wyjątkiem oczu. Poruszył się i popatrzył uważnie na Doriana Hawkmoona, a spoza hełmu dobiegł wysoki, głuchy dźwięk.

— Lordzie Agonosvos – odezwał się Hawkmoon jestem księciem Kln, ostatnim z rodu panującego od tysiąca lat.

— Hawkmoon, widzę przecież – odparł tamten basowym, lakonicznym tonem. – Bezdomy teraz, co? Granbretańczycy zajęli Kln, czyż nie tak?

— Tak...

— A więc obaj jesteśmy banitami. Mnie wypędził twój przodek, a ciebie zdobywca.

— Niechże i tak będzie. Ale wciąż jestem prawowitym władcą, a tym samym twoim panem. – Hawkmoon o wymęczonej udreką twarzy wpatrywał się śmiało w tamtego.

— Panem, powiadasz? Książę Dietrich, wyganiając mnie na tułaczkę po dzikich krainach, jednocześnie zrzekł się władzy nade mną.

— To nieprawda, sam wiesz dobrze o tym. Żaden mieszkaniec Kln nie może się sprzeciwiać woli swego księcia.

— Nie może? – Agonosvos zaśmiał się cicho. – Na pewno nie może?

Hawkmoon chciał już zawrócić swego kozła, lecz Agonosvos uniósł w górę szczupłą dłoń o wysmukłych palcach i kościstobiałej barwie.

— Zostań. Obraziłem cię i winien jestem zadośćuczynienie. Czym mogę służyć?

— Czy przyznajesz, że jestem twym władcą? – .Przyznaję, iż byłem niegrzeczny. Wyglądasz na zmęczonego. Zatrzymam karawanę i ugoszczę cię. A co z twoim sługą?

— To nie sługa, lecz przyjaciel. Oladah z Gór Bułgarskich.

— Przyjaciel? Nie z twojej rasy? No cóż, niech dołączy do nas.

Agonosvos wychylił się ze swego furgonu i apatycznie rozkazał ludziom zatrzymać wozy. Ci w jednej chwili odprężyli się i stanęli w miejscu, zwieszając zmęczone ramiona, mimo to w ich oczach nadal tliła się ta sama tępa desperacja.

— Co myślisz o mojej kolekcji? – zapytał Agonosvos, kiedy zsiadli już z kozłów i zagłębili się w mrocznym wnętrzu powozu. – Kiedyś takie dziwadła bawiły mnie, ale teraz uważam je za tępą stworzenia, które muszą pracą zasłużyć na swój byt. Posiadam co najmniej po jednym egzemplarzu niemal każdego rodzaju. – Popatrzył na Oladahna. – Włączając w to i twój. Niektórych z nich spłodziłem sam.

Oladah zaczął się niespokojnie wiercić. Z głębi wozu było nienaturalne ciepło, chociaż nie było tam widać żadnego piecyka czy innego urządzenia ogrzewczego. Agonosvos nalał im z niebieskiej tykwy wina, mającego również głęboką, połyskliwą, błękitną barwę. Wiekowy wygnaniec z Kln wciąż miał na głowie

czarny, pozbawiony ozdób hełm, spoza którego spojrzenie czarnych, ironicznie patrzących oczu zdawało się taksować Hawkmoona.

Ten starał się za wszelką cenę sprawiać wrażenie, że jest w pełni sił, lecz było jasne, że Agonosvos odgadł prawdę. – Dzięki temu poczujesz się lepiej, mój panie – rzekł, wręczając mu złoty puchar pełen wina.

Trunek rzeczywiście ożywił goi wkrótce tępy ból w głowie ustał. Agonosvos zapytał, jakim sposobem znalazł się w tych stronach, po czym Hawkmoon opowiedział mu większą część swej historii.

— Tak więc zwracasz się do mnie o pomoc, co? – rzekł Agonosvos. – W imię naszego dawnego pokrewieństwa, tak? Dobra, przemyślę to. Tymczasem zrobię wam miejsce w jednym z wozów, byście mogli odpocząć. Później porozmawiamy o naszych sprawach.

Ale Hawkmoon i Oladah n nie zasnęli od razu. Siedzieli zawinięci w jedwabie i futra, które pożyczył im Agonosvos, i rozmawiali na temat dziwnego czarownika.

— Niezwykle przypomina mi tych parów Mrocznego Imperium, o których mi opowiadałeś – rzekł Oladah. Wydaje mi się, że on ma złe zamiary w stosunku do nas. Może pragnie zemścić się na tobie za krzywdę, jaką jego zdaniem wyrządził mu twój przodek? Może chce mnie dołączyć do swojej kolekcji? – wzdrygnął się.

— Tak – mruknął w zamyśleniu Hawkmoon. – Ale byłoby nierozsądnie rozzłościć go bez powodu. Może być nam przydatny. Cóż, prześpijmy ten problem.

— Śpij czujnie – ostrzegł go Oladah.

Ale Hawkmoon spał jak kamień, a kiedy się obudził, był

związany grubymi skórzanymi rzemieniami,

owiniętymi ściśle dokoła całego ciała i silnie ściągniętymi. Szarpnął się gwałtownie, wbijając wzrok w zagadkowy hełm okrywający twarz jego nieśmiertelnego ziomka. Agonosvos zachichotał cicho.

— Słyszałeś o mnie, ostatni z Hawkmoonów, nie wiedziałeś jednak wszystkiego, co powinieneś być wiedzieć. Otóż wiele lat spędziłem w Londrze, nauczając lordów Granbretanu moich sekretów. Jesteśmy od dawna sprzymierzeńcami, Mroczne Imperium i ja. Baron Meliadus mówił mi o tobie, kiedy ostatnio się z nim widziałem. Zapłaci mi każdą cenę, jakiej zażądam, za twoje żywe ciało. – Gdzie jest mój przyjaciel?

— Ten futrzasty stwór? Uciekł w mrok nocy, kiedy usłyszał, że się zbliżamy. Ci zwierzoludzie są wszyscy tacy sami, bojaźliwi i niewierni z nich przyjaciele.

— A więc masz zamiar przekazać mnie baronowi Meliadusowi?

— Zrozumiałeś mnie bezbłędnie. Tak, właśnie taki mam zamiar. Zostawię tę nędzną karawanę, żeby sama sobie jakoś radziła na drodze, aż do mojego powrotu. My pojedziemy na rącznych rumakach, na specjalnych wierzchowcach, które trzymałem na taką właśnie okazję. Wysłałem już gońca z wiadomością dla barona o mojej zdobyczy. Ej, wy! Wynieście go stąd!

Na rozkaz Agonosvosa doskoczyły do Hawkmoona dwa karły, uniosły go swymi długimi i silnie umięśnionymi ramionami, po czym wytaszczyły z furgonu na szare światło wczesnego poranka.

Nadal siąpił deszcz i przez jego zasłonę Hawkmoon dostrzegł dwa wielkie konie, niezwykle mocnej budowy, o inteligentnych

oczach i połyskliwej, niebieskiej barwie. Nigdy przedtem nie widział tak wspaniałych zwierząt.

— Sam je spłodziłem – rzekł Agonosvos. – W tym wypadku nie dla cudaczności, ale dla ich szybkości. Ty i ja wkrótce znajdziemy się w Londrze.

Zachichotał ponownie, a Hawkmoona wciągnięto na grzbiet jednego z rumaków, po czym przywiązano rzemieniami do strzemion.

Sam wspiął się na siodło drugiego konia, chwycił w garść uzdę rumaka księcia i ruszył galopem. Hawkmoona zaskoczyła łagodność ruchów wierzchowca. Poruszał się niezwykle płynnie, galopując niemal z tą samą szybkością, z jaką leciał flaming. Lecz o ile ptak unosił go w stronę wybawienia, o tyle koń z powrotem ku zgubie. Na wpół zamroczony umysł Hawkmoona podsunął mu tylko, iż los jego jest beznadziejny.

Galopowali dłuższy czas poprzez błotniste podłoże lasu. Twarz Hawkmoona pokryła się grubą warstwą błota i dojrzeć cokolwiek mógł jedynie wyginając szyję daleko do tyłu i mrugając z całej siły.

Po jakimś czasie usłyszał głośnie okrzyki i przekleństwa Agonosvosa.

— Z drogi! Zejdź mi z drogi!

Hawkmoon usiłował dojrzeć coś z przodu, ale widział tylko zad konia Agonosvosa oraz rąbek płaszcza jeźdźca. Jak przez mgłę usłyszał drugi głos, ale nie był w stanie rozróżnić słów.

— Aaach! żeby Kaldren wyżarła twoje oczy! – Zdawało mu się, że Agonosvos zachwiał się w siodle. Oba konie znacznie zwolniły, po czym zatrzymały się. Hawkmoon ujrzał, jak Agonosvos pochyła się do przodu; po czym wali w błoto, pełza nieporadnie i usiłuje podnieść się na nogi. Z jego boku sterczała strzała.

Hawkmoon, bezbronny, zaczął się zastanawiać, jakież to nowe niebezpieczeństwo mogło się pojawić. Czy miał zginąć tu, na miejscu, czy też jednak w zamku Króla Huona?

W zasięgu jego wzroku pojawiła się drobna sylwetka, przeskoczyła zwijające się ciało Agonosvosa i poczęła rozcinać więzy Hawkmoona. Ten po chwili zsunął się z siodła, przytrzymując się strzemion i zaczął rozmasowywać zdrętwiałe nogi i ramiona. Oladahń uśmiechnął się do niego.

— Znajdziesz swój miecz w bagażu czarownika – rzekł. Hawkmoon odpowiedział mu uśmiechem.

— Myślałem, że uciekłeś z powrotem w swoje góry. Oladahń otworzył już usta do odpowiedzi, ale Hawkmoon wyrzucił z siebie szybkie ostrzeżenie:

— Agonosvos!

Czarownikowi udało się stanąć na nogach i chwiejnym krokiem, ściskając w garści strzałę sterczącą z boku, ruszył ku małemu człowieczkowi z gór. Hawkmoon, zapomniawszy o bólu, podbiegł do konia czarownika i zaczął przerzucać zrolowany przy siodle bagaż, aż znalazł swój miecz. Oladahń tarzał się już w błocie w uścisku Agonosvosa.

Hawkmoon podskoczył do nich, zawahał się jednak, nie chciał bowiem ryzykować zranienia przyjaciela wymierzając cios czarownikowi. Pochylił się, chwycił Agonosvosa za ramię i odciągnął rozwścieczonego mężczyznę do tyłu. Usłyszał jakby warknięcie dobiegające spod hełmu, po czym Agonosvos dobył miecza z pochwy. Ze świstem rozcinanego powietrza wymierzył cios. Hawkmoon, wciąż niezbyt pewnie stojący na nogach, zasłonił się, lecz impet odrzucił go do tyłu. Czarownik natarł ponownie.

Hawkmoon odbił miecz, a następnie sam zamierzył się, aby

zadać cios w głowę Agonosvosa, ale słabe pchnięcie chybiło celu i ledwie starczyło mu czasu na sparowanie kolejnego uderzenia. Tym razem wykorzystał odsłonięcie się czarownika i z całej siły pchnął ostrzem w brzuch tamtego. Czarownik wrzasnął i odskoczył do tyłu na dziwnie sztywnych nogach, zaciskając dłonie na głównej rękojeści miecza, który księżę Kln wypuścił z rąk. Po chwili rozłożył szeroko ramiona, zaczął coś mówić, lecz padł w tył, rozchlapując ciemną wodę płytkiej kałuży.

Hawkmoon chwiejnie oparł się o pień drzewa, a powracające krążenie krwi nasiliło ból w rękach i nogach. Oladahn, którego trudno było teraz rozpoznać, podniósł się z błota. Garść strzał wysypała się z jego kołczanu, zaczął je więc zbierać, przyglądając się grotom.

— Niektóre zniszczone, ale szybko je naprawię – rzekł. – Skąd je wzięłeś?

— Ostatniej nocy zdecydowałem się dokonać osobistej inspekcji obozu Agonosvosa. Znalazłem łuk i strzały w jednym z furgonów i pomyślałem, że mogą się przydać. Kiedy wracałem, zauważyłem, jak Agonosvos wchodzi do naszego wozu i odgadłem jego zamiary. Ukryłem się więc, a potem podążyłem za wami.

— Ale jak ci się udało dogonić tak szybkie konie? zapytał Hawkmoon.

— Znalazłem jeszcze szybszego sojusznika. – Oladahn uśmiechnął się i wskazał między drzewa. Naprzeciw nim wyszła groteskowa istota, o nieprawdopodobnie długich nogach, chociaż reszta ciała miała normalne proporcje. To jest Vlespeen. On także nienawidzi Agonosvosa i z chęcią zgodził się mi pomóc.

Vlespeen popatrzył na nich z góry.

— Zabiłeś go – powiedział. – To dobrze.

Oladahń zaczął przeglądać bagaże Agonosvosa i po chwili wyciągnął rolkę pergaminu.

— Mapa. A zapasów wystarczy dla nas na całą drogę do wybrzeża – rzekł, rozwijając arkusz. – To nie tak daleko. Popatrz.

Pochylili się nad mapą i Hawkmoon oszacował, iż dzieli ich niewiele więcej niż sto pięćdziesiąt kilometrów od wybrzeży Morza Trytońskiego. Vlespeen począpał w stronę leżącego Agonosvosa, chcąc chyba nasycić się widokiem martwego ciała. W chwilę później usłyszeli jego krzyk. Obejrzeli się szybko i ujrzeli czarownika wymachującego mieczem, który go wcześniej przebił, i posuwającego się na sztywnych nogach w stronę długonogiego człowieka. Miecz wbił się wprost w brzuch Vlespeena, jego nogi ugięły się, potem złożyły dziwnie, jak u drewnianego pajaca, i legł bez ruchu. Hawkmoon zamarł w przerażeniu. Spod hełmu dobiegł cichy chichot.

— Głupcy! Żyłem przez dziewięćset lat. Przez ten czas nauczyłem się, jak oszukiwać wszystkie rodzaje śmierci. Hawkmoon skoczył bez zastanowienia, zdając sobie sprawę, że jest to jedyna szansa ocalenia życia. Nawet jeśli czarownik uporął się z ciosem miecza, który powinien być śmiertelny, to był jednak wyraźnie osłabiony. Zwarli się obaj na brzegu wielkiego bajora, zaś Oladahń zaczął podskakiwać dookoła nich, aż wreszcie udało mu się skoczyć na kark czarownika i ściągnąć ciasny hełm z jego głowy. Agonosvos zawył, Hawkmoon zaś poczuł, jak serce skacze mu do gardła, kiedy ujrział obnażoną nagle białą, pozbawioną ciała czaszkę. Miał przed sobą oblicze wiekowego trupa – trupa, z którego już dawno temu robaki obżarły całe ciało. Agonosvos szybko zakrył czaszkę dłońmi i rzucił się do tyłu.

Hawkmoon pochwywszy miecz błyskawicznie dosiadł wielkiego, niebieskiego rumaka. Dobiegł go jeszcze głos,

rozbrzmiewający spomiędzy drzew.

— Nie zapomnę ci tego, Dorianie Hawkmoonie. Uczynię jeszcze z ciebie zabawkę dla barona Meliadusa. A sam będę tam, żeby wszystko widzieć!

Hawkmoon wzdrygnął się i popędził konia na południe, gdzie jak wskazywała mapa, powinno znajdować się Morze Trytońskie.

W dwa dni później niebo roz pogodziło się i na tle błękitu pojawił się żółty krąg słońca. Przed nimi natomiast zamajaczyło miasto leżące nad brzegiem połyskującego morza, gdzie mieli nadzieję dostać się na pokład statku zmierzającego do Turcji.

ROZDZIAŁ III

RYCERZ W CZERNI I ZŁOCIE

Ciężki tracki statek handlowy sunął poprzez zimne wody oceanu, rozcinając dziobem spienione fale, z pojedynczym łacińskim żaglem rozciągniętym na silnym wietrze niczym skrzydło ptaka. Kapitan statku, w ozdobionym złotymi wstążkami kapeluszu oraz obszytym galonami żakiecie, którego długie poły przymocowane były do nóg złotymi tasiemkami, stał wraz z Hawkmoonem oraz Oladahnem na rufie. Kapitan wskazał palcem dwa olbrzymie, błękitne konie, przywiązane na dolnym pokładzie.

— Piękne zwierzęta, panowie. Nigdy nie widziałem podobnych w tych rejonach – rzekł, drapiąc się po swej spiczastej brodzie. – Czy nie sprzedalibyście ich? Jestem współwłaścicielem tego statku i mógłbym zaproponować dobrą cenę. Hawkmoon pokręcił głową.

— Te konie są dla mnie o wiele więcej warte, niż jakiegokolwiek bogactwa.

— Mogę w to uwierzyć – odparł kapitan takim tonem, jakby powątpiewał we własne słowa.

Zadarł głowę do góry, kiedy marynarz w bocianim gnieździe zawołał go, machając rękoma i wskazując na zachód.

Hawkmoon popatrzył szybko w tamtą stronę i dostrzegł trzy niewielkie żagle widoczne tuż nad linią horyzontu. Kapitan uniósł do oka lunetę.

— Na Rakara, okręty Mrocznego Imperium! – powiedział,

przekazując lunetę Hawkmoonowi. Ten ujrzał teraz wyraźnie czarne żagle okrętów. Na każdym z nich widniał znak rekina, symbol floty wojennej Imperium.

— Czy mogą nas zaatakować? – zapytał.

— Oni atakują wszystkich, którzy nie pływają pod ich banderą – odrzekł ponuro kapitan. – Możemy się tylko modlić, żeby nas nie dostrzegli. Morze zaczyna się roić od ich okrętów. Jeszcze rok temu... – przerwał, by wykrzyknąć kilka rozkazów swoim marynarzom. Kiedy na wanty wciągnięto sztaksle, statek wyraźnie skoczył do przodu.

— Jeszcze rok temu – kontynuował kapitan – kręciło się ich tu zaledwie kilka, a i te zawsze zachowywały się spokojnie. Teraz dominują na wszystkich morzach. Ich armie można spotkać w Turcji, Syrii, Persji, niemal wszędzie. Wzniesają powstania, wspierają lokalne rewolty. Sądzę, że tak jak opanowali Zachód, ogarną cały Wschód swoimi wpływami, i to już za kilka lat.

Wkrótce okręty Mrocznego Imperium zniknęły za horyzontem i kapitan z wyraźną ulgą głośno westchnął.

Nie zaznam spokoju, dopóki nie ujrzę portu powiedział.

Ujrzeli go w południe, ale zmuszeni byli do rzucenia kotwicy u wejścia i czekania do rana, kiedy na fali przyływu mogli wpłynąć do portu i zacumować przy nabrzeżu.

Niewiele później pojawiły się trzy okręty wojenne Mrocznego Imperium, Hawkmoon i Oladahn uznali zatem za stosowne zakupić takie zapasy żywności, jakie były akurat dostępne, i pognać według mapy na wschód, w stronę Persji.

Tydzień później dzięki silnym rumakom minęli miasto Ankarę, przeprawili się przez rzekę Kizilirmak, poczym zagłębili się w górzystą krainę, gdzie wszystko wydawało się złote i brązowe, aż tak wypalone przez bezlitosne słońce. Kilkakrotnie napotykali

przemieszczające się armie, lecz unikali spotkania z nimi. Armie te składały się wprawdzie z lokalnych oddziałów, lecz często wzmocnionych zamaskowanymi rycerzami z Granbretanu. Hawkmoon był silnie zaniepokojony ich widokiem, jako że nie spodziewał się, iż wpływy Mrocznego Imperium sięgają aż tak daleko. Raz dostrzegli z dystansu toczącą się bitwę, w której zdyscyplinowane oddziały Granbretanu z łatwością radziły sobie z armią przeciwnika. Wszystko to wzmagало jeszcze desperację Hawkmoona i popychało go w stronę Persji.

W miesiąc później, kiedy ich konie brodziły przy brzegu olbrzymiego jeziora, Oladahn i Hawkmoon zostali zaskoczeni nagłym ukazaniem się zza krawędzi wzgórza jakichś dwudziestu jeźdźców, którzy popędzili galopem w ich stronę. W maskach zasłaniających twarze żołnierzy odbijały się promienie słońca, co jeszcze bardziej podkreślało ich złowrogi wygląd, jako że były to maski Zakonu Wilka.

— Hola! To ci dwaj, których poszukuje nasz pan! wykrzyknął jeden z jadących na czele żołnierzy. – Za dostarczenie żywcem tego wysokiego wyznaczono wysoką nagrodę.

— Obawiam się, lordzie Dorianie, że jesteśmy zgubieni – rzekł chłodno Oladahn.

— Postaraj się, żeby cię zabili – mruknął posępnie Hawkmoon, dobywając miecza. Gdyby ich konie nie były tak zmęczone, z pewnością uciekliby tamtym, wiedział jednak, że w tej sytuacji nawet nie warto próbować.

Po chwili jeźdźcy w wilczych maskach otoczyli ich kołem. Hawkmoon miał tylko taką przewagę, iż chciał ich zabić, oni natomiast mieli zamiar wziąć go żywcem. Jednego trafił z całej siły gałką rękojeści miecza w maskę, drugiemu pchnięciem niemal przebił ramię, trzeciego ciął w pachwinę, czwartego

zwalił z konia. Brodzili przy brzegu jeziora, a kopyta koni z pluskiem uderzały w wodę. Hawkmoon pomyślał, że Oladahń świetnie daje sobie radę, ale niemal w tym samym momencie mały futrzasty człowieczek krzyknął i osunął się z siodła. Z powodu ścisku nie mógł go już teraz widzieć, zaklął więc głośno i ze zdwojoną energią zakręcił dokoła siebie mieczem.

Jeźdźcy zbili się w tak ciasną gromadę, iż niemal nie miał jak nabrać rozmachu. Z rozpaczą zrozumiał, że za kilka chwil zostanie pojmany. Wytężył wszystkie siły i zadawał na oślep ciosy, aż uszy wypełnił mu jednostajny brzęk metalu, a w nozdrza uderzył zapach krwi.

Nagle poczuł, że nacisk napastników słabnie, a poprzez gąszcz mieczy dostrzegł, że dołączył do niego sprzymierzeniec. Widział już tego człowieka – choć jedynie we snach albo też wizjach nie dających się oddzielić od snów. Widział go kiedyś we Francji, później zaś w Kamargu. Skrywała go pełna zbroja w kolorach czerni i złota, a długi hełm całkowicie zakrywał twarz. Wywijał wielkim, długim na dwa metry mieczem i dosiadał białego masywnego rumaka, równie wielkiego jak koń Hawkmoona. Tam, gdzie uderzał, padał człowiek. Wkrótce zostało w siodłach zaledwie kilku żołnierzy w wilczych maskach, a i ci po chwili zawrócili konie i puścili się galopem poprzez płytką wodę, zostawiając rannych własnemu losowi.

Hawkmoon zauważył, że jeden z powalonych jeźdźców powstał i zamierza się mieczem. Przed nim podniósł się na nogi drugi człowiek i Hawkmoon rozpoznał Oladahna. Mały człowieczek nadal ścisnął swój oręż, którym teraz zaczął desperacko bronić się przed atakami Granbretańczyka. Hawkmoon popędził konia w tamtą stronę, jego miecz zatoczył w powietrzu szeroki łuk, po czym spadł na plecy żołnierza w

wilczej masce, przecinając jego kolczugę, skórzany kaftan i wbijając się głęboko w ciało. Człowiek zacharczał i padł, a krew zaczęła mieszać się z poczerwieniałą już wodą.

Obrócił się w stronę siedzącego nieruchomo na koniu Rycerza w Czerni i Złocie.

— Dziękuję ci, mój panie – powiedział, chowając miecz do pochwy. – Przebyłeś moim śladem daleką drogę.

— O wiele dłuższą, niż ci się wydaje, Dorianie Hawkmoonie – rozległ się głęboki, dźwięczny głos rycerza. Zmierzasz do Ramadanu?

— Tak. Szukam czarownika Malagigiego.

— To dobrze. Pojadę z tobą kawałek. To już niedaleko. – Kimże jesteś? – zapytał Hawkmoon. – Komuż mam składać dzięki?

— Jestem Rycerzem w Czerni i Złocie. Nie dziękuj mi za ocalenie życia. Nie rozumiesz jeszcze, z jakich powodów je ocaliłem. Jedźmy – zawrócił i ruszył w drogę, oddalając się od jeziora.

W jakiś czas później, kiedy odpoczywali i posilali się, Hawkmoon zwrócił się do rycerza, siedzącego z dziwnie podkurczoną nogą.

— Czy dużo wiesz o Malagigim? – zapytał. – Czy on mi pomoże?

— Znam go – odparł Rycerz w Czerni i Złocie. – Być może pomoże ci. Musisz jednakże wiedzieć, że obecnie toczy się w Ramadanie wojna domowa. Brat królowej Frawbry, Nahak, powstał przeciwko niej, a pomaga mu wielu noszących maski, jak ci, z którymi walczyliśmy nad jeziorem.

ROZDZIAŁ 10

MALAGIGI

W tydzień później ujrzeli przed sobą w dolinie białe zabudowania Ramadanu, z błyszczącymi w jasnym słońcu iglicami, kopułami i minaretami, zdobionymi złotem, srebrem i macicą perłową. – Zostawię was teraz – rzekł tajemniczy rycerz, zawracając konia. – Żegnaj Dorianie Hawkmoonie. Z pewnością spotkamy się jeszcze.

Hawkmoon spoglądał jakiś czas za jeźdźcem ginącym między wzgórzami, po czym wraz z Oladahnem popędzili konie w stronę miasta. Kiedy jednak zbliżyli się do bram, usłyszeli zgiełk dobiegający z za murów. Były to odgłosy walki – okrzyki żołnierzy i głosy zwierząt. Nagle przez bramę zaczęła wylewać się wielka fala wojska, przy czym wielu ludzi było silnie poranionych, a wszyscy sprawiali wrażenie zdruzgotanych. Obaj jeźdźcy szybko ściągnęli lejce koni, lecz i tak po chwili zostali otoczeni przez uciekinierów. W pełnym pędzie minęła ich grupa jeźdźców i Hawkmoon usłyszał okrzyki jednego z nich:

— Wszystko stracone! Nahak odniesie dzisiaj zwycięstwo!

Zaraz za nimi pojawił się ogromny rydwan bojowy z brązu, ciągnięty przez cztery czarne konie. Stała w nim kobieta o kruczoczarnych włosach, w błękitnej kutej zbroi, nawołująca swoich ludzi do zawrócenia i podjęcia walki. Była młoda i odznaczała się niezwykłą urodą, miała olbrzymie, ciemne, nieco skośne oczy; błyszczały wściekłością i frustracją. Wywijiała wysoko nad głową zaciśniętym w dłoni krótkim bułatem.

Ściągnęła wodze, kiedy ujrzała wpatrujących się w nią ze zdumieniem Hawkmoona i Oladahna.

— A kimże wy jesteście? Kolejnymi najemnikami Mrocznego Imperium?

— Nie, jestem wrogiem Mrocznego Imperium – odparł Hawkmoon. – Co tu się dzieje?

— To przewrót. Mój brat, Nahak, i jego sprzymierzeńcy dostali się do miasta tajemnymi przejściami, prowadzącymi z pustyni, i zaskoczyli nas. Jeśli jesteście wrogami Granbretanu, to lepiej uciekajcie stąd! Oni przyprowadzili ze sobą wielkie bestie... – rzuciła im w przelocie, po czym pojechała dalej, wciąż nawołując swoich ludzi.

— Muszę odnaleźć Malagigiego. Jest gdzieś w mieście. Zostało mi już niewiele czasu.

Popędzili konie przez ciżbę i wjechali do miasta. W głębi dostrzegli toczącą się jeszcze na ulicach walkę jakichś oddziałów – spiczaste hełmy miejscowych żołnierzy mieszały się z wilczymi maskami siepaczy Mrocznego Imperium. Wszędzie dokoła trwała rzeź. Hawkmoon i Oladahna skręcili galopem w boczną uliczkę, gdzie nie toczył się żaden bój, a po chwili wyjechali na rozległy plac. Po przeciwległej jego stronie dostrzegli olbrzymie skrzydlate bestie, przypominające wielkie czarne nietoperze, z długimi ramionami o zakrzywionych szponach. Szarpały karki uciekających żołnierzy, a niektóre już ucztowały na ciałach zabitych. Tu i tam można było ujrzeć ludzi Nahaka, jakby kierujących atakami tych krwiożerczych bestii. chociaż było jasne, że gigantyczne nietoperze wypełniły już swoje zadanie.

Jeden z nich odwrócił nagle głowę i ujrzał jeźdźców. Hawkmoon krzyknął na Oladahna, by jechał za nimi ruszył wąską alejką, ale bestia już popędziła za nimi, na wpół biegnąc

po ziemi, na wpeł unosząc się wielkimi skokami w powietrzu, a z jej dzioba wydobył się nieprzyjemny, świszczący głos. Poczuli fetor bijący od jej ciała. Galopowali wąską uliczką, lecz zwierzęciu udało się jakoś wcisnąć między ściany domów i pognało za nimi. Nagle w drugim końcu uliczki pojawiło się sześciu skrytych za wilczymi maskami jeźdźców. Hawkmoon dobył miecza i poszarżował wprost na nich. Nie miał innego wyjścia.

Natarł na pierwszego z takim impetem, iż wysadził go z siodła, jednak cios Granbretańczyka dosięgnął jego ramienia i poczuł, że ostrze rozcięło mu ciało. Popędził dalej mimo palącego bólu. Waleczne monstrum wydało dziki wrzask, na dźwięk którego żołnierze w wilczych maskach natychmiast zawrócili konie i zaczęli wycofywać się w panice.

Hawkmoon i Oladah n wpadli między nich i znaleźli się nagle na olbrzymim placu, na którym nie było żywej duszy – bruk ulicy i kamienne chodniki zalegały ciała poległych. Hawkmoon zauważył mężczyznę w żółtej tunice, który wysunął się z za drzwi, przykucnął przy najbliższych zwłokach i sięgał po sakiewkę oraz nabijany klejnotami sztylet u pasa zabitego. Człowiek uniósł wzrok i na widok zbliżającego się księcia Kln zerwał się w panice, usiłując zanurkować z powrotem do domu, lecz Oladah odciął mu drogę. Hawkmoon wymierzył ostrze miecza w pierś mężczyzny.

— Którędy do domu Malagigiego?

— Tędy, panowie – wycharczał tamten, wskazując kierunek drżącą dłonią. – To dom ze srebrzystą kopułą na dachu, inkrustowaną hebanowymi znakami zodiaku. Prosto tą ulicą. Nie zabijajcie mnie. Ja...

Westchnął z ulgą, kiedy Hawkmoon zawrócił wielkiego

błękitnego konia i popędził w stronę wskazanej uliczki. Wkrótce dojrzeli zwieńczony kopułą dom, ozdobiony

znakami zodiaku. Hawkmoon zatrzymał się przy bramie i załomotał kulka rękojęści swego miecza. W jego głowie narastało pulsowanie i instynktownie wyczuwał, że zaklęcia hrabiego Brassa nie będą w stanie już dłużej powstrzymać sił życiowych Czarnego Klejnotu. Dotarło do niego, iż powinien zapukać do domu czarownika okazując znacznie więcej kurtuazji, nie miał jednak czasu, tym bardziej że po wszystkich ulicach miasta wałęsało się coraz więcej żołnierzy granbretańskich, a ponad ich głowami krążyły dwa gigantyczne nietoperze, poszukujące ofiar.

W końcu brama otworzyła się, lecz wjazd blokowało czterech potężnie zbudowanych Negrów w purpurowych tunikach, uzbrojonych w długie piki. Za ich plecami Hawkmoon ujrzał szeroki dziedziniec. Próbował wjechać przez bramę, lecz ostre piki natychmiast skierowały się w jego stronę.

— Jaką masz sprawę do naszego pana, Malagigiego? zapytał jeden z Murzynów.

— Potrzebuję jego pomocy. To sprawa najwyższej wagi. Jestem w niebezpieczeństwie.

Na schodach wiodących do drzwi wejściowych domu pojawiła się postać człowieka ubranego w prostą białą tunikę. Miał długie srebrzyste włosy i był gładko wygolony. Twarz pocięta głębokimi bruzdami wyglądała staro, chociaż skóra wciąż zachowała młodzieńczą gładkość.

— Dlaczegoż Malagigi miałby ci pomagać? – zapytał ów mężczyzna. – Jak widzę, pochodzisz z Zachodu. Ludzie z Zachodu przynieśli do Hamadanu niesnaski i wojnę. Odejdź! Nie chcę mieć do czynienia z żadnym z was!

— Jesteś lordem Malagigi? – zaczął jeszcze raz Hawkmoon. – Jestem ofiarą tych samych ludzi. Pomóż mi, a ja pomogę tobie pozbyć się ich. Proszę! Błagam cię...!

— Odejdź. Nie chcę się mieszać w wasze wewnętrzne rozgrywki!

W tej samej chwili Murzyni ruszyli ławą do przodu, zepchnęli obu jeźdźców, po czym zamknęli bramę. Hawkmoon zaczął bębnić w nią ponownie, lecz Oladah

ujął go za ramię i wskazał w głąb ulicy. Nadjeżdżało stamtąd w ich stronę sześciu konnych w wilczych maskach, a prowadził ich rycerz, którego zdobną maskę Hawkmoon rozpoznał natychmiast. Meliadus!

— Ha! Nadszedł twój czas, Hawkmoonie! – zakrzyknął triumfalnie, dobywając miecza i ruszając na nich galopem. Hawkmoon błyskawicznie zawrócił konia. Chociaż nadal odczuwał tak samo głęboką nienawiść do Meliadusa, zdawał sobie jednak sprawę, że w tej chwili nie może z nim walczyć. Wraz z Oladahnem popędzili konie wzdłuż ulicy, a ich potężne rumaki dość szybko zostawiły w tyle jeźdźców Meliadusa.

Agonosvos – czy też jego wysłannik – musiał zawiadomić Meliadusa o celu wyprawy Hawkmoona, stąd też baron dołączył do swojej armii, pomógł zdobyć Hamadam jednocześnie szykując osobistą zemstę na księciu Kln.

Hawkmoon pędził jak szalony, skręcając z jednej wąskiej uliczki w drugą, aż w końcu zupełnie zgubił pogoń.

— Musimy uciekać z miasta – krzyknął do Oladahna. – To nasza jedyna szansa. Może później uda nam się przekraść i przekonać Malagigiego, by nam pomógł...

Urwał, spostrzegłszy, że jeden z gigantycznych nietoperzy nurkuje nagle w ich kierunku. Z niezwykłą szybkością

wylądował na ulicy przed nimi i ruszył biegiem, wyciągając przed siebie szpony. Za atakującym potworem widać już było otwartą bramę i drogę do wolności.

Hawkmoon, zdesperowany, zawiedziony decyzją Malagigiego, poszarżował wprost na krwiożerczą bestię, rzucając się niemal w jej łapy i wymierzył mieczem ciosy w szpony. Nietoperz zagwizdał i wbił pazury w zranione wcześniej ramię Hawkmoona. Młody szlachcic ciął raz, drugi i trzeci w łapę zwierzęcia, aż wreszcie przeciął wszystkie ścięgna, a z kikuta puściła się czarna posoka. Nietoperz rozwarł dziób i pochylił łeb w stronę jeźdźca. Na widok potwora koń Hawkmoona skoczył do tyłu, on jednak zdążył wymierzyć desperacki cios w wielkie, iskrzące się oko.

Miecz wniknął weń głęboko, a nietoperz wrzasnął. Z rany wytrysnął żółty śluz.

Hawkmoon pchnął po raz drugi. Stworzenie zachwiało się i zaczęło chylić wprost ku niemu. Hawkmoon szarpnął wodze, by odciągnąć konia w bok i ledwo udało mu się uskoczyć przed walącą się bestią. Natychmiast ruszył galopem w kierunku bramy i rozciągających się za nią wzgórz.

— Zabiłeś go, lordzie Dorianie! – krzyknął Oladah, jadący tuż za nim. – To tylko sprawa właściwego cięcia. Mały człowieczek zaczął się głośno śmiać.

Wkrótce wjechali między wzgórz, dołączając do setek pokonanych żołnierzy, którym udało się przeżyć bitwę w mieście. Jechali tu znacznie wolniej i po dłuższym czasie dotarli do płytkiej kotliny, gdzie ujrzeli rydwan ze spiżu, w którym poprzednio widzieli wojowniczą królową. Na stokach wzgórz, wśród przeredzonej trawy, spoczywały całe oddziały, pomiędzy którymi wędrowała kruczowłosa kobieta. W pobliżu rydwanu

Hawkmoon dostrzegł znajomą sylwetkę. Był to Rycerz w Czerni i Złocie, który zdawał się czekać właśnie na niego.

Hawkmoon podjechał doń i zsiadł z konia. Wkrótce zbliżyła się również królowa i stanęła obok, oparta o rydwan, a jej oczy błyszczały wciąż tym samym gniewem.

— A więc Malagigi nie pomoże ci, prawda? – rozległ się z głębin hełmu dźwięczny, chłodny głos Rycerza w Czerni i Złocie.

Hawkmoon przytaknął ruchem głowy, przyglądając się kobiecie. Nadal wypełniało go rozczarowanie, chociaż jego miejsce zaczynało już zajmować przecucie ślepego fatalizmu, który pozwolił mu ujść z życiem z pojedynku z gigantycznym nietoperzem.

— Jestem skończony – rzekł. – Zawsze jednak mogę wrócić i walczyć przeciwko Meliadusowi.

— To jedno pragnienie nas łączy – odezwała się kobieta. – Jestem królowa Frawbra. Mój podstępny brat pragnie zdobyć tron i próbuje to osiągnąć przy pomocy tego waszego Meliadusa i jego żołdaków. Może nawet już go zdobył, trudno powiedzieć. W każdym razie zostaliśmy pokonani i niewielkie mamy szanse na odzyskanie miasta.

Hawkmoon popatrzył na nią i zamyślił się głęboko.

— Czy gdyby istniała chociaż wątła szansa, uchwycilibyście się jej?

— Nawet gdyby nie było żadnych szans, ja sama zdecydowałabym się na to – odpowiedziała królowa. – Nie jestem jednak pewna, czy moi żołnierze pójdą za mną.

W tej samej chwili trzech kolejnych jeźdźców wjechało do prowizorycznego obozowiska.

— Czy przybywacie prosto z miasta? – zapytała królowa Frawbra.

— Tak – odparł jeden z nich. – Oni już łupią miasto. Nigdy nie widziałem tak wściekłych zdobywców, jak ci z Zachodu. Ich przywódca, ten potężny mężczyzna, wdarł się nawet do domu Malagigiego i uczynił z niego swego więźnia.

— Co takiego? – wykrzyknął Hawkmoon. – Meliadus uwięził czarownika! Ach, więc nie ma już dla mnie żadnej nadziei!

— Nonsens – wtrącił Rycerz w Czerni i Złocie. Nadzieja wciąż istnieje. Wciąż masz jakieś szanse, dopóki Meliadus trzyma Malagigiego żywego, a tak należy sądzić, biorąc pod uwagę, iluż to sekretów chciałby dowiedzieć się od niego. Musisz wrócić do Hamadanu na czele armii królowej Frawbry, odbić miasto i ocalić Malagigiego.

Hawkmoon wzruszył ramionami.

— Czy starczy mi czasu? Klejnot już zaczyna się rozgrzewać, a to oznacza, że powraca do życia. Wkrótce przemienię się w bezrozumne stworzenie...

— A więc tym bardziej nie masz nic do stracenia, lordzie Dorianie – wtrącił Oladahn, kładąc owłosioną dłoń na ramieniu Hawkmoona i ściskając go po przyjacielsku. Zupełnie nic do stracenia.

Hawkmoon zaśmiał się gardłowo, poklepując dłoń przyjaciela.

— Tak, masz rację. Nic do stracenia. Cóż powiesz na to, królowo Frawbro?

— Spróbujmy przekonać te niedobitki mojej armii odparła zakuta w zbroję kobieta.

Niedługo później Hawkmoon stanął na rydwanie i zwrócił się do zdziętkowanych wojowników:

— Mieszkańcy Hamadanu. Przebyłem wiele setek mil z Zachodu, opanowanego już przez Granbretańczyków. Mój ojciec został zamęczony na śmierć przez tego samego barona

Meliadusa, który dzisiaj wspiera wrogów waszej królowej. Widziałem, jak całe narody były zamieniane w proch, wszyscy ludzie mordowani lub niewoleni. Widziałem dzieci, ukrzyżowane albo wieszane na szubienicach. Widziałem walecznych rycerzy przemienionych w skomlące psy.

Wiem, że uważacie za beznadziejną walkę przeciwko zamaskowanym ludziom Mrocznego Imperium, ale ich można pokonać. Osobiście dowodziłem armią liczącą niewiele więcej niż tysiąc żołnierzy, która przegnała dwudziestokrotnie silniejszą potęgę Granbretanu. To nasza wola życia zmusiła nas do tego, nasza świadomość, że nawet jeśli się poddamy, zostaniemy uwięzieni i w końcu także umrzemy, tyle że w upodleniu.

Umrzeć można również z godnością, jak mężczyźni, w otwartej walce, wiedząc, że istnieje szansa pokonania tych, którzy zajęli dzisiaj wasze miasto...

Mówił dalej w tym samym duchu i stopniowo wymęczeni żołnierze zaczęli zbierać się na nowo. Niektórzy nawet wznosili okrzyki na jego cześć. Królowa Frawbra stanęła obok Hawkmoona na rydwanie i także zaczęła nawoływać swoich ludzi, by pod jego wodzą ruszyli z powrotem do Hamadanu i uderzyli na zaskoczonego wroga, kiedy żołnierze będą pijani i zajęci łupieniem miasta.

Słowa Hawkmoona dodały im otuchy, natomiast królowa Frawbra przekonała ich logicznymi argumentami. Zaczęli znów sięgać po broń, poprawiać zbroje, rozglądać się za swymi końmi.

— Zaatakujemy nocą – krzyknęła królowa Frawbra. Nie damy im czasu na to, by przejrzeć nasze zamiary.

— Sądzę, że pojedę razem z wami – wtrącił Rycerz w Czerni i Złocie.

Pod osłoną nocy wyruszyli z powrotem do Hamadanu, gdzie

hulali zdobywcy, pozostawiając otwarte i słabo strzeżone bramy, a krwiożercze bestie chrapały głośno, mając brzuchy napełnione ciałami ofiar.

ROZDZIAŁ V

SILY ŻYCIOWE CZARNEGO KLEJNOTU

Wtargnęli do miasta i zajęli je w większej części, zanim jeszcze wróg zrozumiał, co się dzieje. Prowadził ich Hawkmoon. Głowę rozsadzał mu nieznośny ból, a Czarny Klejnot coraz silniej pulsował w czaszce. Na widok jego ściągniętej, bladej twarzy i stojącego dęba olbrzymiego konia żołnierze uciekali w panice. On zaś, z okrzykiem „Hawkmoon! Hawkmoon!”, ciął na lewo i prawo owładnięty żądzą zabijania. Tuż za nim podążał Rycerz w Czerni i Złocie, walczący metodycznie, z jakąś dziwną obojętną lekkością. Była z nimi również królowa Frawbra, wiodąca swój ciężki rydwan wprost na grupy zdumionych najeźdźców, na tyle rydwanu stał Oladahn z gór, posyłający w przeciwników strzałę za strzałą.

Spychali siły Nahaka oraz najemników w wilczych maskach coraz dalej w głąb miasta. Kiedy Hawkmoon dojrzał kopułę domu Malagigiego, skierował swego konia w tamtą stronę, tratując wręcz grupę żołnierzy, którzy próbowali zagrozić mu drogę. Dopadł bramy, stanął w strzemionach, uchwycił się kamiennego muru i wciągnął na jego szczyt.

Zeskoczył na dziedziniec tuż obok rozciągniętego ciała jednego z Murzynów strzegących domu Malagigiego. Drzwi domu były wyważone, wewnątrz niemal doszczętnie zrujnowane.

Przeskakując ponad porozbijanymi meblami Hawkmoon skierował się ku wąskim schodom, wiodącym w górę. Doszedł do wniosku, że muszą prowadzić do laboratoriów czarownika.

Znajdował się już w połowie wysokości schodów, kiedy na piętrze otworzyły się drzwi, wypadło dwóch strażników w wilczych maskach z obnażonymi mieczami i rzuciło się mu naprzeciw. Hawkmoon zatrzymał się i uniósł miecz. Na jego twarzy zastygł dziwny śmiertelny grymas, oczy płonęły szaleństwem, będącym mieszaniną furii i desperacji. Ostrze raz i drugi wystrzeliło do przodu i po chwili dwa ciała toczyły się bezwładnie w dół schodów. Hawkmoon wtargnął do pokoju na górze, gdzie znalazł Malagigiego rozpiętego na ścianie; jego ręce i nogi nosiły ślady torturowania.

Szybko rozciął więzy i ostrożnie ułożył starego człowieka na stojącej w rogu pokoju kanapie. Wszędzie znajdowały się stoły, zastawione aparaturą alchemiczną i innymi urządzeniami. Malagigi poruszył się i otworzył oczy.

— Musisz mi pomóc. panie – odezwał się bez pardonu Hawkmoon. – Przybyłem tu, by uratować ci życie. Mógłbyś przynajmniej spróbować ocalić moje.

Malagigi uniósł się na łokciu, a całe jego ciało przeszył dreszcz bólu.

— Mówiłem ci już. Nie uczynię nic ani dla jednej, ani dla drugiej strony. Torturuj mnie, jeśli taka twoja wola, podobnie jak uczynili to twoi ziomkowie, a ja...

— Bądź przeklęty! – wybuchnął Hawkmoon. – Moja głowa płonie. Będę szczęśliwy, jeśli dotrwam do świtu. Nie wolno ci odmawiać pomocy. Przebyłem dwa tysiące mil, by prosić cię o nią. Jestem tak samo ofiarą Granbretanu jak i ty. Więcej. Ja...

— Udowodnij to, a wówczas być może ci pomogę przerwał mu Malagigi. – Wypędź najeźdźców z miasta i wtedy przyjdź do mnie.

— Ale wtedy może już być za późno. Klejnot odzyskuje swoje

siły życiowe. W każdej chwili...

— Udowodnij to – powtórzył Malagigi, po czym znów opadł na kanapę.

Hawkmoon uniósł miecz w górę. Targany dziką wściekłością i desperacją był gotów zabić starca. Lecz nagle odwrócił się, zbiegł z powrotem po schodach, przemierzył dziedziniec, otworzył bramę i wspiał się na siodło swego rumaka.

Po dłuższym czasie odnalazł Oladahna.

— Jakie są losy bitwy? – krzyknął do niego ponad głowami walczących żołnierzy.

— Nie jest dobrze, jak sędzę. Meliadus i Nahak przegrupowali siły i nadal panują nad połową miasta. Ich główne oddziały zgromadzone są na placu centralnym, przed pałacem królewskim. Królowa Frawbra i twój zakuty w zbroję przyjaciel powiedli tam szturm, ale obawiam się, że to beznadziejne.

— Przekonajmy się sami – rzekł Hawkmoon, szarpnąwszy wodze. Prowadził wierzchowca między zmagającymi się szermierzami, rozdając od czasu do czasu ciosy, czy to sojusznikowi, czy wrogowi, zależnie od tego, kto w danej chwili stanął mu na drodze.

Oladahna pojechał za nim i po jakimś czasie wydostali się na wielki plac centralny, gdzie obie armie stały w równych szeregach naprzeciwko siebie. Meliadus siedział na koniu na czele swego wojska, obok niego Nahak, a głupawy wyraz jego twarzy świadczył dobitnie, iż był jedynie narzędziem w rękach barona z Mrocznego Imperium. Naprzeciwko nich stała w swym poobijanym rydwanie bojowym królowa Frawbra, a obok siedział na rumaku Rycerz w Czerni i Złocie.

Kiedy Hawkmoon i Oladahna wjeżdżali na plac, oświetlony migoczącym światłem pochodni trzymany przez żołnierzy obu

armii, usłyszeli donośny głos Meliadusa.

— Gdzież jest ten podstępny tchórz, Hawkmoon? Pewnie czai się gdzieś w ukryciu!

Hawkmoon przepychając się przez szeregi żołnierzy, mógł ocenić, jak żałośnie są one szczupłe.

— Tutaj jestem, Meliadusie. Przybyłem, aby cię zniszczyć!

Meliadus zaśmiał się.

— Zniszczyć mnie? Czyżbyś nie wiedział, że żyjesz jedynie dzięki mojemu kaprysowi? Czy nie czujesz, Hawkmoonie, że Czarny Klejnot gotów jest do pożarcia twojego umysłu?

Bezwiednie Hawkmoon uniósł dłoń ku pulsującemu ognisku w jego głowie, poczuł ohydne ciepło bijące od Czarnego Klejnotu i zrozumiał, że Meliadus mówi prawdę. – Na co więc czekasz? – zapytał posępnie.

— Ponieważ jestem gotów zaproponować ci kolejną ugodę. Powiedz tym głupcom, że ich wysiłki są beznadziejne. Powiedz im, żeby złożyli broń, a wówczas oszczędzę ci najgorszego. Dopiero teraz Hawkmoon w pełni zdał sobie sprawę z tego, iż naprawdę był jeszcze człowiekiem tylko dla wygody swoich wrogów. Meliadus powściągnął pragnienie natychmiastowego dopełnienia zemsty jedynie w nadziei, iż nakłoni Hawkmoona do zaoszczędzenia Granbretanowi dalszych strat.

Hawkmoon zeszywniał, niezdolny do udzielenia odpowiedzi, starając się rzeczowo rozważyć argumenty. W stojących za jego plecami szeregach zaległa pełna napięcia cisza w oczekiwaniu na jego decyzję. Wiedział, że los całego Hamadanu może obecnie zależeć wyłącznie od niego. Kiedy tak siedział w pełnym zmieszania milczeniu, Oladahn zbliżył się do niego i ujął go za ramię.

— Weź to, lordzie Dorianie – mruknął cicho. Hawkmoon

spojrzał w dół na oferowany mu przez człowieka z gór przedmiot. Był to hełm. Początkowo nie rozpoznał go, po chwili spostrzegł jednak, iż był to ten sam, który Oladahń ściągnął z nagiej czaszki Agonosvosa. Przed jego oczyma stanęła przerażająca czaszka, którą niegdyś skrywał, a na owo wspomnienie przejął go dreszcz obrzydzenia.

— Po co? To przeklęty hełm.

— Mój ojciec był czarownikiem – przypomniał mu Oladahń. – Przekazał mi kilka sekretów. Ten kawałek żelaza odznacza się pewnymi właściwościami. Są tam wbudowane obwody, które powinny uchronić cię przez krótki czas przed pełnią mocy Czarnego Klejnotu. Weź go, mój panie. Błagam cię o to.

— Skąd mogę mieć pewność... – Załóż go, a przekonasz się.

Hawkmoon powoli zdjął swój własny i niezwykle ostrożnie nałożył hełm czarownika. Był o wiele ciaśniejszy, czuł się w nim uwięziony, wyczuł jednak, że Klejnot pulsuje teraz o wiele wolniejszym rytmem. Uśmiechnął się, a jednocześnie przepełniło go radosne podniecenie. Dobył miecza.

— Oto jest moja odpowiedź, baronie Meliadus! – krzyknął, po czym popędził konia w kierunku zdumionego lorda Granbretanu.

Meliadus zaklął i pospiesznie zaczął wyciągać miecz z pochwy. Zdążył na tyle, by osłabić nieco cios Hawkmoona, który dosięgnął jego wilczej maski i zrzucił ją na ziemię, odsłaniając wykrzywioną w oszołomieniu twarz. Za plecami Hawkmoona rozległy się okrzyki żołnierzy z Hamadanu, którzy pod wodzą Oladahna, królowej Frawbry oraz Rycerza w Czerni i Złocie natarli z impetem na linie wroga, zmuszając go do cofnięcia się w stronę bram pałacu.

Kątem oka Hawkmoon dostrzegł, jak królowa Frawbra

wychyla się z rydwanu, otacza ramieniem szyję brata, po czym ściąga go z siodła. Jej ręka opadła dwukrotnie, a następnie uniosła w górę zakrwawiony sztylet, podczas gdy ciało Nahaka bezwładnie osunęło się na ziemię, gdzie zostało stratowane przez pędzących za królową jeźdźców.

Hawkmoon, kierowany wciąż niesłychaną desperacją, zdając sobie sprawę, że hełm Agonosvosa nie zabezpieczy go na długo, unosił raz za razem miecz, zasypując Meliadusa gradem ciosów, tamten jednak parował je równie szybko. Twarz barona wykrzywił grymas, przypominający rysy utraconej maski wilka, a w jego oczach płonęła nienawiść nie mniejsza od nienawiści Hawkmoona.

Ich miecze poruszały się rytmicznie, jakby w takt ćwiczebnej dyscypliny, to blokując, to wymierzając cios, i wydawało się, że tym sposobem mogą kontynuować walkę do momentu, aż jeden z nich padnie z wyczerpania. Jednak nieoczekiwanie koń Hawkmoona znalazł się w tłoku walczących żołnierzy, co zmusiło księcia do cofnięcia się i odchylenia do tyłu w siodle tak, iż jego stopy wysunęły się ze strzemion. Na ten widok Meliadus uśmiechnął się i zamierzył w nie osłoniętą pierś przeciwnika. Pchnięcie nie było silne, wystarczyło jednak, by wyrzucić Hawkmoona z siodła. Runął na ziemię wprost pod kopyta konia Meliadusa.

Baron natychmiast ruszył do przodu, chcąc go stratować, Hawkmoon jednak wywinął się, poderwał na nogi i zaczął najlepiej jak potrafił osłaniać się przed lawiną ciosów, spadających na niego z góry ze strony triumfującego Granbretańczyka.

Dwukrotnie miecz Meliadusa dosięgnął hełmu Agonosvosa, wgniatając go silnie, a Hawkmoon poczuł, jak Klejnot zaczyna

znów rytmicznie pulsować. Wrzasnął dziko i doskoczył do konia.

Ów niespodziewany atak zaskoczył Meliadusa w momencie, gdy się odsłonił, toteż zdołał tylko częściowo osłabić cios. Ostrze Hawkmoona spadło z furją wzdłuż boku odkrytej głowy Meliadusa. Na jego twarzy otworzyła się długa, silnie krwawiąca rana, a usta wykrzywił skurcz bólu. Kiedy próbował otrzeć krew zalewającą mu oczy, Hawkmoon pochwycił jego dzierżące miecz ramię i ściągnął go na ziemię. Meliadus uwolnił rękę z uścisku, odskoczył do tyłu i zamierzył się na Hawkmoona z tak wielkim impetem, że obie główne zetknęły się z głośnym brzękiem, po czym rozprysnęły na kawałki.

Przez chwilę obaj przeciwnicy stali sztywno na nogach, wpatrując się w siebie nawzajem ze zdumieniem, po czym każdy wydobył z pasa długi sztylet i zaczęli się okrążyć, czekając na moment do ataku. Szlachetną twarz Meliadusa szpeciła paskudna rana – gdyby przeżył tę walkę, do końca życia nosiłby ślad od miecza Hawkmoona. Z rany obficie płynęła krew, pokrywając plamami cały napierśnik zbroi.

Obaj mężczyźni niemal w tej samej chwili skoczyli do przodu, w desperacji próbując zadać ten jeden jedyny śmiertelny cios, który położy kres ich długim zmaganiom.

Meliadus zamierzył się w oko Hawkmoona, cios jednak minął celu i ześliznął się po bocznej ścianie hełmu. Sztylet Hawkmoona z kolei wystrzelił ku gardłu Meliadusa, ale baron zdążył pochwycić uzbrojoną dłoń i odtrącić ją w bok.

Obaj zaczęli mocować się w tym tańcu śmierci, napierając pierś na pierś i szykując się do ostatecznego ciosu. Z ich gardeł wydobywały się chrapliwe oddechy, napięte mięśnie chwytaly kurcze, lecz w obu parach oczu płonęła nadal z tą samą gwałtownością nienawiść, która – gdyby to było tylko możliwe –

spopieliłaby przeciwnika w jednej chwili.

Dokoła wciąż toczyła się bitwa, w której armia królowej Frawbry powoli lecz systematycznie spychała wrogie siły w tył. Ale w pobliżu tych dwóch nie było już nikogo, otaczały ich jedynie ciała poległych.

Na niebie pojawił się pierwszy brzask świtu.

Ramię Meliadusa poczęło drgać, kiedy Hawkmoon z całej siły ciągnął rękę do siebie, próbując uwolnić zamknięty w uścisku tamtego nadgarstek. Ale i jego ramię, powstrzymujące dłoń Meliadusa, również powoli słabło wskutek odniesionej w ciągu dnia rany. W desperacji Hawkmoon wymierzył silny cios osłoniętym zbroją kolaniem w pachwinę Meliadusa. Baron zachwiał się. Jego stopy zaplątały się w jakiejś uprzęży i runął na ziemię. Próbował się szybko pozbierać, ale zdążył zaledwie unieść się na łokciu, a na widok pochylającego się Hawkmoona w jego oczach pojawił się strach.

Dorian uniósł wysoko w górę sztylet. Cały świat wirował mu przed oczyma. Rzucił się całym ciałem na barona, ale

jednocześnie poczuł, jak ogarnia go wielka fala słabości, a sztylet wysuwa się z odrętwiałej dłoni.

Próbował jeszcze na ślepo macać w poszukiwaniu noża, lecz świadomość opuszczała go już. Sapnął z wściekłości, ale nawet to uczucie zdawało się szybko odpływać. W ostatnim, fatalistycznym przebłysku zrozumienia pojawiła się myśl, że teraz właśnie, w chwili triumfu, baron z łatwością będzie mógł go zabić.

ROZDZIAŁ VI

SŁUGA MAGICZNEJ LASKI

Hawkmoon otworzył oczy i przez szczeliny hełmu ujrzał jasne światło dnia. W jego głowie nadal płonął ogień, ale wściekłość i desperacja, jak się zdawało, opuściły go całkowicie. Odwrócił głowę i dostrzegł pochylających się nad nim Oladahna oraz Rycerza w Czerni i Złocie. Twarz Oladahna była napięta, natomiast oblicze rycerza ciągle skrywał hełm. – Nie jestem... martwy? – zapytał Hawkmoon słabym głosem.

— Nie wygląda na to – odparł lakonicznie rycerz. A może i jesteś.

— Tylko zamroczony – wtrącił szybko Oladahna, rzucając poskramiające spojrzenie w stronę zagadkowego rycerza. – Rana na twoim ramieniu została opatrzona i powinna szybko się zabliznić.

— Gdzie ja jestem? – zapytał znów Hawkmoon. Ten pokój...

— To pokój w pałacu królowej Frawbry. Miasto znowu należy do niej, a wrogowie zostali zabici, pojmani lub uciekli. Znaleźliśmy twoje ciało rozciągnięte na zwłokach barona Meliadusa. Na początku myśleliśmy, że obaj jesteście martwi.

— A więc Meliadus nie żyje?!

— Chyba tak. Kiedy wróciliśmy po jego ciało, stwierdziliśmy, że zniknęło. Prawdopodobnie uniósł je ze sobą któryś z jego uciekających ludzi.

— Ach, wreszcie nie żyje... – rzekł Hawkmoon niemal dziękczynnie. Teraz, kiedy Meliadus zapłacił już za wszystkie

swoje zbrodnie, poczuł nagle nadzwyczajny spokój, mimo iż nieznośny ból nadal odzywał się pulsowaniem w jego głowie. – Malagigi. Musicie go odnaleźć. Powiedzcie mu...

— Malagigi jest już w drodze. Kiedy dowiedział się o twoich wyczynach, zdecydował się przybyć do ciebie do pałacu.

— Czy on mi pomoże?

— Nie wiem – odparł Oladah, ponownie oglądając się na Rycerza w Czerni i Złocie.

Nieco później do komnaty wkroczyła królowa Frawbra, a za nią czarownik o pomarszczonej twarzy, trzymający w dłoniach jakiś przedmiot przykryty płótnem. Miał on kształt i rozmiary ludzkiej głowy.

— Lordzie Malagigi – mruknął Hawkmoon, próbując unieść się na kanapie.

— Czy ty jesteś tym młodym człowiekiem, który prześladował mnie poprzedniego dnia? Nie mogę dojrzeć twojej twarzy przez ten hełm – odezwał się Malagigi syczącym głosem, a Hawkmoona znowu opadły wątpliwości.

— Nazywam się Dorian Hawkmoon. Dowiodłem mojej przyjaźni do Ramadana. Meliadus i Nahak zostali zniszczeni, a ich wojska przegnane.

— Hm... – Malagigi zmarszczył brwi. – Mówiono mi o tym klejnotopodobnym tworze w twojej głowie. Znam tego typu konstrukcje oraz ich właściwości. Nie mogę jednak powiedzieć, czy możliwe jest pozbawienie go mocy...

— Słyszałem, że jesteś jedynym człowiekiem, który potrafi tego dokonać – wtrącił Hawkmoon.

— Owszem, potrafię. Nie wiem tylko, czy będę w stanie. Jestem już stary, fizycznie stary. Nie jestem pewien, czy... Rycerz w Czerni i Złocie wystąpił do przodu i położył rękę na ramieniu

Malagigiego.

— Czy znasz mnie, czarowniku? Malagigi skinął głową.

— Tak, znam cię.

— I znasz Potęgę, jakiej służę?

— Tak. – Malagigi zmarszczył brwi, przenosząc wzrok z jednego na drugiego. – Ale cóż to może mieć wspólnego z tym młodym człowiekiem?

— On także służy tej samej Potędze, chociaż sam jeszcze o tym nie wie.

Na twarzy Malagigiego odmalowała się stanowczość. – W takim razie pomogę mu – rzekł szybko. – Nawet jeśli miałyby to stanowić zagrożenie dla mego własnego życia.

Hawkmoon ponownie spróbował unieść się na kanapie. – Cóż to wszystko znaczy? Komu miałbym służyć? Nie wiedziałem...

Malagigi gwałtownym ruchem zsunął tkaninę z przyniesionego przez siebie przedmiotu. Była to kula pokryta nieregularnymi plamami, z których każda błyszczała odmiennym kolorem. Barwy przesunęły się powoli, a Hawkmoon, zapatrzywszy się na nie, szybko zamrugał powiekami.

— Najpierw musisz się skoncentrować – rzekł Malagigi, przysuwając kulę do jego głowy. – Popatrz na to. Wpatruj się uważnie, nie spuszcжай wzroku, Dorianie Hawkmoonie. Patrz na wszystkie kolory...

Hawkmoon stwierdził, że nagle przestał mrugać oczyma i nie jest już w stanie oderwać wzroku od coraz szybciej zmieniających się barw na powierzchni kuli. Ogarnęło go dziwne uczucie bezwładności, a jednocześnie wrażenie znakomitego samopoczucia. Zaczął się uśmiechać, lecz po chwili wszystko skryło się we mgle i zdawało mu się, że jest zawieszony w

miękkim, ciepłym oparze, gdzieś poza czasem i poza przestrzenią. Właściwie był ciągle świadom wszystkiego, a jednak w dziwny sposób otaczający go świat przestał dla niego istnieć.

Pozostawał w tym stanie przez dłuższy czas, ledwo zdając sobie sprawę z tego, iż jego ciało, które stało się dla niego czymś jak gdyby całkowicie obcym, było przenoszone z miejsca na miejsce.

Delikatne kolory spowijającej go mgły ulegały od czasu do czasu zmianie, przechodziły od odcieni czerwonego różu poprzez jasne błękity ku barwom słomianożółtym. Było to jednak wszystko, co dostrzegał, a nie czuł zupełnie nic. Opanowało go tak głębokie poczucie spokoju, jakiego nie doznawał nigdy przedtem – wrażenie absolutnego bezpieczeństwa, jakie może mieć chyba jedynie niemowlę w ramionach matki.

W końcu pastelową mgłę zaczęły przenikać pasma ciemniejszych, bardziej ponurych kolorów, a poczucie beztróskiego spokoju zaczęło stopniowo zanikać, gdy przed jego oczyma pojawiły się zygzaki czarnych i krwistoczerwonych błyskawic. Poczul nagły ból, przypominający agonię w mękach i wrzasnął na cały głos.

Otworzył szybko oczy, by ku swemu przerażeniu ujrzeć przed sobą maszynę. Była identyczna jak ta, którą dawno temu widział w pałacowych laboratoriach Króla-Imperatora. Czyżby znalazł się z powrotem w Londrze?

Czarne, złote i srebrzyste pasma materii mruczały do niego, lecz tym razem nie miał wrażenia, że pieścą go swymi mięśniami. Wręcz przeciwnie, cofały się, odsuwały od niego, zwierały się coraz bardziej i bardziej, jednocześnie coraz ściślej, aż wreszcie zajęły niewiarygodnie małą przestrzeń. Hawkmoon

rozejrzał się dokoła i dostrzegł Malagigiego, a za jego plecami wewnątrz laboratorium, w którym poprzednio uratował czarownika z rąk siepaczy Mrocznego Imperium.

Malagigi wyglądał na wymęczonego, lecz równocześnie na jego poranej bruzdami twarzy malował się wyraz samozadowolenia.

Ruszył przed siebie z metalową szkatułką w dłoniach, zebrał skurczoną maszynę Czarnego Klejnotu, wcisnął ją do środka, zatrzasnął wieczko i przekręcił kluczyk w zamku.

— Ta maszyna... – odezwał się Hawkmoon nieswoim głosem. – W jaki sposób udało ci się ją zdobyć?

— Skonstruowałem ją. – Malagigi uśmiechnął się. – Tak, książę, sam ją wykonałem. Przez tydzień intensywnie pracowałem, podczas gdy ty leżałeś tu, prowizorycznie zabezpieczony dzięki moim zaklęciom przed wpływami innej maszyny, tej znajdującej się w Londrze. Przez jakiś czas sądziłem, że moje wysiłki są daremne, ale dzisiejszego ranka udało mi się skompletować maszynę, z wyjątkiem jednego szczegółu... – Jakiego szczegółu?

— Siły życiowej. To był decydujący moment, ponieważ nie miałbym już więcej okazji, by naprawić jakikolwiek błąd. Otóż, widzisz, musiałem pozwolić, by cała moc życiowa Czarnego Klejnotu wniknęła do twego umysłu, mając jedynie nadzieję, że moja maszyna pochłonie ją, zanim owa siła zacznie pożerać twój umysł.

— I udało się! – Hawkmoon uśmiechnął się z ulgą.

— Tak, udało się. Jesteś już wyzwolony, w każdym razie od tego strachu.

— Zagrożenie ze strony ludzi jestem w stanie zaakceptować i stawić mu czoło – rzekł Hawkmoon, powstając z kanapy. – Jestem twoim dłużnikiem, lordzie Malagigi. Jeżeli mógłbym ci czymś

służyć...

— Nie, niczym – uciał Malagigi, uśmiechając się dziwnie. – Cieszę się, że mogę mieć tę maszynę u siebie dodał stukając w szkatułkę. – Możliwe, że kiedyś mi się przyda. Poza tym... – Zmarszczywszy brwi popatrzył w zamyśleniu na Hawkmoona.

— Co takiego?

— Ach, nic. – Malagigi wzruszył ramionami. Hawkmoon dotknął dłonią czoła. Czarny Klejnot wciąż tkwił pośrodku, lecz teraz był zupełnie zimny.

— Nie usunąłeś go?

— Nie, ale tego łatwo dokonać, jeśli sobie życzysz. Nie stanowi dla ciebie żadnego zagrożenia. A wycięcie go z twojej czaszki to sprawa prostego zabiegu chirurgicznego.

Hawkmoon chciał już zapytać Malagigiego, jak można to zrobić, kiedy nawiedziła go odmienna myśl.

— Nie – odezwał się po dłuższej chwili. – Niech tam zostanie. Jako symbol mojej nienawiści do Mrocznego Imperium. Myślę, że wkrótce się przekonają, iż należy bać się tego symbolu.

— A więc zamierzasz ponownie zaangażować się w walkę przeciwko nim?

— Tak. A teraz, kiedy mnie uwolniłeś, nawet ze zdwojoną energią.

— To jest siła, której należy się przeciwstawić – powiedział Malagigi, po czym głęboko zaczerpnął powietrza. – Muszę teraz iść spać, jestem bardzo zmęczony. Znajdziesz swoich przyjaciół oczekujących na dziedzińcu.

Hawkmoon zszedł po schodach i wynurzył się z budynku na zalany jasnym, ciepłym światłem słonecznym dziedziniec. Było wczesne przedpołudnie, Oladahn czekał na niego, a jego pokrytą futrem twarz szeroki uśmiech niemalże rozcinał na dwie części.

Obok niego widać było wysoką postać Rycerza w Czerni i Złocie.

— Czy jesteś już zupełnie zdrow'? – zapytał Rycerz. – Tak, zupełnie.

— To dobrze. W takim razie zostawię cię. Żegnaj, Dorianie Hawkmoonie.

— Dziękuję ci za pomoc – rzucił za nim Hawkmoon, a Rycerz odwrócił się w stronę wielkiego, białego rumaka bojowego. Kiedy tamten już dosiadał konia, Hawkmoon przypomniał sobie coś nagle.

— Zaczekaj – zawołał.

— O co chodzi? – Osłonięta hełmem twarz zwróciła się w jego kierunku.

— To ty przekonałeś Malagigiego, że powinien usunąć siły życiowe Czarnego Klejnotu z mojej głowy. Powiedziałeś mu wtedy, że służę tej samej Potędze, co i ty. Ja jednak nie znam żadnej Potęgi, która by mną rządziła.

— Poznasz ją któregoś dnia. – Jakaż to Potęga?

— Służę Magicznej Lasce – rzekł Rycerz w Czerni i Złocie, po czym ścisnął kolanami potężne boki białego konia, przeprowadził go przez bramę i zniknął im z oczu, zanim Hawkmoon zdążył zadać mu następne pytanie.

— Magicznej Lasce; czy tak? – mruknął Oladah, marszcząc brwi. – To, zdaje się, jakiś mit...

— Tak, to mit. Wydaje mi się, że Rycerz uwielbia tajemnice – Hawkmoon uśmiechnął się, poklepując Oladaha po ramieniu. – Jeśli go jeszcze kiedykolwiek spotkamy, postaramy się wydobyć z niego całą prawdę. Jestem głodny. Dobry obiad...

— Czeka na ciebie bankiet, przygotowany w pałacu królowej Frawbry – Oladah puścił do niego oko. Najwystawniejszy, jaki kiedykolwiek widziałem. Ponadto wydaje mi się, że

zainteresowanie królowej Frawbry twoją osobą nie wynika jedynie z wdzięczności.

— Tak mówisz? Cóż, mam nadzieję, że nie sprawię wielkiego zawodu królowej Frawbrze, drogi Oladahnie, ale darzę uczuciem damę o wiele wspanialszą od niej.

— Czy to możliwe?

— Owszem. Chodźmy, mały przyjacielu, spróbujemy przysmaków królowej Frawbry i zaczniemy się szykować do drogi powrotnej na zachód.

— Czy musimy tak szybko wyjeżdżać? Tutaj jesteśmy bohaterami, a poza tym chyba należy nam się uczciwy wypoczynek, prawda?

Hawkmoon uśmiechnął się.

— Zostań tu, jeśli chcesz. Ja muszę się spieszyć na ślub, na swój własny.

— Chyba że tak – westchnął Oladah z wyraźnym żalem. – Nie mogę przepuścić takiej okazji i sądzę, że będę zmuszony poważnie skrócić mój pobyt w Ramadanie.

Następnego ranka królowa Frawbra osobiście odprowadziła ich do bram Ramadanu.

— Zastanów się jeszcze raz, Dorianie Hawkmoonie. Oferuję ci tron. Ten sam, dla którego zdobycia mój brat poświęcił życie.

Hawkmoon popatrzył na zachód. Dwa tysiące mil i kilka miesięcy drogi stąd czekała na niego Yisselda, nie wiedząc jeszcze, czy udało mu się osiągnąć cel, czy też stał się ofiarą Czarnej Klejnotu. Cekał także hrabia Brass, do którego musiały już dotrzeć plotki o kolejnej porażce Granbretanu. Oczyma duszy widział także Bowgentle'a, stojącego u boku Yisseldy przy okienku w najwyższej wieży zamkowej, spoglądającego na dzikie trzęsawiska Kamargu i próbującego pocieszać dziewczynę,

zastanawiającą się, czy mężczyzna, który obiecał jej małżeństwo, kiedykolwiek do niej wróci.

Pochylił się w siodle i ucałował dłoń królowej.

— Dziękuję, wasza wysokość. Jestem zaszczycony tym, iż uważasz mnie za godnego, by objąć rządy w tym kraju razem z tobą, muszę jednakże dotrzymać danego słowa, choćbym miał odrzucić dwadzieścia oferowanych mi tronów. Muszę jechać. Poza tym mój miecz jest tam potrzebny w walce przeciwko Mrocznemu Imperium.

— Jedź więc – rzekła ze smutkiem w głosie. – Pamiętaj jednak o Ramadanie i o jego królowej.

— Będę pamiętał.

Popędził swego błękitnego rumaka poprzez skalistą równinę. Oladah odwrócił się w siodle, posłał całusa królowej Frawbrze, mrugnął do niej zawadiacko okiem, po czym pogalopował za swoim przyjacielem.

Dorian Hawkmoon, książę Kln, gnał bez przerwy na zachód, by dowieść siły swej miłości i dopełnić swój los.

Koniec Tomu I